

TRISH COOK

MARZENIA SPEŁNIAJĄ SIĘ W CIEMNOŚCI

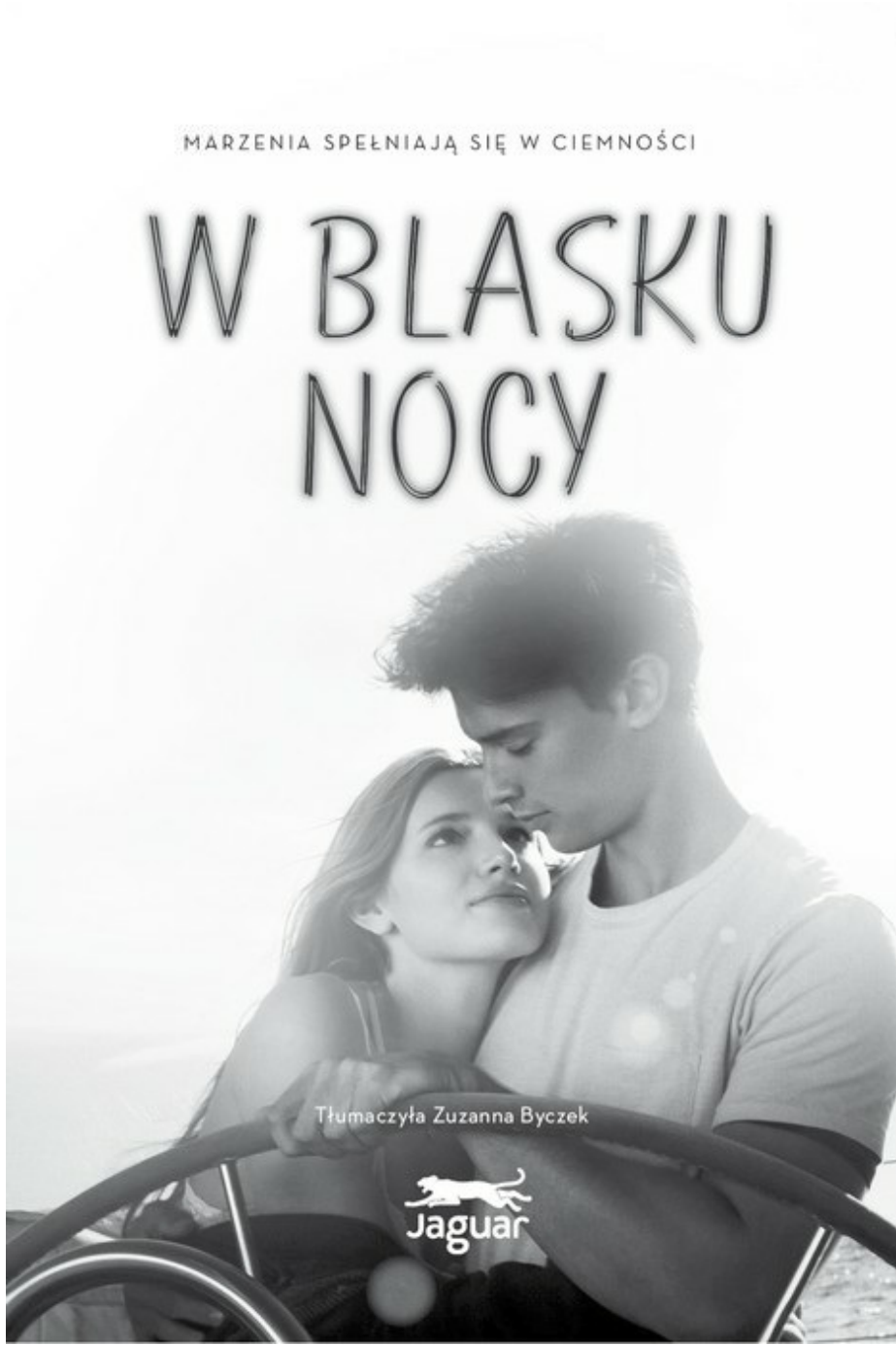
W BŁASKU NOCY

NA PODSTAWIE POWIEŚCI POWSTAŁ FILM
W ROLACH GŁÓWNYCH
BELLA THORNE I PATRICK SCHWARZENEGGER

MARZENIA SPEŁNIAJĄ SIĘ W CIEMNOŚCI

W BLASKU NOCY

Tłumaczyła Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: *Midnight Sun*

First edition by Hachette Book Group, Inc. in February 2018

Copyright © 2018 by Full Fathom Five and Midnight Sun, LLC

All rights throughout the world are reserved to Full Fathom Five and Midnight Sun, LLC

Cover art copyright ©2018 by Full Fathom Five and Midnight Sun, LLC

Pierwsze polskie wydanie, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

ISBN 978-83-7686-716-8

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20

21

22

23

24

25

Epilog

Trochę na temat XP

O autorce

1

Mam taki powracający sen: jestem mała, siedzę z mamą na plaży na starym kocu, który nadal trzymam upchany gdzieś na dnie szafy. Mama mi śpiewa, jej głos wznosi się i opada wraz z szumem fal rozbijających się o brzeg. Czuję na skórze ciepły dotyk słońca i jej kojące objęcia.

Chciałabym zatrzymać tę chwilę na zawsze.

Kiedy się budzę, tęsknię za tym snem. Tęsknię za słońcem. Tęsknię za mamą.

Tak bardzo bym chciała, żeby sen się spełnił, ale to niemożliwe, ponieważ moja mama zmarła, kiedy miałam sześć lat.

Poza tym nie mogę wychodzić na słońce... W sensie, w ogóle nie mogę. Mam rzadką chorobę genetyczną znaną pod nazwą skóra pergaminowa, w skrócie XP, co ogólnie rzecz biorąc oznacza ekstremalną wrażliwość na światło słoneczne. Wystarczy, że mnie muśnie, a zaraz dostanę raka, moje ciało nie będzie w stanie naprawić uszkodzeń, mózg ulegnie zniszczeniu – dojdzie do utraty słuchu, problemów z poruszaniem się i przełykaniem, zaniku zdolności intelektualnych i mowy, utraty przytomności i w końcu, no tak, do śmierci.

Niezła jazda, co?

Tak więc wiodę życie w zamknięciu, spędzając czas wyłącznie w towarzystwie taty (najlepszego taty na świecie) i Morgan (najlepszej przyjaciółki na świecie).

Kiedyś udawałyśmy, że jestem jak Roszpunka z filmu *Zaplątani*, uwięziona w ciemnej wieży (czyli mojej sypialni). Oglądałyśmy ten film chyba ze sto razy. Roszpunka w końcu sfiksowała i związała z wieży z jakimś facetem. Teraz, kiedy już jestem starsza, mogę powiedzieć: doskonale cię rozumiem, dziewczyno.

Jeśli coś jeszcze łączy mnie z Roszpunką, to postanowienie, że nie stracę nadziei i będę walczyć, aż dostanę swoje „żyli razem długo i szczęśliwie”. Moje szczęśliwe zakończenie zapewne potrwa znacznie krócej niż to się

dzieje w przypadku reszty ludzi – ale to nie znaczy, że nie będzie równie wspaniałe.

2

No i znów bredzę bez sensu i odchodzę od tematu. Jest to bardzo zły nawyk, który często wpędza mnie w kłopoty. Jeszcze się przekonacie. Na razie pozwólcie, że zacznę od początku.

Cześć! Nazywam się Katie Price i gdybyście mogli zajrzeć do mojego pokoju – co jednak uniemożliwiają rolety skutecznie blokujące dostęp światła słonecznego – moglibyście pomyśleć, że jestem żalospną chorą laską, która ciągle wysiaduje przy oknie, obserwując życie, przepływające obok niej. Ale ja właściwie niczym się nie różnię od innych dziewczyn, z tym jednym, ale znaczącym wyjątkiem, że nie mogę wychodzić na słońce.

Gram na gitarze, piszę wiersze i teksty piosenek i uważam, że moje improwizacje pod prysznicem brzmią naprawdę świetnie. Uwielbiam astronomię, chciałabym kiedyś zostać astrofizykiem. Nie cierpię brukselki, kocham chińszczyznę i uważam, że mopsy to najrozkoszniejsza rasa psów na całej kuli ziemskiej, za to na widok pająka wpadam w panikę. Moja najlepsza przyjaciółka – dobra, bądźmy szczerzy, moja jedyna bliska osoba w realu, nie licząc taty (hm, to chyba zabrzmiało naprawdę smutno, co?) – Morgan, jest zarąbista i bez wątpienia dokopię każdemu, kto ma inne zdanie na ten temat.

Aha, no i tak się składa, że strasznie bujam się w jednym gościu, który nazywa się Charlie Reed. Już od pierwszej klasy, kiedy to zdiagnozowano u mnie XP i tym samym zostałam skazana na więzienie w czterech ścianach tego domu, obserwuję go przez okno, jak idzie do szkoły. Z czasem obserwowanie Charliego stało się częścią mojej codziennej rutyny, wraz z regularnymi wizytami u lekarza, spaniem w dzień i czuwaniem w godzinach nocnych – z tego, co słyszałam, jest to wymarzony rozkład dnia większości ludzi w moim wieku – oraz graniem muzyki. Jest ostatnią osobą, którą widzę każdego ranka przed zaśnięciem i pierwszą, którą widzę każdego popołudnia po przebudzeniu. Podczas gdy ja śpię, on chodzi do szkoły i na treningi pływackie. Prowadzi normalne, idealne życie. Można w sumie powiedzieć, że wyrósł na moich oczach, z każdym rokiem coraz bardziej

przystojniejąc. Teraz chodzi do ostatniej klasy, jest wysoki i smukły, ma wspaniałe półdługie włosy i oczy, które potrafiłyby roztopić górę lodową szybciej niż globalne ocieplenie. Jedyne, co stoi na przeszkodzie naszej wielkiej miłości... to fakt, że on nie ma pojęcia o moim istnieniu.

Kiedy po wietrznej nocy przeniósł z chodnika nasz pojemnik na śmieci – a wszyscy inni obojętnie przechodzili obok – nie wiedział, że go obserwuję. Albo kiedy się zatrzymał, by pomóc pani Graham z naprzeciwka zanieść zakupy do domu. Widzę te wszystkie drobiazgi, przejawy jego troskliwości, chociaż on nie wie, że ktoś jest ich świadkiem.

Nie mogę tak po prostu wyjść któregoś dnia z domu i przypadkiem wpaść na niego na ulicy, bo usmażyłabym się na śmierć. (Spokojnie – aż tak szybko by to nie nastąpiło. Ale, wierzcie mi, nie byłby to piękny widok). Skłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że nie fantazjuję o tym, jak pewnego dnia zrobię wielki pierwszy krok. Na przykład, bo ja wiem, zastukam w szybę, kiedy będzie przechodził. Pomacham (kiedy tata nie będzie patrzył). Zaproszę go na górę. (A mój tata wcale za nami nie pójdzie? Cha! Można pomarzyć). Przeczesałem palcami jego wspaniałe włosy. Pocałuję go.

Dobra. Nic takiego się nie wydarzy. Wiem.

Po prostu dalej będę go obserwować, tak jak do tej pory (co oczywiście nie jest ani trochę dziwaczne!) – a przynajmniej do czasu, gdy to niefortunnie rosnące drzewo zasłoni mi widok – i poproszę dziś wieczorem gwiazdy, by mu sprzyjały. Mam nadzieję, że jest szczęśliwy z powodu zakończenia szkoły, i że otwiera się przed nim przyszłość pełna ekscytujących przygód. Że dostanie wszystko, co sobie wymarzy. Zasłużył. Tak jak każdy z nas. Moje największe marzenie (mieć normalne życie – ale nie chcę wyjść na rozgoryczoną osobę) nigdy się nie spełni, mam jednak nadzieję, że Charlie zrealizuje swoje marzenia.

Otwieram laptop, by obejrzeć transmisję z uroczystości zakończenia szkoły, na której normalnie również byłabym obecna. To znaczy, gdybym od pierwszej klasy nie odbywała edukacji domowej. Trochę to słabe, biorąc pod uwagę, że zdążyłam zgromadzić liczbę punktów, która w tym momencie pozwoliłaby mi studiować na drugim roku. Cóż mogę powiedzieć? Lubię się uczyć. Poza tym mam o wiele więcej czasu niż większość osób w moim wieku.

W każdym razie dzisiaj odbywa się uroczystość zakończenia liceum.

Decydujący moment w życiu większości ludzi. W moim przypadku jednak właściwie nic się nie zmieni. Jesienią nadal będę siedzieć w swoim pokoju, uczyć się online i unikać słońca. Nie pojedę na żaden wspaniały uniwersytet. Cóż. Mimo wszystko jest mi trochę przykro.

Wywołują kolejne nazwiska, uczniowie wchodzą na scenę, by uścisnąć dłoń dyrektora, każdy po kolei odchodzi z nowiutkim świadectwem w rękę. Morgan po odebraniu swojego, zamiast w stronę schodów, kieruje się do kamery, przybiera pozę i samym ruchem warg mówi *Tak* jest, suki! Ktoś pospiesznie popycha ją w stronę kolejki, a ja parskam śmiechem. Nie byłam pewna, czy to robi – ale czy kiedykolwiek cofnęła się przed którymś z moich wyzwania?

Niecierpliwie czekam, aż dotrą do R. Hm, w tej klasie jest naprawdę mnóstwo P (minus to jedno, rzecz jasna). Q? Jakie są szanse? (Oo, biedna dziewczyna. Nazwisko Quackenbush raczej nie przydaje popularności). Wreszcie wywołują Charliego. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak godnie i pięknie prezentuje się w todze absolwenta liceum, jak cudownie wyglądają jego oczy ocienione czapką. W chwili, gdy pokazuje się w kadrze, do pokoju wpada tata.

– Katie Price! – drze się.

Stoi z dumnym uśmiechem na twarzy, w dłoni trzyma zwiniętą w rulon kartkę. W takim momencie chyba każda dziewczyna pewnie wrzasnęłaby coś w stylu: „Aa! Czy mógłbyś wyjść, bardzo proszę?”. Ale ja wiem, że on tylko chce mi zrobić przyjemność, chce, bym poczuła się częścią szkolnej wspólnoty, więc zamykam laptop ze śmiechem. Oczywiście bardzo się postarał, czemu nie okazać odrobiny wdzięczności? To nie jego wina, że siedzę w takiej chwili w swoim pokoju, zamiast wchodzić na scenę z resztą klasy.

Zaraz, cofam to. Owszem, w pewnym sensie ponosi winę. W połowie on, a w połowie mama. Oboje musieli przekazać mi gen recesywny, by pojawiła się u mnie XP. Nieważne. Na pewno nie chcieli.

– Co ty masz na sobie?

– Nauczyciele zawsze wkładają togę i czapkę, podobnie jak uczniowie – odpowiada, zdejmując stosowne nakrycie głowy.

Biorę je od niego i zakładam. Wręcza mi własnoręcznie wydrukowane świadectwo, które stwierdza, że zostałam oficjalnie uznana absolwentką domowej edukacji na poziomie szkoły średniej. Dopisek mniejszymi literami

głosi, że zdążyłam zebrać dwadzieścia cztery punkty na poziomie uniwersyteckim. Uśmiecham się i potrząsam jego dłonią. Przeważnie, szczególnie w takich chwilach jak teraz, cieszę się, że tak dobrze mnie zna. Rozumie, jak ważne są dla mnie osiągnięcia na polu edukacji, ponieważ uczenie się to jedna z niewielu rzeczy, w których słońce nie może mi przeszkodzić. Tata rozumie, że wołałabym, by patrzono na mnie przez pryzmat intelektu, a nie dziedzicznej choroby, która dotyka jedną osobę na milion.

– A więc, droga prymusko, zakładam, że przygotowałaś mowę końcową?

Zastanawiam się, co by tu powiedzieć, by uczcić ten, w gruncie rzeczy nieszczególnie wyjątkowy dzień.

– Cóż, przede wszystkim pragnę podziękować dyrektorowi – zaczynam.

– Ależ bardzo proszę – wtrąca tata. Oczy mu błyszczą.

– A także nauczycielowi hiszpańskiego...

– De nada. – Unosi niewidzialny kapelusz.

– I nauczycielowi angielskiego...

Tata wykonuje lekki ukłon.

– Cała przyjemność po mojej stronie!

– Oraz, tak dla porządku, ponownie przypomnieć, że nauczyciel wuefu nie wiedział, co czyni.

Tata przyciska dłoń do serca.

– To cios poniżej pasa! Zamierzałem dać ci tę kartkę, ale teraz...

Macha mi nią przed oczami, po czym zabiera, nim zdążę ją chwycić. Wzruszam ramionami, jakby mi nie zależało. Tata uznaje swoją porażkę i delikatnie rzuca kartkę na moje kolana, po czym przysiada na brzegu łóżka.

Sięgam do wielkiej koperty i wyciągam kartkę. Wygląda komiksowo i strasznie tandetnie. Widnieje na niej uśmiechnięta gwiazdka w czapce absolwenta, na ukos biegną litery w tym żenującym kroju pisma, Comic Sans, układające się w napis *Gratulacje, Supergwiazdo!*

Wywracam oczami.

– W życiu nie widziałam bardziej debilnej kartki.

– Wiem – odpowiada tata, z powagą kiwając głową. – Odwiedziłem trzy sklepy, zanim udało mi się znaleźć coś tak obciachowego. No dobrze, jesteś gotowa na prezent?

– Prezent? – Tego się nie spodziewałam. – Jaki prezent?

Tata podskakuje i wybiega do przedpokoju. Kilka sekund później wraca ze

zniszczonym futerałem na gitarę, ozdobionym pojedynczą czerwoną kokardą.

Już wiem, że w środku znajduje się najwspanialszy instrument, jaki kiedykolwiek widziałam, w szylkretowym wykończeniu sunburst, z progami wyłożonymi macicą perłową. Wyjmuję ją delikatnie i przesuwam dłonią po gładkiej powierzchni. Nagle wyczuwam rząd rowków. Spoglądam w dół, tam, gdzie moje palce się zatrzymały i dostrzegam inicjały TJP. Inicjały mamy.

Patrzę na tatę, który mówi, uprzedzając moje podziękowania:

– Wyrosłaś ze swojej dziecięcej gitary. – Tu wskazuje na instrument stojący w kącie. – Ale wiem, że ta jest stara, więc gdybyś wolała nową...

Pospiesznie kręcę głową, by nawet nie kończył tej szalonej myśli. Dostać gitarę mamy, to jak dostać częśćkę jej, która zostanie ze mną na zawsze. Ta myśl wypełnia częściowo dziurę ziejącą w mojej piersi, dziurę, którą po sobie zostawiła, i która nigdy całkiem nie zniknie.

– Jest wspaniała. Ogromnie mi się podoba.

Podnoszę się, by go uściskać. Tata odwzajemnia uścisk, mocno mnie przytula. Chyba oboje jesteśmy bliscy łez. Puszczam go, próbuję wziąć się w garść. Zapada niezręczna cisza.

– No tak, hm... spróbuj zasnąć – mówi w końcu tata i całuje mnie w czubek głowy. – Jestem z Ciebie dumny, Fistaszku.

Nie ma powodu, by użalać się nade mną, że śpię w ciągu dnia. To prawdopodobnie najnormalniejsza rzecz, jeśli chodzi o moją osobę. Wiem na pewno, ponieważ mnóstwo ludzi – w tym osób w moim wieku – siedzi w nocy w Internecie, każdej nocy, i na pewno nie dlatego, że są zmuszeni wieść życie na opak, tak jak ja.

Znalazłam w sieci szereg stowarzyszeń dla osób cierpiących na rzadkie choroby i chociaż nikogo takiego nie spotkałam w realu, a każde z nas ma inne symptomy i znajduje się w innym stadium choroby, miło wiedzieć, że istnieją.

W Internecie można znaleźć sporo informacji na temat XP. Czytałam o niewielkiej wiosce w Brazylii, gdzie jedna na czterdzieści osób cierpi na tę chorobę, szaleństwo, kiedy pomyśleć, że zwykle dotyka ona jedną osobę na milion. A w populacji Navaho – jedną osobę na trzydzieści tysięcy. O co chodzi?

Śledzę również ludzi obecnych na profilach Morgan – niektórych kiedyś znałam. To szokujące, jak łatwo jest zniknąć na godzinę w króliczej norze

cudzego życia. Obserwuję ich statusy na Facebooku, Snapchacie i Instagramie, i blogi, przyglądam się z jaką łatwością poruszają się po świecie, z nieskrywanym symptomem FOMO. Rozważam, czy nie nawiązać znajomości z tymi, którzy wydają się mieć ze mną najwięcej wspólnego, układam komentarze i idealne odpowiedzi pod ich wpisami. Ale nigdy niczego nie zamieszczam, nie wysyłam bezpośrednich wiadomości, nie próbuję nawiązać bliższego kontaktu. Przeżyłabym ogromne rozczarowanie, gdyby osoba, do której się odezwałam, zareagowała na moją XP w ten sam sposób jak dzieciaki w czasach, kiedy jeszcze chodziłam do podstawówki.

Najgorsza była Zoe Carmichael. Wcześniej nigdy się nie przyjaźniłyśmy, ale też nie byłyśmy sobie wrogie. Kiedy zdiagnozowano mnie po szkolnej wycieczce na plażę, która zakończyła się wizytą na ostrym dyżurze z powodu poważnych poparzeń, Zoe zaczęła rozpowiadać, że jestem wampirem, i było pozamiatane. Wszyscy się mnie bali, nazywali mnie Wampirzycą i nikt, za wyjątkiem Morgan, nie chciał więcej ze mną rozmawiać. Tamtego roku Charlie właśnie przeprowadził się do naszego miasta i dołączył do klasy. Nigdy z nim nie rozmawiałam (w tamtej epoce chłopcy byli fuj), ale pamiętam, że raz, kiedy jego koledzy się ze mnie nabijali, kazał im przestać i posłał mi przepaszający uśmiech. To był mój ostatni dzień w szkole. Od tej pory tata uczył mnie w domu. Na lody i do kina jeździliśmy do sąsiednich miast, żebym nie musiała spotykać takich osób jak Zoe (czy samej Zoe), gapiących się i wytykających mnie palcami za każdym razem, kiedy odważyć się wyjść wieczorem z domu.

I dlatego uważam, że lepiej trzymać się dobrze znanych rzeczy i osób, niż rozszerzać krąg znajomości w realnym świecie. Nie zamierzam zapraszać do swojego życia kolejnych dręczycieli.

3

Z „nocnego” snu wyrywa mnie raban za oknem: trąbienie samochodów, pokrzykiwania dzieciaków, ogólna radocha. Wiem, że w tej części mogłabym uczestniczyć – gdyby tylko Morgan lubiła kogoś z naszej klasy. Ale nie lubi. A jeśli Morgan nie wybiera się na żadną z imprez, które zapewne właśnie się zaczynają, to znaczy, że ja również nie idę.

JAK SOBIE WYOBRAŻAM KLASOWĄ IMPREZĘ, NA KTÓRĄ POSZŁABYM BEZ MORGAN

*Zoe Carmichael (która, jak twierdzi Morgan, nadal jest koszmarem
złośliwą dziewczuchą): A ty co za jedna?*

Ja: Ja... emm...

Dwórka Zoe: Ty w ogóle chodzisz do naszej klasy?

*Ja: No, nie, rozumiesz, musiałam odbyć edukację w domu...
okoliczności łagodzące... ale tak czy inaczej skończyłabym dzisiaj
liceum...*

*Zoe (przyglądając mi się uważnie): Czeka, przypominam sobie. Ty
jesteś Wampirzyca, zgadza się?*

Dwórka Zoe (wrzeszcząc przeraźliwie): Aaaaaaaa.

**Zapada cisza. Wszyscy zasłaniają sobie szyje, chroniąc się przed
atakami. Zmywam się do domu i w towarzystwie taty topię smutek
w chińszczyźnie na wynos.**

Kurtyna.

Tak więc nie ma opcji, żebym poszła na imprezę bez Morgan. A ona jest bardzo uparta w kwestii „zadawania się z nadętymi dziewczuchami i lalusiowatymi frajerami z licealnej elity, a zwłaszcza z tą śmierdzącą kiłą Zoe Carmichael”. Całkiem możliwe, że wcale bym się dobrze nie bawiła, oblewając zakończenie liceum w towarzystwie ludzi z klasy, ale może jednak

zdołałybyśmy omijać Zoe i jej świtę z daleka i spędzić ten wieczór w towarzystwie sympatyczniejszych osób. No bo chyba musi być takich przynajmniej kilka, co?

Jest taki utwór australijskiej piosenkarki nazwiskiem Courtney Burnett, który idealnie podsumowuje moje życie, jeśli chodzi o imprezowanie: Chcę wyjść, ale chcę zostać w domu.

JAK SOBIE WYOBRAŻAM KLASOWĄ IMPREZĘ, NA KTÓRĄ POSZŁABYM Z MORGAN

Zoe: A ty co za jedna?

Ja: ja... emm...

Morgan: To moja najlepsza przyjaciółka, jest piękna i seksowna, a ty nigdy nie dobijesz do jej poziomu.

Dwórka Zoe: Ty w ogóle chodzisz do naszej klasy?

Ja: No, nie, rozumiesz...

*Morgan (zakrywając mi usta ręką, nim zdążę powiedzieć coś więcej):
Opuściłaś tyle lekcji, że ledwo zdałaś, więc lepiej się nie odzywaj.*

Zoe (przyglądając mi się uważnie): Czeka, przypominam sobie. Ty jesteś Wampirzyca, zgadza się?

Morgan (nie dając mi okazji, bym zaczęła sama się bronić): Zgadza się. Jeszcze jedno słowo i uczyni cię na wieki nieumarłą.

Idziemy pograć w piwnego ponga, poznamę Charlie'ego Reeda, zakochujemy się w sobie do szaleństwa, a mój tata nigdy się nie dowie, że poszłam na imprezę zamiast do Morgan oglądać maraton serialowy na Netfliksie, tak jak zapowiadałam.

Wzdycham i odrzucam kołdrę. Mój wzrok pada na nową gitarę, postanawiam pójść na stację i ją wypróbować. Sama. Tylko ja i ja. O ile tata się zgodzi, rzecz jasna.

Mam nadzieję, że rozumie, jak bardzo w tym momencie potrzebuję niezależności. Przez lata spędzałam z nim czas w miejscach, do których dzieciaki zwykle chodzą w towarzystwie kumpli, takich jak kina czy centra handlowe, kręgle albo barki z mrożonym jogurtem, co bynajmniej nie pomaga pozbyć się wrażenia, że XP czyni ze mnie bardzo dziwną osobę.

Wiem, że tata robi wszystko, co w jego mocy, by zapewnić mi normalne życie, doceniam to, ale jego wysiłki nie zmieniają faktu, że moje życie nie jest i nigdy nie będzie normalne. Na przykład w kinie tata idzie na inny seans, żebym nie wyszła na żalną frajerkę, która sobotnie wieczory spędza w kinie z własnym ojcem. Efekt? Niewielki. No bo kto w sobotnie wieczory chodzi do kina sam? No właśnie. Nikt, tylko nieprzeciętnie dziwaczeni frajerzy – i ja. Co większość ludzi zakwalifikowałaby do tej samej kategorii.

Dzisiaj chciałabym być normalną dziewczyną imieniem Katie, która nie cierpi na rzadką chorobę, i której ojciec nie pilnuje nerwowo na każdym kroku.

Związuję włosy w niedbały koczek, chwytam gitarę i schodzę na dół. Zaglądam do salonu, nie ma go. Potem do kuchni – może coś je. Ale nie. Została tylko jedna możliwość. Schodzę do piwnicy. Spod drzwi ciemni sączy się nieomylny blask. Pukam.

– Wejź! – woła tata.

Otwieram drzwi. Pomieszczenie sprawia mieszane, słodko-gorzkie wrażenie. Ściany pokrywają zdjęcia z okładek magazynów, które robił w przeróżnych egzotycznych miejscach. Uboga wioska w Indiach. Lodowiec wynurzający się ze wzburzonych szarych fal. Spokojna sawanna w Afryce, a na niej samotna żyrafa. Migawki z życia, którego już nie ma. Czuję dumę z tego, kim był i co niegdyś robił tata, i smutek, ponieważ już nigdzie nie wyjeżdża z powodu mojego stanu zdrowia. Dumę, że mam tak zdolnego tatę i smutek, że marnuje swój talent w tej beznadziejnej miejscinie.

Na sznurku wisi szereg nowszych fotografii. Kilka krajobrazów i cała tona tych ze mną. Niepozowane i takie, do których musiałam specjalnie się ustawiać, po długich namowach z jego strony, i najświeższe, z dzisiaj: ja grająca na gitarze mamy. Reszta w większości budzi we mnie zażenowanie, ale akurat na tych nawet się sobie podobam.

– To jest dobre – mówię.

Tata wskazuje na mnie pochyloną nad wspaniałą gitarą.

– Ten fragment jest trochę dziwny.

Żartobliwie daję mu kuksańca w ramię. Śmieje się i odsuwa. Cieszę się, że jest taki wyluzowany, będzie łatwiej go przekonać, żeby pozwolił mi wyjść samej. Nie żeby mi przeszkadzało, że zawsze znajdzie powód, by mi towarzyszyć. Ale nie ma co liczyć na szczere reakcje na moją twórczość, kiedy obok stoi tatuś.

– Każdy baran potrafiłby zrobić dobre zdjęcie, mając taki obiekt – dodaje.

Wywracam oczami i podchodzę do jednego z moich ulubionych zdjęć, które przedstawia grupę pakistańskich uczennic w szkolnych mundurkach, stojących przed mocno podupadłym budynkiem.

– To jest piękny obiekt – odpowiadam, odwracając się w jego stronę. – Nie mów, że ci tego nie brakuje.

– Podróży? – Krzywi się. – To był koszmar.

Porusza się z gracją po ciemni. W jego wykonaniu robienie i wywoływanie zdjęć wygląda jak łatwizna. Ja wiem jednak, jak jest naprawdę. Nie zostałyby jednym z najbardziej poszukiwanych fotoreporterów na świecie, gdyby był przeciętny. Dostrzega moją minę, tę, która mówi *Daj spokój. Chyba nie sądzisz, że uwierzę.*

– Poważnie – upiera się i ruchem głowy wskazuje zdjęcie, na które właśnie patrzę. – Na tej wyprawie ukradziono mi bagaż, musiałem przez tydzień nosić te same ciuchy. Spałem na podłodze w pokoju przewodnika, bez materaca, bez koca. Marzłem tak okropnie, że przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka, czekałem tylko, aż wreszcie wstanie słońce.

Gadanie. Oczywiście, że tęskni za tamtym życiem. Kto by nie tęsknił? Dałabym wszystko, żeby móc pojechać do jakiegoś miejsca na świecie, kiedy tylko przyjdzie mi ochota, zobaczyć to wszystko, czego prawdopodobnie nigdy nie zobaczę.

– Wolę spać we własnym łóżku i uczyć młodszych idiotów, niech oni się brudzą – dodaje na zakończenie.

– Jesteś okropnym kłamczuchem.

Rzuca mi takie spojrzenie, jakby zamierzał zdradzić coś więcej, co kryje się za tą zawsze szczęśliwą, pozytywną fasadą, maską, którą zawsze dla mnie wkłada. Ale jednak zmienia zdanie. Pewnie niczego byśmy nie zyskali, otwierając tę puszkę Pandory, ale raz w życiu chciałabym odbyć szczerą rozmowę o tym, że XP wywróciła do góry nogami życie nas obojga. To z mojego powodu nie może już realizować marzeń, oboje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

– Co jest? – pyta zamiast tego.

Biorę głęboki wdech i wypuszczam z siebie wartki strumień słów, myśląc sobie, że w ten sposób nie dam mu dojść do głosu, czyli znacząco zmniejszę ryzyko, że mi odmówi.

– Zastanawiam się, czy nie mogłabym wypróbować wieczorem na stacji

mojego prezentu z okazji zakończenia liceum?

Brzmi to w ten sposób:
Zastanawiam się czy nie mogłabym wypróbować wieczorem nastacjii mojego prezen

Na koniec dodaję szeroki uśmiech, który ma znaczyć: Jestem kompetentną, pewną siebie absolwentką liceum (która zdążyła zaliczyć dwadzieścia cztery punkty na poziomie studiów wyższych!). Niezaprzeczalnie mogę pokonać ten niecały kilometr dzielący mnie od stacji kolejowej i zagrać dla pasażerów wieczornych pociągów, którzy akurat będą na miejscu. To znaczy, pewnie nie będzie tam nikogo, ale co tam. Sprawdziłam, że Fred, zarządca stacji, jest dzisiaj w pracy, a wy znacie się od dzieciństwa, więc nic mi nie grozi, przysięgam. PROSZĘ, NIE PROPONUJ, ŻE ZE MNĄ PÓJDZIESZ.

Jego twarz zapada się jak nieudany suflet. Tata stuka w zegarek. Naprawdę nie wiem, jakie według niego niebezpieczeństwa mi grożą, jeśli wyjdę z domu bez jego asysty – pewnie oglądamy za dużo horrorów, skaziły mu umysł, a w naszym sennym miasteczku statystyki zbrodni wynoszą zero. Nic mi nie będzie. Wiem, że tata jest innego zdania, ale nie może wymyślić żadnego sensownego uzasadnienia, by odrzucić moją prośbę. Gra więc na zwłokę.

– Już dziesiąta. Może Morgan by wpadła? Albo zagrałabyś dla mnie, w domu.

Wprawdzie występowanie przed moim największym fanem jest bardzo przyjemne – za każdym razem dostaję entuzjastyczne recenzje w rodzaju: TO NAJLEPSZA RZECZ, JAKĄ KIEDYKOLWIEK SŁYSZAŁEM czy TEN KAWALEK WYLĄDUJE NA SZCZYCIE LIST PRZEBOJÓW – ale czuję, że jeśli chcę się rozwijać, powinnam grać dla większej liczby osób i, co istotne, osób, które może nie są aż tak przekonane, że mają przed sobą kolejną Taylor Swift, tyle że znacznie, znacznie lepszą.

Szczerze mówiąc, chciałabym na chwilę uciec z tego domu. I od taty. Rozdrażnienie wywołane zbyt długim przesiadywaniem w zamknięciu, stan, z którym muszę walczyć każdego dnia, w tym momencie przybiera maksymalne rozmiary.

– Jest zajęta – odpowiadam najśłodszy głośem, na jaki mnie stać. XP nauczyła mnie cierpliwości. Wiem, że nic nie zdziałam, próbując włożyć mu w usta upragnione słowa. Taka strategia w jego przypadku nigdy nie działa, w przeciwieństwie do logicznych i starannie skonstruowanych argumentów.
– Uwielbiam dla ciebie grać, ale muszę zdobyć większą publiczność. Na

moim fanpage'u widnieją obecnie trzy lajki: od ciebie, doktor Fleming i od Morgan. Muszę pokazać się światu. A dzisiaj zostałam absolwentką liceum, zdaje się, że zgodnie z amerykańską tradycją należy mi się późniejsza godzina powrotu?

Tata milczy. Wciąż nie jest przekonany. W najlepszym wypadku pewnie zaraz chwyci kluczyki i powie, że zawiezie mnie na stację, a na miejscu O, skoro już tu jestem, to może wysłucham przynajmniej pierwszego utworu, który oczywiście zmieni się w cały set.

Muszę podejść do sprawy z innej strony.

– Fred jest w pracy, będzie miał na mnie oko. Poza tym mam wspaniały nowy futerał stworzony do tego, by go otworzyć i czekać, aż ludzie zaczną sypać do niego drobniaki, i wiem, że przecież byś mi go nie dał, gdybyś nie chciał, żebym grała dla większej publiczności...

Tata ściąga brwi. Wiem, że chce mnie chronić. Jest opiekuńczy. A raczej nadopiekuńczy. A ja nie cierpię, kiedy się mnie traktuje jak kruchą istotkę, która nieuchronnie padnie martwa, ledwo przekroczy próg własnego domu.

– Pozwalam ci wrócić godzinę później niż zwykle. Co oznacza, że masz być z powrotem o północy...

– DZIĘKUJĘ! – piskam, zanim tata zmieni zdanie. – Dziękuję, dziękuję, jesteś najlepszym tatą na świecie, dziękuję...

Teraz nastąpi cała litania, ale przywykłam. Z powagą kiwam głową, podczas gdy tata przedstawia całą listę zasad obowiązujących podczas mojej samotnej wyprawy w świat. Ale nie słucham zbyt uważnie. Bo nie muszę. Powtarza to samo za każdym razem.

– Masz co godzina wysyłać esemes, bo inaczej nie dość, że zadzwonię do Freda, to zjawię się tam osobiście i narobię ci takiego obciachu, że ten wieczór stanie się miejską legendą o tym, dlaczego dzieci powinny przestrzegać wyznaczonej godziny powrotu do domu.

Chwytam gitarę i ruszam do wyjścia, zanim wszczępi mi pod skórę urządzenie śledzące.

– Co godzina, Katie – powtarza, nim zdążę uciec.

Posyłam mu przez ramię szeroki uśmiech i wychodzę.

– Kocham cię!

Zimne nocne powietrze wypełnia mi płuca. Minęły dwa dni (znaczy, noce), od kiedy po raz ostatni odważyłam się wyjść za próg domu. Oddycham głęboko i spoglądam na gwiazdy. Mrugają w odpowiedzi, jakby

chciały mi powiedzieć, że za chwilę wydarzy się coś magicznego.

Tata staje w drzwiach, obserwuje mnie.

– Ja ciebie bardziej.

– Niemożliwe! – odpowiadam i ruszam przed siebie.

4

Fred jest tam, gdzie zwykle, w swoim maleńkim biurze przy okienku biletowym. To jeden z najstarszych kumpli taty, zarówno w sensie stażu znajomości, jak i wieku. Kiedyś mieszkali po sąsiedzku, a Fred robił czasem za jego nianię. Zna świetne historyjki o tym, jakim upierdliwym bachorem był mój tata.

Macham, żeby przyciągnąć jego uwagę.

– Heja, Fred.

Podnosi wzrok, szczota siwych włosów połyskuje w blasku księżyca.

– Nasza absolwentka! Tak się zastanawiałem, czy dzisiaj przyjdiesz.

Macham ręką w stronę pustego peronu.

– Miałabym zawieść wszystkich swoich fanów?

Fred śmieje się z uznaniem, chociaż powtarzamy ten żarcik od kilku lat. Nagle dostrzega mój wspaniały stary-nowy instrument, zdecydowanie różniący się od tego, który zawsze mam ze sobą. Na jego ekspresyjnej twarzy maluje się ogromna radość i zaskoczenie, Fred dosłownie zmienia się w żywe emoji z serduszkami zamiast oczu.

– Nowa gitara?

Poklepuję ją z dumą i kiwam głową.

– Należała do mojej mamy – wyjaśniam. Jego oczy łagodnieją. Odwracam się i szukam wzrokiem odpowiedniego miejsca. Wysyłam do najjaśniejszej gwiazdy życzenie, by tej nocy wydarzyło się coś naprawdę ekscytującego i otwieram futerał.

Właśnie zaczynam grać jeden z najnowszych utworów, zatytułowany *Czekając na słońce*, gdy z pociągu wysiada dwoje pasażerów, zmęczonych i lekko zdezorientowanych. Melodia jest powolna i głęboka, niemal idealnie pasuje do ich kroków. Pierwszy pasażer, facet, jest pijany, potyka się i o mało na mnie nie wpada. Drugim z pasażerów jest kobieta w czerwonym spodniem o surowym kroju, z pewnością trzeźwa. Mija mnie, nawet nie patrząc.

A potem nikogo, przez dobre pół godziny. Gram i śpiewam dalej, jak główna gwiazda wieczoru w Carnegie Hall. Wreszcie na stację wtacza się kolejny pociąg. Wysiada z niego dziewczyna, którą podejrzewam, że może być jedną z licznych dwórek Zoe, mierzy mnie zdumionym spojrzeniem, po czym rzuca do futerału w połowie pustą torebkę Skittles.

– Wielkie dzięki – wołam za nią.

Ogląda się, lekko wzrusza ramionami, cała jej postawa wyraża pogardę. Nieważne. Ja tak łatwo się nie poddam. Rozpocznam kolejny utwór.

Na szczycie schodów pojawia się trzydziestoparoletni hipster z brodą drwala, ofiarowuje mi kilka monet. Nie starczyłoby nawet na parkometr, całe szczęście, że przyszedłam na piechotę. Tata uważa, że jeszcze nie jestem „gotowa”, by zrobić prawo jazdy. Może się boi, że po prostu odjadę w stronę zachodu słońca. Kto wie, może faktycznie wzięłabym przykład z Roszpunkii. Ale nie mam dokąd uciec, więc nie zamierzam z nim o to walczyć.

Kiedy już się wydaje, że to będzie kolejna bardzo spokojna noc, pojawia się kobieta, trzymająca za rękę chłopczyka o twarzy aniołka. Chłopczyk ciągnie ją w moją stronę. Oboje przystają naprzeciw mnie. Powinien już leżeć w łóżku, ale moja piosenka najwyraźniej go zahipnotyzowała. Widzę, że jest zachwycony i nie ruszy się aż do końca.

– Jak masz na imię? – pytam, gdy cichną oklaski. Szkoda, że jest za młody, by mieć konto na Facebooku, bez wątplenia zyskałabym czwarty oficjalny lajk na fanpage’u.

– Tommy – odpowiada. – Będę jechał nocnym pociągiem.

– Fajnie.

Zwija rączki w małe pulchne piąstki i podpira się pod boki.

– A ty też pojedziesz pociągiem?

Potrząsam głową z uśmiechem.

– Nie. Zostanę tutaj i będę dalej grać.

– Dlaczego grasz tak późno? – pyta. Muszę przyznać, że to logiczne pytanie. W godzinach porannego szczytu byłoby znacznie więcej osób, które nie zwracałyby na mnie uwagi bądź nagradzały moje wysiłki torebkami niedojedzonych cukierków. Mądry dzieciak. Postanawiam wykazać się wobec niego szczerością.

– Ponieważ nie mogę wychodzić na słońce.

Myśli intensywnie, marszcząc brwi. Po chwili dochodzi do tego samego wniosku, co wszystkie inne dzieciaki, kiedy byłam w jego wieku.

– Jesteś wampirem?

Śmieję się. Jako wampir pewnie miałabym znacznie lepiej, bo przewidywalna długość mojego życia wynosiłaby setki lat, nie czułabym takiej presji, żeby koniecznie zrobić coś wielkiego, co wstrząśnie posadami świata, tylko po to, by dowieść, że istniałam przez ten krótki czas, który był mi dany.

– Żałuję, ale nie. To byłaby znacznie fajniejsza opcja. Niestety, chodzi raczej o coś w rodzaju ciężkiej alergii.

Kiwa głową.

– Ja mam alergię na truskawki. Cieknie mi z nosa i dostaję wysypki.

– Do dupy – przyznaję. Spoglądam na jego mamę. Mam nadzieję, że nie jest zła z powodu mojego niezbyt kulturalnego słownictwa. Ona jednak gapi się w telefon, jej palce fruwały po klawiaturze. Upiekło mi się, chyba nawet nie słyszała.

– A co się dzieje, jeśli wyjdiesz na słońce? – pyta Tommy.

Krzywię się i wzruszam ramionami. Nie zamierzam straszyć dzieciaka, nie powiem, że mogę się po prostu usmażyć. Nie zamierzam też robić mu wykładu na temat raka skóry. Wreszcie decyduję się na wymijającą odpowiedź:

– Coś znacznie gorszego niż wysypka.

Tommy znów kiwa głową. Chyba jest pod wrażeniem. Hm, jeszcze nie wie, że to dopiero początek.

– A wiesz, że napisałam piosenkę o tobie i twojej alergii?

Robi karpia, a ja zaczynam grać improwizowany głupiutki utwór w bardzo szybkim tempie, wymyślając słowa na poczekaniu.

Jeeeeśli Tommy zje truskawkę, dostanie wysypki

Gdy ja wyjdę na słońce, czeka mnie zgon szybki.

Tommy chichocze.

– Jeśli uważasz, że to było dobre, to zaczekaj na refren – mówię.

Tommy ma alergię i ja alergię mam

Alergię razem mamy, już nie jesteśmy sami.

Tommy szczerzy się od ucha do ucha, a kiedy mama pociąga go za sobą, odwraca się i macha na pożegnanie, na jego twarzy wciąż widnieje uśmiech. Tego wieczoru z pewnością nie zdobędę równie oddanego fana jak ten malec. To chyba dobry moment, żeby wypróbować jedną z najnowszych piosenek. Będę mogła się przekonać, czy nie wymaga poprawek i nikt nie zauważy,

jeśli (kiedy) coś schrzanię.

Otwieram mój stary wierny notes – pełen tekstów i akordów do utworów, które napisałam. Jest to mój drugi w kolejności najlepszy przyjaciel, zaraz po Morgan. Odnajduję ostatnią zapisaną stronę. Biorę głęboki oddech i zaczynam. Pierwsza próba okazuje się nieudana, zaczynam ponownie, tym razem wszystko idzie jak należy. Mój głos splata się z muzyką, zatracam się w chwili. Nie ma znaczenia, że śpiewam tylko dla siebie, że mam tę przeklętą chorobę, i że nie idę na szaloną imprezę na zakończenie liceum jak każda normalna osoba w moim wieku.

W pewnym momencie odrywam wzrok od progów i zamieram. Oto nastąpiła apokalipsa, życie zmieniło się nieodwołalnie. Przedemną stoi zakichany Charlie Reed i patrzy z czymś na kształt zainteresowania. Słucha piosenki, która w sumie, jeśli mam być szczerą, opowiada o nim.

Wpadam w totalną panikę.

– O Boże! – piszczę.

– Hej – mówi, śmiejąc się z mojej gwałtownej reakcji.

Hej, tak po prostu. Cóż, chyba niezbyt oryginalna fraza. Nie ma to jednak większego znaczenia, nadal znajduję się w stanie zachwyty i ekscytacji, że to naprawdę on, we własnej osobie, facet, którego od tak dawna obserwuję z daleka. Mój puls galopuje, chyba zaraz zemdleję. Podrywam się z miejsca, nerwowo wpycham gitarę do futerału. Torebka Skittles wypada na ziemię.

Plan jest taki, że zwieję najszybciej jak tylko się da. Moje doświadczenie w rozmawianiu z najseksowniejszym facetem na tej planecie równa się zero. A właściwie z każdym facetem, niezależnie od stopnia atrakcyjności, starszym od Tommy’ego, mojego fana numer jeden. Pogadam z Charliem Reedem innym razem, kiedy mój mózg nie będzie przypominał spanikowanej jajecznicy.

– Ej, nie chciałem cię wystraszyć – mówi Charlie, podając mi cukierki. Nasze palce się stykają. Przez ramię przechodzi fala mrowiącej energii.

Adrenalina krążąca w żyłach nieco opada, na tyle, że mózg jest w stanie zarejestrować, że muszę się uspokoić.

– Co? Em. To... Wystraszyć? Mnie? W życiu. Niczego się nie boję. Nigdy. Wykluczone.

Nie wiem, w jakim języku próbuję mówić, ale na pewno nie jest to angielski. Nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Co za totalna megaporażka. Instynkt podpowiada mi, że bym sobie poszła, bo tylko to

wydaje się sensowne. Wreszcie pojawiła się okazja, by spędzić trochę czasu z cudownym chłopakiem, do którego wzdycham od dziesięciu lat? Najlepsza strategia: nie odzywać się. Sprytne posunięcie!

Ku memu przerażeniu Charlie wciąż coś do mnie mówi.

– Hej, dokąd się wybierasz?

– Do domu – odpowiadam. – Muszę wracać.

To szczerza prawda. Tata pewnie już otworzył aplikację Find My iPhone i niespokojnie śledzi małą kropkę, czyli mnie. Właściwie to najprawdopodobniej śledził ją od mojego wyjścia z domu. Nie zdziwiłabym się, gdyby kazał Fredowi transmitować mój występ na Facebook Live, żeby mnie obserwować i monitorować przez cały ten czas.

Charlie przekrzywia głowę i obserwuje mnie z zaciekawieniem. Powiedziałabym, że wygląda jak najśliczniejszy na świecie szczeniaczek, ale jest śliczniejszy nawet od najśliczniejszego mopsa. Nawet nie przypuszczałam, że coś takiego jest możliwe.

– Gdzie mieszkasz? – pyta. – Nie chodzisz do liceum Purdue High.

Nadal walczę z zamknięciem przy futerał. Pierwsze złe wrażenie zmienia się w jeszcze gorsze drugie i trzecie. Chcę jak najszybciej się stąd zwinąć.

– Nie. Nie, nie, nie. Chodzę do innej szkoły – bełkoczę nieskładnie. Mówiłam, że to fatalny nawyk. – Ale dzisiaj było zakończenie szkoły, a mój tata bardzo się martwi, więc...

Wreszcie udaje mi się zamknąć futerał. Zaraz nastąpi wielka ucieczka. Może pewnego dnia Charlie zapomni, jaka byłam dzisiaj fatalna i zaczniemy od zera, bez tego zenującego strumienia wyrzniętych przeze mnie słów.

Ale kiedy wstaję, futerał znów się otwiera. Mój wspaniały prezent zaraz wyląduje na ziemi. Gitara mamy roztrzaska się na kawałki.

Charlie łapie ją w ostatnim momencie. Delikatnie wkłada do futerału i starannie go zamyka. Potem po raz drugi podnosi torebkę z cukierkami i podaje mi wraz z gitarą.

Patrzy mi prosto w oczy, tak długo, że już na pewno przeszłam ze stanu stałego w płynny. Zmieniłam się w człowieka-kałużę, trzeba będzie mnie wytrzeć mopem. Gdyby moje życie było filmem, w tej chwili zaczęlibyśmy się całować, a na niebie wybuchłyby fajerwerki.

Ale nie jest, więc Charlie mówi tylko:

– Ja też skończyłem dzisiaj liceum.

Z całych sił powstrzymuję się, by nie wykrzyknąć: *Wiem! Oglądałam*

transmisję na komputerze, w moim dziwnym zaciemnionym pokoju!

Niestety, to co mówię, jest jeszcze gorsze.

– No to gratulacje, supergwiazdo! – Krzywię się i mruczę pod nosem: –
O Boże.

Charlie wybucha śmiechem.

– Czegoś równie żenującego w życiu nie słyszałem.

Naprawdę czas się poddać i stąd pójść.

– Aha, to właśnie cała ja. Żenada. Muszę lecieć.

– Co ci się tak spieszy? – pyta, ruszając za mną.

Mówię pierwszą rzecz, która przychodzi mi do głowy:

– Eee, chodzi o mojego kota.

Tak gwoli jasności: nie mam kota, nigdy nie miałam kota. Gdyby tata mi pozwolił, miałabym psa. Mopsa, którego nazwałabym Tops McMopson. Ale tata twierdzi, że byłoby nie w porządku trzymać szczeniaka zamkniętego przez cały dzień w domu, martwi się też promieniami UV, które atakowałyby mnie za każdym razem, kiedy wypuszczałabym swojego pieszczoła na dwór. Tak więc nie ma szans.

– O, kota. – Charlie uśmiecha się szeroko, jakby przejrzał moje kłamstwa.

– Aha – mówię, niezrażona własną głupotą. – Mój kot... umarł.

Brwi Charliego marszczą się uroczo, twarz przybiera zdumiony wyraz.

– No to chyba w gruncie rzeczy nigdzie ci się nie spieszy...

– Owszem, spieszy mi się... Muszę zaplanować pogrzeb... – jąkam się.

Jestem beznadziejna.

Ponownie postanawiam zakończyć sprawę. Już nie powiem nic więcej, żadnych idiotycznych bredni ponad te, które już wyszły z moich ust. Tym razem wreszcie udaje mi się zostawić faceta swoich marzeń.

Słyszę, jak za mną woła:

– Zaczekaj... jak masz na imię?

Nie odpowiadam. Jeśli się dowie, nie będę mogła zaprzeczyć, że jestem tą walniętą laską, która przy pierwszym spotkaniu gadała o martwym kocie, który w ogóle nie istnieje. Idę więc w milczeniu przed siebie.

Dopiero kiedy już jestem w domu, kiedy leżę bezpiecznie w łóżku – po tym jak ze swadą opowiedziałam tacie, jak to zrobiłam furorę na stacji kolejowej – pojawia się żal, napływa szybką wściekłą falą. Jak mogłam zmarnować taką szansę?

Oto najbardziej żenująca noc w całym moim dotychczasowym życiu.

5

Rano, zanim położę się spać, wpada Morgan, ciekawa pełnej relacji. Wysłałam jej esemes z wersją skróconą mojej wymiany zdań z Charliem, ona jednak pragnie poznać całą historię wraz z najbardziej nieprzyzwoitymi szczegółami, bezpośrednio z ust właścicielki zmarłego kota.

– Kot? – piszczy, robiąc przerażoną minę.

Wydaję z siebie jęk i chowam głowę pod poduszką. Może jeśli zakopię się w pościeli na wystarczająco długi czas, po przebudzeniu okaże się, że to był tylko zły sen.

– Pogrzeb kota? – prycha Morgan i śmieje się tak, że mało nie spada z krzesła obrotowego.

– Nie mów tego na głos! – wrzeszczę spod poduszki. Jeśli będzie dalej powtarzać wszystkie głupoty, których nawygadywałam, ta noc z pewnością nie okaże się sennym koszmarem.

Morgan podnosi się, podchodzi do łóżka i pada na nie. Nic nie widzę, ale wiem, że tam jest, bo materac trzęsie się od jej śmiechu. Kładzie dłoń na moim ramieniu.

– W porządku, Katie. Słyszałam, że martwe zwierzaki domowe to bardzo skuteczny afrodyzjak.

Siadam i zdejmuję poduszkę z twarzy.

– A co miałam powiedzieć?

– Cokolwiek. Mogłaś użyć jakiegokolwiek innej kombinacji słów w języku angielskim.

Wiem, że historia z kotem była idiotyczna i żenująca, przychodzi mi jednak do głowy kilka zdań, które brzmiałyby jeszcze gorzej.

– Poważnie? Na przykład: Hej, jestem Katie, od dziesięciu lat codziennie obserwuję cię z okna swojego pokoju?

– No, nie zaczynałabym od tego...

Splatam ramiona na piersi i rzucam jej surowe spojrzenie.

– Aha, to może tak: Niewykluczone, że pamiętasz mnie z podstawówki,

byłam wówczas powszechnie znana jako Wampirzyca.

Morgan wywraca oczami.

– Nikt tego nie pamięta!

Wzdycham i walę w poduszkę.

– Zawsze chciałam z nim porozmawiać, zawsze chciałam go zobaczyć w realu, a kiedy wreszcie pojawiła się okazja, całkiem zgłupiałam. Moje ciało mnie zdradziło. Zdradziłaś mnie! – krzyczę, patrząc na samą siebie z odrazą.

– Naprawisz to następnym razem – mówi Morgan łagodniejszym głosem. Już się ze mnie nie nabija. Wie, co mogła dla mnie oznaczać ostatnia noc i jak fatalnie się czuję, że wszystko spieprzyłam.

Patrzę na nią.

– Widziałaś mój tweet. – Chodzi mi o ten, który zamieściłam w nocy po powrocie: **Nigdy więcej nie wyjdę z domu. Poważnie.**

– Katie, tak naprawdę dobrze się stało. Sama się przekonasz – mówi Morgan. – Teraz wiesz, że możesz wychodzić i gadać z ludźmi w naszym wieku, i nie każdy musi okazać się wstrętnym dupkiem. Budzisz w ludziach sympatię. Nawet jeśli opowiadasz pierdoły o martwych kotach, spotykając najseksowniejszego faceta w całej szkole.

– Przestań mi o tym przypominać! – odpowiadam, waląc się pięścią w czoło. Chyba zaraz się rozpłaczę. – Poza tym ostatnia noc to właśnie dowód, że po tylu latach spędzonych w zamknięciu, na polu kontaktów z ludźmi jestem kaleką. Nie zamierzam narażać się więcej na tak żenujące sytuacje.

Morgan klepie mnie w kolano.

– No, trochę zardzewiałaś, co z tego. Tym bardziej masz powód, żeby wychodzić. Kto wie, co się wydarzy następnym razem.

– Nie będzie następnego razu – burczę. – Przynajmniej nie z Charliem...

– Tego nie wiesz...

Przerywam jej, zanim wymieni wszystkie nieprawdziwe powody, dla których sprawy mogłyby w przyszłości przybrać inny obrót.

– Owszem, wiem. To była moja jedyna szansa. Nigdy więcej go nie spotkam. A wiem na pewno, ponieważ nigdy więcej nie wyjdę z domu. Ale tata się ucieszy!

– Daj spokój. Nie mówisz poważnie.

Splatom ramiona na piersi.

– Owszem, tak.

Morgan porzuca próby przekonania mnie, że nie jestem totalną beznadzieją w kwestii facetów i ogólnie życia poza ścianami swojego pokoju, i zamiast tego zaczyna przeglądać coś w telefonie. Nagle szczęka jej opada, a oczy robią się wielkie jak spodki.

– Wchodziłaś dzisiaj na Drogą Gabby?

Moje serce gwałtownie przyspiesza. To może oznaczać tylko jedno. Kilka miesięcy temu napisałam pytanie do naszej ulubionej ekspertki doradzającej w przeróżnych sprawach, chciałam je od razu wysłać, ale jednak się powstrzymałam, aż parę tygodni temu późno w nocy nasza mnie chwila słabości – nie wspominając o dotkliwym poczuciu osamotnienia. Nie sądziłam, że otrzymam odpowiedź i teraz nie mam pojęcia, jak odnieść się do faktu, że moje przerażająco szczere i zawstydzająco otwarte myśli znalazły się na forum publicznym i każdy może je sobie przeczytać. Decyduję się zaprzeczyć.

– Nie – mamroczę, walcząc z pragnieniem, by wyrwać Morgan telefon i oszacować zakres zniszczeń. – Właściwie już tam nie zaglądam.

Morgan wykrzywia usta i robi najbezczelniejszą ze swoich min.

– A więc chcesz powiedzieć, że to nie ty napisałaś ten list? Że zrobiła to jakaś inna dziewczyna cierpiąca na schorzenie, którego objawy do złudzenia przypominają XP, i pisząca w stylu bardzo podobnym do twojego?

Uciekam wzrokiem, udaję, że jestem całkowicie pochłonięta zbieraniem skulkowanych włosów z koca.

– Jasne. To na pewno nie ty – dorzuca i zaczyna czytać słowa, które doskonale znam. Moje serce wali w klatce piersiowej, jakby chciało wyskoczyć i uciec od tej koszmarnej sytuacji.

– *Droga Gabby. Po pierwsze, złe wieści: mam groźną dla życia chorobę, moje ciało nie potrafi naprawić uszkodzeń spowodowanych ekspozycją na promienie UV. A teraz dobre wieści: nie dość, że mogę zmieniać noc w dzień – i chociaż nie wolno mi wychodzić na słońce, to cieszę się gwiazdami – w sumie prowadzę normalne życie. Gram na gitarze, spotykam się z najlepszą przyjaciółką, świetnie radzę sobie w szkole (na koniec dostałam bardzo dobre oceny i zaczęłam już kurs odpowiadający wyższemu studiom) i mam świetny kontakt z tatą.*

Brakuje mi tylko tej jedynej wyjątkowej osoby – niczym nie różnię się od reszty ludzi, tak jak wszyscy marzę, by nawiązać z kimś głęboką, magiczną relację. Ale nie licząc wampirów, które są dla mnie kilkaset lat za stare, z kim

mogłabym się umawiać w takich dziwnych godzinach? Nie wspominając o tym, że nigdy nie pojedziemy razem na wakacje nad morze.

Chociaż wszystko przemawia przeciw mnie, jest ktoś taki, kogo chciałabym bliżej poznać. Nie ma pojęcia o moim istnieniu, ale ja od wielu lat obserwuję go z ukrycia. Nieodparcie przyciąga mnie jego dobroć i wesołe usposobienie. No i trzeba dodać, że jest niesamowicie przystojny.

A więc, Gabby, powiedz wprost: Czy powinnam zarzucić marzenie o miłości, zwłaszcza z tym facetem? A może zrobić wielki pierwszy krok, zwrócić na siebie uwagę i liczyć na to, że nie będą mu przeszkadzać moje genetyczne braki?

*Pozdrawiam,
pozbawiona słońca, lecz nie nadziei.*

Morgan podnosi wzrok znad telefonu. Jestem cała czerwona. Gwałtownie kręcę głową.

– Nie. Nie, nie, nie. To nie ja.

– A więc pewnie wcale nie interesuje cię odpowiedź, zgadza się? – rzuca Morgan z lekkim uśmieszkiem.

Nadal próbuję udawać obojętność. Nawet nie wiem dlaczego. Jest oczywiste, że to ja napisałam ten list.

– No, jeśli twoim zdaniem jest dobra, to przeczytaj – mamroczę. – Jeśli bardzo chcesz. Chyba.

Posyła mi krzywy uśmiech.

– Nie spodoba ci się, że Droga Gabby udziela ci w stu procentach takiej samej rady jak ja. To znaczy, nie tobie, oczywiście, tylko tej drugiej dziewczynie z XP, która prowadzi podobne życie jak ty. Musisz... ona musi znowu wyjść z domu i spróbować z Charliem jeszcze raz.

Droga Pozbawiona Słońca,

jest takie powiedzenie, które kiedyś poznałam dzięki pewnemu znajomemu z New Jersey: każdy ma swoją kanapkę z gównem. Jedyne różnica jest taka, że nie każdy ma ochotę o tym mówić. Uwierz mi, każdy człowiek wchodzi w nowy związek z jakimś bagażem i każdy naprawdę znaczy każdy. Depresja, dysfunkcje, długi, co tylko chcesz. Ty akurat posiadasz kod DNA, który nie pozwala naprawić uszkodzeń wywołanych przez słońce i skazuje cię na życie w nocy. I co z tego? Czy twoja porcja gówna jest pod

jakimś względem gorsza niż w przypadku pozostałych ludzi?

Może nie umówisz się z nim po południu na minigolfa, ale randkowanie i tak przecież odbywa się głównie w nocy. Co oznacza, że nie jesteś wykluczona z tej konkurencji. Ani trochę, skarbie.

Poza tym wydaje mi się, że martwisz się na zapas. Założyłaś z góry, że ten chłopak – który, z tego, co piszesz, ma mnóstwo wspaniałych cech – na pewno cię odrzuci z powodu okoliczności pozostających poza twoją kontrolą. Pamiętaj, owszem, ty nie możesz wychodzić w ciągu dnia, ale on z pewnością wychodzi czasem wieczorami. Może znajdziesz się przypadkiem w miejscu, gdzie można go spotkać i dasz mu szansę, by udowodnić, że się myliłaś? Zacznij rozmowę. Zobaczysz, dokąd cię zaprowadzi. Bądź swobodna, spokojna i opanowana. Daj się zaskoczyć.

Zostawiam cię z tą myślą. Właściwie potraktuj to jako wyzwanie. Nie pozwól, by ten aspekt twojego życia – który w żaden sposób cię nie określa – powstrzymywał cię przed realizacją marzeń, nawet najbardziej szalonych. Spróbuj trochę uwierzyć w siebie i bliźnich, i naszą nieskończoną zdolność do miłości i wybaczenia sobie wzajemnie wszelkich niedostatków.

A jeśli chodzi o tego faceta, po prostu spróbuj. Spróbuj wszystkiego, czego tylko pragniesz w życiu. Mam nadzieję, że dostaniesz to, o czym marzysz – i jeszcze więcej.

*Ściskam
Gabby.*

Ignoruję fragment o aspekcie życia, który niby mnie nie określa (bo kiedy masz tak rzadką chorobę jak XP, nie ma przed nią ucieczki – ale Gabby nie może o tym wiedzieć) i próbuję przyswoić sobie jej rady, ale mogę myśleć tylko o tym, jaka czuję się słaba i krucha. Mam nadzieję, że Zoe Carmichael i jej dwór nie wchodzi na stronę Drogiej Gabby. Nie mogę znieść myśli, że ten list dostarczyłby im narzędzi do jeszcze bardziej skutecznych tortur.

– Fragment o tym, że powinnaś mieć więcej wiary w siebie i w innych ludzi, i ten o naszym nieskończonym potencjale do miłości i wybaczenia sobie wzajemnie wszelkich niedostatków, jest naprawdę świetny, nie? – mówi Morgan, kiedy oddaję jej telefon. – O mało się nie poryczałam,

a wiesz, że łatwo się nie wzruszam.

– Mnie najbardziej podobała się kanapka z gównem – odpowiadam z lekkim uśmiechem.

Droga Gabby naprawdę jest najlepsza. Inteligentna i szczerą, zawsze mówi otwarcie, co i jak, nawet jeśli nie chcesz tego słuchać. – I podtrzymuję, że ja tego nie napisałam.

Morgan wywraca oczami.

– Jasne – mówi. – Wiesz, nic by ci się nie stało, gdybyś znów do niego zagadała. Mogłabyś na przykład pokazać mu zabawną fotkę jednego z twoich pluszowych zwierzątek w pudełku i powiedzieć, że już jest po pogrzebie i możecie się umówić. Czy coś w tym stylu.

Kręcę głową.

– Nie ma szans.

– Ale był dla ciebie taki miły – protestuje Morgan. – Podobała mu się twoja piosenka. I twój głos. I ty.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że Morgan ma trochę racji, Charlie rzeczywiście był dla mnie miły, mimo że ja zachowywałam się dosyć dziwnie. Wysłuchał mojej piosenki i chyba mu się spodobała. Chciał nadal ze mną rozmawiać nawet po tym, jak zaserwowałam mu te wszystkie zwariowane kłamstwa, żeby tylko się go pozbyć. W sumie jest idealnym facetem... i dlatego wcale nie potrzebuje w swoim życiu mnie i moich problemów.

– Charlie Reed i ja, to po prostu nie może się udać – mówię.

Morgan zeskakuje z mojego łóżka, chwyta gitarę i podaje mi ją.

– Wiesz, co mogłabyś zrobić fajnego, zamiast trwać w głupim uporze? Mogłabyś napisać piosenkę o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy! Tak zrobiłaby Taylor Swift! Zawsze pakuje się w dziwne sytuacje z facetami, a potem pisze o swoich przygodach rewelacyjne utwory!

A więc może z tej koszmarnej sytuacji jednak wyniknie coś dobrego. Jak wiadomo, złamane serce to doskonałe źródło artystycznych inspiracji.

– Coś w tym stylu? – mówię, biorąc od Morgan gitarę i zaczynam improwizować.

*Ach, nie wiem czemu, ale jestem debilem,
kiedy go ujrzałam, całkiem nawaliłam.*

*Bliska zawału prawie się zrzygałam
no, na całego dałam ciała.*

– Hmmmm. Jeszcze bym popracowała nad tekstem – wyrokuje Morgan.

Podchodzę do futerału. W mojej głowie formuje się pomysł na nowy utwór. Napiszę piosenkę country zatytułowaną *Mój zmyślony martwy kot (chce, byś przyszedł na jego pogrzeb)*, zadedykuję ją Charliemu Reedowi, a on usłyszy ją w radio i będzie się śmiał, i stwierdzi, że moje żenujące zachowanie jest urocze, i zaczniemy od początku. Istnieje tylko jeden problem: zginął mój zeszyt z tekstami.

– O Boże, mój zeszyt! – wykrzykuję. Tracę oddech, serce galopuje w panicznym tempie. – Chyba zostawiłam go na stacji. Są w nim wszystkie piosenki, które napisałam! Mogłabyś po niego pójść?

– Mogłabym, ale zmarła mi papuga, muszę odprawić żałobę...

Walę Morgan po udzie.

– Mówię poważnie. Proszę.

Śmieje się.

– No jasne. Pójdę po południu.

* * *

Po wyjściu Morgan znowu pogrążam się w żalu za utraconą szansą. Niech cię, Charlie Reed. Gdybyś tylko okazał się totalnym rozczarowaniem, wcale bym się nie przejmowała, że zrobiłam z siebie kretynkę w twojej obecności.

Niestety, byłeś nawet jeszcze wspanialszy niż sobie wyobrażałam.

6

Później tego samego dnia następują dwa wydarzenia, które całkiem wytrącają mnie z równowagi. Po pierwsze przyłapuję tatę, jak zakrada się do domu po powrocie z wizyty u mojej lekarki od XP. Poszedł tam beze mnie. Znowu.

– Tato! – drę się. Siadam na łóżku i przecieram oczy. Na podeście za drzwiami mojego pokoju słychać jego kroki, w zamierzeniu ciche i dyskretne. Zegar pokazuje szóstą po południu. Wizyta była wyznaczona na czwartą. Mieliśmy iść razem. Co jest?

– Wyłączyłeś mój budzik?

Tata spuszcza głowę.

– Spałaś tak słodko, pomyślałem, że pewnie jesteś zmęczona po koncercie na stacji, więc podjąłem odgórną decyzję...

– Raczej nie możesz znieść myśli, że miałabym wyjść z domu w ciągu dnia, chociaż wiemy, jak należy postępować – odpowiadam, unosząc brew i rzucając mu oskarżycielskie spojrzenie. – Już nie wspominając o tym, że nie cierpisz, kiedy doktor Fleming mówi mi prawdę i nie owija w bawełnę.

Bezradnie wzrusza ramionami.

– Jest taką pesymistką! Nie potrzebujesz negatywnego przekazu, zwłaszcza gdy wszystko w życiu tak wspaniale ci się układa.

Jakim życiu? pytam w myślach. Ale nigdy nie powiedziałabym tego na głos.

Poklepuję wolne miejsce na łóżku. Tata wbija weń wzrok, po czym siada z wahaniem. Wygląda jak mały chłopiec przyłapany na wyjadaniu ciasteczek.

– To co powiedziała? – pytam.

– Nic takiego. Chciała wiedzieć, czy wystąpiły jakieś zmiany w funkcjach motorycznych, i czy miałaś kontakt ze światłem słonecznym. Oczywiście odpowiedziałem, że nie.

Kręcę nadgarstkiem, jakbym chciała powiedzieć: *Wiem, że to nie wszystko, gadaj.*

– A co z badaniem na Uniwersytecie Waszyngtońskim?

Na twarzy taty pojawia się szeroki uśmiech.

– Niedługo się zacznie! Dosłownie lada chwila!

Wiem, co to oznacza, bo zdarzało się już tyle razy. Nie ma zbyt wielu chętnych, którzy byliby gotowi pakować pieniądze w badania nad chorobą dotykającą zaledwie jedną osobę na milion. Na test leku, o którym rozmawiamy, pewnie już zabrakło funduszy, co znaczy, że nie będzie drugiej fazy, w której ewentualnie mogłabym wziąć udział. A nawet gdyby jakimś cudem znalazły się fundusze, byłoby jeszcze większym cudem, gdyby udało mi się załapać. Świadomość, że żyje się z chorobą, która nikogo nie obchodzi, o której nawet prawie nikt nie wie, jest tak straszna, że chce mi się wyć. Ale to by tylko pogorszyło sprawę. Nieskończony cykl beznadziei.

– Nie martw się, nie wstrzymuję oddechu – mówię do taty. I chcąc zmasować sztuczny uśmiech z jego twarzy, dodaję: – Doktor Fleming z pewnością przypomniała ci również, że najmniejszy kontakt ze światłem słonecznym skończy się dla mnie śmiercią, a osoby z XP rzadko dożywają dwudziestego roku życia, zgadza się?

Mina mu rzędzie.

– Oczywiście, że nie. A nawet gdyby tak powiedziała, to bym nie słuchał. Tak, cierpisz na chorobę, która dotyka jedną osobę na milion, ale ty sama jesteś jedna na milion. Te statystyki cię nie dotyczą. Wygramy z tym świństwem. Razem.

– Jasne. – Ale w kwestii XP nic się nie zmieni. Nie ma nawet promyka nadziei. Żadnych nowych terapii. Tylko „Chroń się przed słońcem, aż pewnego dnia choroba cię dopadnie”. Jestem więźniem swego kodu genetycznego. Totalna i kompletna beznadzieja.

– Katie, obiecaj, że nigdy nie stracisz nadziei – mówi tata głosem łamiącym się od emocji.

Podnoszę wzrok, widzę, że walczy, próbuje nie stracić panowania nad sobą. Chciałabym porozmawiać z nim o tym, jak niewiele czasu statystycznie mi zostało, o tym, ile jeszcze chciałabym przez ten czas zrobić. Wymyślić plan gry, jak osiągnąć najwyższą możliwą jakość życia, bo na długość nie mamy wpływu. Ale tata chyba nie jest do tego zdolny. Zastanawiam się, nie po raz pierwszy, jak z tym wszystkim poradziłaby sobie moja mama. Nigdy się nie dowiem, ponieważ zmarła kilka miesięcy przed moją diagnozą, więc już zawsze będę się zastanawiała. Czy lepiej umiałaby stawić czoła faktom?

Ja też nie lubię o tym myśleć. O mojej dacie ważności. O tym, jak będzie

wyglądała moja śmierć. Ale czasem myślę. Oczywiście, że tak. Zwykle w nocy, w najciemniejszych godzinach, kiedy tylko ja nie śpię – ja sama w całym domu, w dzielnicy, w całym mieście – zastanawiam się, czy śmierć jest podobna i również taka samotna. Samotny człowiek w ciemności, rozbudzony i czujny. Mam szczerą nadzieję, że nie, to by było niepotrzebne okrucieństwo. Jakbym na nowo przerabiała swoje życie, tyle że tym razem przez całą wieczność.

Zmuszam się do uśmiechu i mówię:

– Wiesz, tato, że nigdy nie stracę nadziei. Jesteśmy wojownikami. Nigdzie się nie wybieram.

Również próbuje się uśmiechnąć, ale jego twarz wciąż jest pozbawiona koloru, więc dodaję:

– Daj spokój. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

– To dobrze, bo chyba bym tego nie przeżył – mówi, podnosząc się. Oto szczerść, której tak pragnęłam. Łamie moje serce, tak jak i jego.

* * *

Właśnie czytam najświeższe posty na jednym z forów poświęconych rzadkim chorobom, gdy przychodzi wiadomość od Morgan. **Mam twój zeszyt, ale musiałam pędzić do pracy. Zostawiłam go w okienku biletowym.** Wzdycham. To bardzo w stylu Morgan, nie mieć czasu na załatwienie obu spraw na raz. Mam taką niepotwierdzoną teorię, że Morgan cierpi na poważny przypadek ADHD. Kiedy jest u mnie, zawsze okropnie kręci się na krześle obrotowym – ta dziewczyna nie może przez sekundę usiedzieć spokojnie – a poza tym nigdy nigdzie nie zdąża na czas. Twierdzi, że nie mam pojęcia, o czym mówię, a ona jest po prostu megaenergetyczną osobą, która próbuje upchać zbyt wiele zajęć w zbyt małej ilości czasu. Postanowiłyśmy uszanować tę różnicę zdań.

Ale i tak się cieszę, że nie straciłam dorobku całego życia, a biorąc pod uwagę mętlik w głowie, dobrze mi robi, jeśli sama przejdę się na stację. Muszę pospacerować, oczyścić myśli. Świeże powietrze pomaga niemal na wszystko, nawet jeśli twoja przypadłość polega na tym, że przez ciebie twój ojciec jest pogrążony w głębokim smutku i w dodatku zachowałeś się jak debilka przy pierwszym spotkaniu z facetem swoich marzeń.

Wkładam za dużą bluzę z logo Seattle SuperSonics (już nieistniejącej

drużyny koszykówki, na której punkcie tata miał kiedyś prawdziwą obsesję), stare zniszczone dżinsy i czarne conversy. Schodzę na dół. Tata pracuje na laptopie – zapewne wpisuje uczniom oceny za ostatnie zadanie – jednocześnie wrzeszcząc na drużynę baseballową Marinersów rozgrywającą mecz na ekranie telewizora oraz jedząc kanapkę napchaną taką ilością mięsa, że mierzy chyba z osiem centymetrów grubości.

– Skoczę na stację po swój zeszyt. Zostawiłam go tam wczoraj, Fred go przechował.

Tata, bez reszty zajęty kanapką, ledwo raczy spojrzeć.

– Wyślij mi esemes, kiedy dotrzesz na miejsce, uważaj na siebie i wracaj prosto do domu. Kocham cię – mówi z ustami pełnymi szynki i sera. Jasne, szybką wycieczkę w obie strony jakoś jeszcze znieś, ale w obliczu perspektywy, że przez chwilę mogłabym się dobrze bawić, od razu wpada w panikę.

– Ja ciebie bardziej – odpowiadam. I mówię to szczerze, chociaż mnie wkurza.

Przełyka wielki kęs i, zanim weźmie kolejny, protestuje:

– Niemożliwe.

* * *

Wychodzę za próg, zamykam drzwi i zastanawiam się przez chwilę, gdzie w tym momencie jest Charlie, co porabia i z kim, a potem w milczeniu zaczynam wyrzucać sobie żenadę z pogrzebem kota. Nie ma znaczenia, co robi teraz Charlie, ponieważ z pewnością nie ma opcji, byśmy w najbliższym czasie się spotkali.

Pokonuję schody prowadzące na peron i kieruję się do okienka biletowego. Freda nie ma na stanowisku. Zerkam zza węgła, bo może zostawił zeszyt na ławce stojącej naprzeciw miejsca, gdzie zwykle gram.

Po części mam rację: mój zeszyt rzeczywiście znajduje się na ławce. W dłoniach Charliego Reeda, który przewraca kartki, jakby przeglądał przestarzały numer tandetnej plotkarskiej gazety.

Nie wiem, co gorsze: ja bredząca jak idiotka, kiedy wreszcie spotkałam faceta swoich marzeń, czy on tak obsesowo traktujący zapis moich najskrytszych myśli. Czuję się niesamowicie upokorzona. Muszę tylko odzyskać zeszyt, nie zdradzając przy tym swojej obecności i zmywam się

stąd.

Chowam się za rogiem i dzwonię do Morgan, która jest już w pracy.

– Halo, tu lodziarnia Purdue Creamery – ćwierka. – Jak przebiega druga randka z Charliem?

– Zaraz. Co? – Szczeka mi opada. – Skąd wiesz, że on tu jest?

– Dałam mu twój zeszyt na przechowanie – odpowiada Morgan, jakby postąpiła najsłuszniej na świecie.

– Zabiję cię, Morgan! Jak mogłaś mi to zrobić? Mam na sobie bluzę z logo SuperSonics w rozmiarze XL! Nawet się nie uczesałam!

Morgan tylko się śmieje.

– Katie, nie wiem, jak to ująć, ale... jesteś niesamowicie seksowna. Nie widzę cię w tym momencie, ale wiem, że wyglądasz bosko.

– Wcale nie – syczę. – Gdybyś mogła mnie zobaczyć, na pewno byś się ze mną zgodziła.

– Katie, zaczekaj chwilkę – mówi Morgan, a potem wrzeszczy do kogoś: – Bardzo przepraszam! Nie widzisz, że rozmawiam przez telefon?

Mam nadzieję, że nie mówi do klienta próbującego zamówić lody. Morgan naprawdę potrzebuje pieniędzy na studia. Gdyby ją wywalili, miałyby poważny problem. W naszym mieście niewiele jest innych miejsc, w których można znaleźć pracę, w dodatku zaraz wszyscy by wiedzieli, że nie odeszła z pracy z własnej woli.

– Proszę, powiedz, że to nie był klient – mówię, kiedy wraca.

– Ależ owszem. Klient, a równocześnie upierdliwy frajer, z którym pracuję, niejaki Garver. Co wieczór zadaje pierdylion pytań. Co lubisz robić w wolnym czasie, Morgan? Jaki jest twój ulubiony smak lodów, Morgan? Masz rodzeństwo, Morgan? Który program w telewizji najbardziej lubisz oglądać? Przysięgam, zachowuje się jak marudny bachor.

– Najwyraźniej chciałby cię lepiej poznać. – Morgan zwykle nie może znieść facetów, którzy okazują jej szczerze zainteresowanie. Lubi niegrzecznych gości, którzy gadają wyłącznie o sobie. – To się nazywa rozmowa.

– To się nazywa zawracanie dupy – poprawia mnie. – A jeśli chodzi o Charliego, po prostu bądź sobą, Katie. To miły gość. I podobasz mu się, mówię ci. Tylko obiecaj, że nie będziesz bredzić, okej?

W tym momencie zdążyłam pogodzić się z faktem, że będę zmuszona się do niego odezwać, jeśli chcę jeszcze zobaczyć zeszyt. Wzdycham.

– Tylko jeśli ty spróbujesz być miła dla tego biedaka Garvera. Strasznie mi go szkoda.

– Fuj, mowy nie ma – prycha. – Zadzwoń potem.

I rozłącza się, nim zdążę coś jeszcze powiedzieć.

Ponieważ nie mam wyboru, biorę głęboki wdech i ruszam w kierunku Charliego. Kiedy jestem już blisko, podnosi głowę i w nagrodę posyła mi najszerszy i najmiłszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam. Ma wspaniałe wargi – nie nazbyt obfite, nie za cienkie – które wyglądają, jakby nigdy nie pękały. Zęby są idealnie proste i białe, a oczy tak ciepłe i przyjazne, że czuję się, jakbym pływała w oceanie dobroci i łagodności. W oszołomieniu niemal zapominam, że jestem na niego wściekła za brutalne naruszenie mojej prywatności.

– Ty istniejesz – mówi. – Myślałem, że może mi się przyśniłaś.

– Znajdowałeś się w fazie REM? – pytam. Ma niepewną minę, chyba nie bardzo wie, jak odpowiedzieć na ten suchar, więc brnę dalej: – Tylko żartowałam, wiem, że nie, bo ze mną rozmawiałeś, więc nie mogłeś spać. W każdym razie to właśnie w fazie REM człowiek śni, aktywność mózgu jest wtedy najwyższa, gałki oczne ruszają się przez cały czas pod powiekami, co bardzo dziwnie wygląda, jak maszyna do pisania czy coś...

Urywam, dociera do mnie, że znów to zrobiłam. Charlie uśmiecha się szeroko. Nie złośliwie. Raczej po prostu miło. Z rozbawieniem.

– Nieważne. Dzięki, że zaopiekowałeś się moim zeszytem – dodaję, próbując jednocześnie mu go wyrwać.

Ale trzyma za mocno. Zeszyt zostaje w jego rękach.

– Wciąż nie wiem, jak ci na imię.

– Katie. – Widocznie jest to tajne hasło, bo natychmiast oddaje mi zeszyt. Przerzucam kartki, by sprawdzić, czy wszystko jest jak było. Wygląda w porządku, ale po prostu muszę zapytać. – Hej, ale chyba nie czytałeś?

– Może trochę...

Czuję się koszmarnie zawstydzona i wściekła zarazem. Może laski z Purdue High odpuszczają mu wszelkie wybryki, bo jest taki śliczny, ale ze mną tak łatwo nie pójdzie.

– Ty chyba żartujesz.

– Co? – Robi wielkie oczy, jakby naprawdę się dziwił, że może nie życzę sobie, by zaglądał do moich intymnych notatek.

– Nie wolno czytać cudzych zapisków – mówię, unosząc wysoko zeszyt

jako dowód rzeczowy. – To jest jak pamiętnik, rozumiesz? Taką masz strategię? Uśmiechasz się uroczo i myślisz, że jak jesteś przystojny, to wolno ci włączyć z butami w cudzą prywatność?

Na twarzy Charliego znów pojawia się ten czarujący uśmiech.

– Uważasz, że jestem przystojny?

Policzki i uszy pali mi rumieniec wstydu. Czerwienię się tak mocno, że prawie się pocę. Mam nadzieję, że w tym świetle tak bardzo nie widać.

Charlie unosi rękę obronnym gestem.

– Hej, naruszenie prywatności było minimalne i konieczne. Uciekłaś tak szybko, a ja tylko chciałem sprawdzić, do kogo należy ten zeszyt.

Milczę. Tak łatwo mu nie odpuszczę.

– Fajnie, że pisziesz ręcznie – dodaje miękko. – To takie oldskulowe. Strasznie fajne.

No i nagle znowu jestem w nim zakochana. Nic na to nie poradzę. Stopień mojego zauroczenia znacznie przekracza stopień wściekłości. Wargi unoszą się w lekkim uśmiechu.

– Hm, dzięki. Że naruszyłeś moją prywatność tylko trochę.

Zastanawiam się, czy Morgan i Droga Gabby przypadkiem nie mają racji. Może faktycznie powinnam dać szansę Charliemu – i innym ludziom w moim wieku. Dać się zaskoczyć. W końcu dzisiejsze spotkanie przebiegło relatywnie gładko. Odwracam się i ruszam przed siebie, dumna, że tak świetnie sobie poradziłam i ani razu nie wspomniałam o pogrzebie kota.

– Umarł ci kolejny kot? – woła za mną Charlie.

Śmieję się, odwracam i odpowiadam:

– Nie, po prostu idę do domu.

– Mogę cię odprowadzić?

– Chyba tak. – Kręci mi się w głowie ze szczęścia, lecz nie zamierzam się z tym zdradzić. Coś mi mówi, że Charlie Reed nigdy nie musi się za bardzo starać, żeby zdobyć dziewczynę, a chcę, by wiedział, że ja różnię się od innych dziewczyn. Nie dlatego, że mam XP, tylko dlatego, że ja to ja. – Jeśli chcesz.

Idziemy powoli środkiem ulicy. Nic nią nie jeździ, więc beztrąsko spacerujemy i gawędzimy. Jest cicho, nasze kroki odbijają się od murów uśpionych budynków. Przyjemnie. Spokojnie.

– A więc uczyłaś się w domu? – powtarza po mnie Charlie. – Fajnie.

Przypominam sobie wszystkie wieczory, kiedy tata odpytywał mnie

z układu okresowego pierwiastków, z konstelacji i odmiany łacińskich czasowników. Wyobrazenie Charliego na temat domowej edukacji tak nie przystaje do rzeczywistości, że chce mi się śmiać.

– Wręcz przeciwnie – odpowiadam. I dodaję: – Mój tata jest nadopiekuńczy. – Chociaż to chyba już sobie wyjaśniliśmy.

Charlie patrzy w lewo, w prawo, w niebo, w końcu na mnie.

– Ale nie obserwuje nas w tym momencie, co?

– Jasne, że tak. Wysłał za nami dron.

Charlie się śmieje. A potem ja też się śmieję, głównie z radości, że zdołałam go rozśmieszyć. Kto by pomyślał, że moje życie z najgłębszych dennych głębin poszybuję na najwyższe wyżyny, i to w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin?

– Chyba muszę cię zapytać... Co o tym sądzisz?

– O dronie twojego taty? Chyba trochę przesadził, nie uważasz?

Znowu się śmieję.

– Nie, chodzi mi o piosenki. Te, które przeczytałeś w moim zeszycie. Bez pozwolenia.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Nie da się przeczytać piosenki. Musiałbym ją usłyszeć.

Przystaję. Jesteśmy już niedaleko mojego domu i mogłabym się założyć o dziesięć dolców, że tata stoi w pokoju od frontu i wpatruje się na zmianę w okno i aplikację Find My iPhone, czekając, aż stanę w drzwiach. Ostatnie, o czym marzę, to tłumaczyć, kim jest Charlie i co robię w jego towarzystwie.

– To twój dom? – pyta Charlie, wskazując na najbliższy budynek.

Macham ręką w stronę swojego domu, który stoi przecnicę dalej, wyżej na wzniesieniu.

– Nie, tamten. Ale mój tata ma czujny sen, wolałabym go nie budzić.

Spojrzenie Charliego biegnie we wskazanym kierunku.

– Nie mogę uwierzyć, że wcześniej się nie spotkaliśmy. Chyba codziennie przechodziłem pod twoimi oknami w drodze na trening.

– Trening? – pytam, chociaż doskonale wiem, o czym mowa. Jak mogłabym nie wiedzieć? Zawsze miał ze sobą plecak z logo drużyny, deskę do nauki pływania i inny sprzęt pływacki. Nie wspominając o tym, że podczas sezonowych zawodów jego nazwisko pojawiała się co tydzień w lokalnej gazecie, kiedy ustanawiał nowe rekordy.

– Tak, kiedyś uprawiałem pływanie, startowałem w zawodach. – I nagle

iskra w jego pięknych oczach gaśnie.

– Kiedyś?

Znów wzrusza ramionami.

– Długa historia.

Zmieniam bieg, mam nadzieję, że zaraz znowu stanie się tym radosnym i promiennym Charliem.

– Dziwne, co? Że kojarzysz, gdzie mieszkam.

– Aha. – Wciąż ma smutną minę. Czar prysł. Może następnym razem – jeśli będzie następny raz – uda nam się ten stan przywrócić. Na razie chyba powinnam zniknąć.

– Muszę lecieć. Dzięki, że mnie odprowadziłeś – mówię.

Robię krok, potem kolejny, a wtedy Charlie wypowiada sześć, być może najpiękniejszych słów, jakie istnieją w języku angielskim.

– Hej, Katie. Może chciałabyś się kiedyś spotkać?

Obracam się na pięcie.

– Z tobą, znaczy?

Charlie się śmieje, znów jest swobodny i wyluzowany.

– Nie, tak w ogóle, z kimś, kiedyś. No jasne, że mam nas na myśli.

Zastanawiam się, jak mu wytłumaczę moje okoliczności łagodzące i czy tata pozwoli mi z nim wyjść, a jeśli tak, czy zdołam zredukować moje bredzenie do minimum. Ale nagle do mnie dociera. To Charlie Reed. Facet z marzeń. Muszę spróbować. Dla Morgan i Drogiej Gabby, ale przede wszystkim dla samej siebie.

– W... w ciągu dnia jestem dosyć zajęta. Mam czas tylko wieczorami – mówię, pomijając wszystkie skomplikowane aspekty sprawy.

– Ja też mogę mieć czas wieczorami – odpowiada Charlie z uroczym wzruszeniem ramion.

– No to wpisz swój numer – mówię, podchodząc do niego i przerzucając zeszyt w poszukiwaniu miejsca wolnego od bazgrołów, tekstów i akordów. I nagle... Tak, to jego imię i numer, zdążył go wpisać na pierwszej wolnej stronie.

Przystaję w pół kroku.

– Ooooooo. Sprytnie.

Charlie posyła mi kolejny obezwładniający uśmiech.

– To też taka strategia. Jestem oldskulowy.

A potem stoimy tak i uśmiechamy się do siebie. Żadnemu z nas jakoś się

nie spieszy. Po chwili robi się trochę dziwnie. W końcu żegnam się, tym razem na serio, i biegnę w górę wzniesienia, w stronę domu.

Umówiłam się na randkę! Z Charliem Reedem! Odwracam się, żeby pomachać. Nadal nie rusza się z miejsca, obserwuje mnie z uśmiechem. Tym razem nie czuję zażenowania, tylko miłe ciepło. Jakby ktoś rozpałił w moim wnętrzu ogień.

Charlie Reed zaproponował mi spotkanie.

Teraz podoba mi się prawdziwy Charlie, nie wytwór mojej wyobraźni za oknem, a ja chyba podobam się jemu. To jest bardzo nowe i świeże. I trochę przerażające. W taki przyjemny sposób.

Chyba podoba mi się to uczucie.

7

Następnego popołudnia, akurat kiedy wstaję, Morgan wpada do mojego pokoju.

– OPOWIADAJ. WSZYSTKO.

Oczywiście napisałam jej, co się wydarzyło, ale chce to usłyszeć z moich ust. Wyciąga się na łóżku, a ja próbuję dokładnie przypomnieć sobie wszystko, co mówił Charlie. Opisuję, jak księżyc tańczył między nami, kiedy wracaliśmy do domu, jak Charlie poprosił mnie o spotkanie, jak się okazało, że jego imię i numer telefonu już widnieją zapisane w moim zeszycie, więc najwyraźniej wszystko przemyślał, nie umówił się ze mną pod wpływem impulsu, czy co gorsza przez pomyłkę. Morgan uśmiecha się szeroko, ja też się uśmiecham i czuję się jak idiotka, idiotycznie szczęśliwa.

– To takie romantyczne, że aż mnie mdli – stwierdza w końcu moja najlepsza przyjaciółka.

Wzdycham i przyciskam rękę do serca. Bije szybciej niż normalnie, chociaż minęło pół doby.

– Wiem. To było idealne.

Morgan siada i chwyta moje dłonie.

– A więc nie przeszkadza mu twoja XP? Tak przeczuwałam. Wiedziałam, że nie jest palantem. Tylko dlatego zostawiłam mu twój zeszyt, przysięgam. W innym przypadku nigdy bym nie pozwoliła, żeby ktoś położył na nim swoje brudne łapska.

Zaczynam obgryzać paznokiec. Próbuję zachowywać się jak gdyby nigdy nic, nie chcę mówić prawdy, ale Morgan za dobrze mnie zna.

– O nie. Katie – jęczy. – Nie powiedziałaś mu? Chcesz, żeby się dowiedział, kiedy zaczniesz się przy nim topić jak Zła Czarownica z Zachodu? Faceci są durni, ale nie aż tak.

Krzywię się.

– Ten temat jakoś się nie pojawił.

– Co niby masz na myśli?! – drze się Morgan.

Zatykam jej usta ręką. Tata z pewnością nie musi wiedzieć, że (a) podoba mi się chłopak (b) i że ten chłopak poprosił mnie o spotkanie (c) chociaż nie powiedziałam mu o masakrycznym stanie swojego zdrowia. Morgan wystawia język i zaczyna lizać moją rękę, więc w końcu ją zabieram.

– Mam na myśli – odpowiadam szeptem, licząc na to, że również zniży głos – że nie zapytał mnie, czy mam chorobę genetyczną polegającą na tym, że światło słoneczne może mnie zabić, a ja nie odpowiedziałam, że tak.

Morgan zaczyna coś mówić, ale jej przerywam, bo nie zniósę gadania.

– Posłuchaj. Kiedy ktoś się dowiaduje, że jesteś chora, przestajesz być osobą, stajesz się przypadkiem. A to wszystko psuje.

Po raz pierwszy w życiu Morgan nie przychodzi do głowy żadna sarkastyczna uwaga. W odpowiedzi tylko dotyka mnie stopą. Wiem, co chce powiedzieć. *Stara, rozumiem. Do dupy.* Posyłam jej lekki uśmiech, bo wiem, że ona wie, przynajmniej w takim stopniu jak to tylko możliwe. Widzi, że się męczę, nie mogąc realizować swoich pragnień. Obie wiemy też, że żadna z nas nic nie może na to poradzić.

– Przysięgam, że mu powiem. Przy następnym spotkaniu, dobra? Chociaż nie wiem, kiedy ono nastąpi...

– Ale ja wiem. – Morgan zeskakuje z łóżka. – Kojarzysz tego upierdliwego gościa, z którym pracuję w lodziarni?

– Tego frajera, którego tak nie cierpisz? I który najwyraźniej się w tobie zabujał?

– Euuu, przestań! – protestuje Morgan. – Tak, mam na myśli Garvera. Jego rodzice wyjeżdżają, urządza dzisiaj imprezę i kazał mi przyprowadzić znajomych. Ja przyprowadzę ciebie, a ty Charliego.

Dziś wieczór? Nie jestem na to gotowa. Muszę znaleźć odpowiedni strój, może obciąć włosy i, bo ja wiem, nałożyć makijaż, a najpierw się dowiedzieć, jak to się robi, bo zwykle nie bywam w miejscach i sytuacjach wymagających ładnego wyglądu i nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć.

– Co? Nie, nie, nie. Nie mogę. To... Nie powinnam zaczekać, aż to on zadzwoni czy coś?

– Oczywiście. – Morgan kiwa głową. – A potem jego giermek wyśle gołębia z listem, z pytaniem, czy pragniesz unii waszych królestw. Czy to jest osiemnastowieczna Anglia? Jesteś młodą, seksowną, silną kobietą, która sama steruje własnym życiem, masz prawo napisać do niego, kiedy tylko ci

się spodoba!

Rzuca mi mój telefon.

– Tylko bądź pewna siebie. Podaj same suche fakty.

Gapię się w telefon. Mój umysł jest równie pusty jak ekran. Nie ma mowy.

– Jeśli ty do niego nie napiszesz, to ja to zrobię – ostrzega Morgan.

Wiem, że byłaby zdolna spełnić groźbę, więc zaczynam wstukiwać literki. Piszę spontanicznie, niczego nie poprawiam, nie zastanawiam się. **Hej, mój kumpel urzęda dzisiaj imprezę, może masz ochotę przyjść.** Szybko naciskam wyślij, żeby przypadkiem nie spanikować.

– Ale graj nieco trudną do zdobycia – dorzuca Morgan w chwili, gdy moja wiadomość leci do stratosfery.

Świetnie. Piszę kolejną. **Jest mi wszystko jedno, czy przyjdiesz.** Wyślij. Zrobione. Doskonale.

– I daj do zrozumienia, że nie idziesz jedynie ze względu na niego – ciągnie Morgan.

Mam mnóstwo znajomych, piszę pospiesznie. Jezu, czy to musi być takie skomplikowane?

Morgan wyrywa mi telefon i odczytuje moje dzieło. Jęczy.

– Co jest?

– Pamiętasz martwego kota?

Przytakuję.

– To jest bardzo podobne – wyjaśnia.

– Nieprawda! – piszczę.

– Pomyśli, że go nie cierpisz – dodaje Morgan.

– Zrób coś!

Ale Morgan nie dostaje szansy, by posprzątać bałagan, którego narobiłam, bo w tym momencie rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości. Morgan patrzy na telefon, potem na mnie. Uśmiecha się szeroko.

– Nieważne. Dobrze rozegrane, droga koleżanko. Bardzo dobrze.

– Co? – Już naprawdę nic nie rozumiem. – Nie mam bladego pojęcia, jak to wszystko działa.

Pokazuje mi telefon, żebym mogła odczytać to, co widnieje na ekranie. Odpowiedź Charliego. **Będę.**

Nie mogę przestać się uśmiechać. Nie wiem, jak to się stało i dlaczego, ale się stało.

– Teraz musimy jeszcze tylko przekonać mojego tatę, żeby mnie puścił –

szepczę, pokazując kciukiem zamknięte drzwi.

– Zostaw to mnie – mówi Morgan i wybiega z pokoju.

Doganiam ją akurat w chwili, gdy tata odpowiada:

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, Morgan. Nie znam jego rodziców, nie wiemy, co to za impreza. Katie nawet nie zna tych ludzi.

Krąży po kuchni, opróżnia zmywarkę, odkłada naczynia, poprawia szufladę na sztućce, wszystko, byle tylko uniknąć kontaktu wzrokowego.

– Ja znam Garvera! – protestuje Morgan. – Pracuję z nim. To całkowicie nieszkodliwy sympatyczny frajer. To będzie bardzo bezpieczna i spokojna impreza.

Tata na chwilę odrywa się od niecierpiących zwłoki obowiązków, jego do tej pory zatroskaną twarz rozjaśnia uśmiech.

– Co za nudy! Może jednak zamówię chińszczyznę i włączę Netflixa...

– Tato! – warczę. Wychodzi ostrzej, niż zamierzałam. Twarz taty się kurczy. Nie mogę znieść, że całe jego istnienie zdaje się polegać na chronieniu mnie przed najlepszymi rzeczami na tej planecie. Mam osiemnaście lat, nie jestem małym dzieckiem, nie wpadnę na szklany stolik kawowy ani nie zlecę ze schodów, jeśli zostawi się mnie samą z zabawkami. Słońce mnie nie dopadnie. Mogę pójść na lamerską imprezę i nie wydarzy się żadna katastrofa. On musi to zrozumieć.

– Jestem grzeczna. Wiesz, że nie zrobię nic głupiego – ciągnę, już łagodniejszym tonem. – Ale jeśli spędzę tu jeszcze jeden wieczór, patrząc przez okno, jak reszta ludzi prowadzi normalne życie, to chyba oszaleję.

Głos mi się załamuje, muszę się uszczypnąć, bo inaczej się rozplączę. Zwykle bardzo się staram nie uzalać nad sobą i czuć wdzięczność za to, co mam, ale teraz pokazała się szansa, niewielka i nikła, szansa na normalność i już nie ma odwrotu. Potrzebuję do szczęścia czegoś więcej niż gitarę i cztery ściany mojego pokoju. Chcę prawdziwego życia.

– Proszę, proszę, chcę chociaż przez chwilę poczuć się normalna. – Błaganie o to, czego tak bardzo pragnę, bynajmniej nie jest poniżej mojej godności. A pragnę spędzić więcej czasu z Charliem Reedem. – Będę co godzina wysyłać ci wiadomość. A jutro zamówimy mnóstwo pysznego lo mein i urządzimy sobie maraton filmowy.

Tata wzdycha, otwiera usta. Jestem pewna, że ma na końcu języka kolejną wymówkę, beznadziejną, choć wynikającą z dobrych intencji. Udaremням atak, obejmuję go i zamykam w potężnym niedźwiedzim uścisku.

– Dziękuję! Dziękuję! Jesteś najlepszym tatą na świecie!

– Te słowa to najlepszy dowód, że podjąłem złą decyzję – mruczy.

Ale nie odmawia. Łapie Morgan za rękę i pędzimy do mojego pokoju, nie czekając, aż tata zmieni zdanie. Przez cały czas towarzyszy nam sygnał przychodzących wiadomości.

– Charlie pisze, że będzie o ósmej – przekazuję.

Morgan na chwilę traci dech w piersiach.

– Musimy się przygotować!

Spoglądam na zegarek.

– Mamy trzy godziny.

– O Boże, już jesteśmy spóźnione!

Dziwny zwrot wydarzeń. Jeśli chodzi o wygląd, Morgan jest najmniej wymagającą osobą na całym świecie. Najczęściej nosi dżinsy i zwykły T-shirt, na głowę wkłada wełnianą czapkę i voilà! Jest gotowa do wyjścia.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją najlepszą przyjaciółką?

– Dziewczyno. Dzisiaj wieczorem widzisz się z facetem, którego pożadasz od dziesięciu lat...

Unoszę brwi.

– Nie sądzę, bym go pożądała w wieku ośmiu lat. Ośmiolatki nawet nie myślą o takich rzeczach...

– Kwestia terminologii – przerywa mi Morgan, machając ręką. – Będiesz obściskiwac się z facetem, którego kochasz od ponad dziesięciu lat...

– Kto mówi o obściskiwaniu się? Mam zerowe doświadczenie w tej dziedzinie. I nie przejdę przecież od absolutnego zera do maksimum tylko dlatego, że tata wreszcie puścił mnie na imprezę!

– Nie sugeruję, że powinnaś robić coś, na co nie masz ochoty – odpowiada Morgan. – Chociaż uważam, że to byłaby wielka strata, gdyby tak wspaiała dziewczyna umarła w stanie dziewictwa...

– O BOŻE, MORGAN! – Wydaję z siebie coś w rodzaju szeptu skrzyżowanego z krzykiem. – Nie stracę dziewictwa z facetem, z którym rozmawiałam raptem dwa razy w życiu. I wielkie dzięki za słowa wsparcia, ale na razie nie zamierzam umierać.

Zapada niezręczna cisza. Często zdarzają nam się takie chwile, bo chociaż mówimy sobie niemal wszystko, wiele jednak również przemilczamy.

– Posłuchaj, chcę ci tylko uświadomić, że dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy – mówi Morgan. – Zawsze o czymś takim marzyłaś. Przed chwilą

powiedziałaś to tacie: że wreszcie spędzisz czas jak normalna osoba. Ja jednak sądzę, że czekałaś za długo, by ograniczyć się do normy. Dzisiejsza noc będzie za-rą-bis-ta i ty też taka będziesz.

– Tak?

Kiwa głową.

– Aha. Bez cienia wątpliwości.

Morgan podchodzi do mojej szafy i zaczyna przeglądać jej zawartość. Nie wymaga to zbyt wiele pracy. Przeważnie chodzę w legginsach i bluzie, no bo w końcu czemu nie pozwolić sobie na odrobinę komfortu, skoro i tak nie wychodzi się z domu?

– To wszystkie twoje ubrania? – woła ze środka. Jej głos odbija się echem od ścianek.

– Aha, chyba że doliczyć dwie sukienki, które zamówiłam, sądząc, że tata puści mnie na tamten koncert w Seattle, ale jednak się nie zgodził, bo musiałabym wyjechać przed zachodem słońca. Ciągle zapominam mu powiedzieć, żeby je odesłał. Pewnie miałam nadzieję, że jednak zmieni zdanie.

Morgan wystawia głowę z szafy.

– Gdzie one są? I po co zamówiłaś aż dwie? Zamierzałaś się przebrać, żeby paparazzi nie przyłapali cię na noszeniu tej samej kiecki dłużej niż godzinę na debiucie w Seattle?

Śmieję się.

– Zamierzałam wybrać tę, w której lepiej wyglądam, a drugą oddać. Potem się okazało, że nie muszę wybierać i zapomniałam odesłać obu.

Wyciągam pudło spod łóżka i wręczam je Morgan. Najpierw wyciąga super obcisłą czarną ramiączka i bez pleców. Nie wiem, jak mogłam w ogóle pomyśleć, że tata wypuści mnie z domu w czymś takim, więc całe szczęście, że nie doszło do sporu na tym polu. Potem wyjmuję z pudła słodką sukienkę z koronki w kolorze kości słoniowej. Też jest krótka i seksowna, lecz znacznie bardziej elegancka i z klasą.

Morgan rzuca ją w moją stronę.

– Skoro tak desperacko pragniesz zachować dziewictwo, to będzie lepszy wybór.

Rzeczywiście, to doskonały wybór, biorąc pod uwagę mój plan na dzisiejszy wieczór, a mianowicie: rozkochać w sobie Charliego Reeda do szaleństwa. Idę do łazienki, ściągam zwykły strój złożony z legginsów i T-

shirtu, po czym wkładam sukienkę i zasuwam zamek.

Oglądam się w lustrze, w nadziei, że może zmieniłam się w oszałamiającą supermodelkę.

Niestety. Wyglądam mniej więcej tak jak zwykle, tyle że mam na sobie piękną sukienkę. Słabo.

Wychodzę ze skrzywioną miną i pokazuję się Morgan.

– Głupio się czuję. Jak mała dziewczynka, która zrobiła nalot na szafę mamy.

Morgan przekrzywia głowę i rzuca mi przeciągłe spojrzenie.

– Jest idealnie.

– Jak możesz tak mówić? To tylko stara zwykła ja w ładniejszym opakowaniu.

– Pszszsz. Dobranie odpowiedniego stroju to dopiero pierwszy etap przygotowań. Trzeba jeszcze zrobić ci włosy i makijaż. Kiedy skończę, w ogóle siebie nie poznasz.

Zabawne, bo jak już wspomniałam, Morgan to zdeklarowana twarda chłopczyca, zarówno w kwestii stroju, jak i zachowania. Kto by przypuszczał, że tak doskonale zna się na konturowaniu, kreskach-jaskółkach, kremach BB, malowaniu ust i tak dalej? (Często robię nocami zakupy w Internecie. Pewnie nie tylko ja...) Nakłada kosmetyki na moją twarz jak profesjonalna wizażystka.

Przez chwilę przypominam dziwne zwierzę z różnokolorowymi paskami na policzkach i czole – a potem wszystko pięknie się łączy i wyglądam niesamowicie naturalnie, a zarazem o wiele, wiele lepiej niż po wstaniu z łóżka.

Wpatruję się w profesjonalny makijaż, który wyszedł spod rąk Morgan. Naprawdę imponujące.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś.

* * *

Morgan pierwsza zbiega po schodach, ja tuż za nią. Tata stoi w przedpokoju i na nas patrzy. Szczęka mu opada. Mam nadzieję, że to znaczy Ślicznie wyglądasz, a nie *Marsz do pokoju, natychmiast zetrzyj to z twarzy, młoda damo*.

– Pragnę przedstawić Katherine Price z Waszyngtonu – mówi Morgan,

jakbyśmy były na balu debiutantek.

Tata wciąż milczy.

– Głupio to wygląda? – pytam. – Mogę się przebrać.

Tata odchrząkuje.

– Wyglądasz cudownie, Fistaszku – mówi w końcu lekko łamiącym się głosem. – Prawdziwa z ciebie piękność. Zupełnie jak mama.

Uśmiecham się. Właśnie to miał powiedzieć. Dokładnie to chciałam usłyszeć. Odprowadza nas wzrokiem, gdy wybiegamy z domu. Odwracam się i posyłam mu szeroki uśmiech. *Wszystko będzie dobrze.*

Naprawdę w to wierzę. I sądząc po minie, tym razem tata również w to wierzy. Chwytam Morgan za rękę i spieszę dalej, żeby przypadkiem nie zmienił zdania.

8

Do domu Garvera nie jest daleko. Chociaż idziemy powoli, po drodze omawiając, jak powinnam rozegrać sprawę z Charliem, docieramy na miejsce w ciągu dziesięciu minut. To wiktoriańska willa z werandą biegnącą wokół całego budynku, na której stoi huśtawka, idealna, by przesiadywać na niej w słoneczne dni, obserwując świat. Chciałabym doświadczyć takich prostych przyjemności. I wkurza mnie, że ludzie, którzy mogą, często wcale tego nie robią.

Nie musimy nawet pukać, Garver staje w drzwiach jak na zawołanie. Jest przeciętnego wzrostu i wagi, ma półdługie, ciemne, falujące włosy, drobną ładną twarz małego chłopca, gładką, bez jednego choćby pryszcza. Nie dostrzegam w nim żadnych objawów lamerstwa, może nie licząc koszulki z napisem CO JA TU ROBIĘ. Z pewnością nie jest nawet w przybliżeniu tak beznadziejny, jak wynikałoby ze słów Morgan.

Na jej widok oczy zaczynają mu błyszczeć.

– Przyszłaś! – wykrzykuje.

– Nie ciesz się tak – odpowiada Morgan. – Jeszcze mogę zmienić zdanie.

Przyciskam stopą jej palce u nogi. *Bądź miła*. Wrywa but z pułapki, ignorując mój milczący przekaz.

– Może wiecie, ty czy twoja urocza koleżanka, jak wydobyć piwo z beczki?

Morgan mija Garvera, ciągnąc mnie za sobą. Zatrzymuje się w kuchni. Dwaj koledzy Garvera – jeden ma włosy obcięte na garnek i muchę, drugi brwi Spocka i spodnie do pół łydki w kolorze musztardowym – próbują otworzyć beczkę za pomocą noża stołowego.

Morgan patrzy na Garvera z niedowierzaniem.

– Nie masz kranika?

Wzrusza ramionami, rozkładając ręce.

– Nie wiedziałem, że kupuje się je oddzielnie! Nie przyszło mi do głowy, że mogą sprzedać beczkę z piwem, do którego nie ma dostępu.

Morgan rozgląda się po kuchni, potem zerka do salonu. Mina jej rzednie. Samym ruchem warg mówi *Wybacz*. Jest zbulwersowana i nawet nie próbuje tego ukrywać.

– Garver, co jest? Ta impreza chyba naprawdę będzie całkowicie spokojna i bezpieczna!

Garver wskazuje na stół w kuchni. Stoi na nim kilka wielkich pojemników z lodami, puszka bitej śmietany, posypka i butelka polewy czekoladowej.

– Czy na spokojnych imprezach jest *bar z lodami*?

Morgan trzepie go w ramię. Obserwuję jego kolegów – sądząc po wyglądzie, zapewne przyszłych wielkich naukowców – jak nadal bezskutecznie walczą z beczką. Pewnie bez problemu wymyślą, jak zasiedlić Marsa, lecz piwa z beczki nie potrafią utoczyć. Na tę myśl wybucham głośnym śmiechem.

– Ale jazda! – pokrzykuję.

– Nie słuchaj jej – mówi Morgan do Garvera, po czym chwyta mnie za ramię i ciągnie za sobą. – Nigdy dotąd nie była na imprezie, więc nie rozumie, z jak dramatyczną sytuacją mamy do czynienia. Wychodzimy.

Garver wyprzedza nas i zagraża nam drogę.

– Jak to, wychodzicie? Zrobiłem wielki garnek chili!

Morgan wywraca oczami.

– Chili to nie jest żarcie na imprezę!

Rozlega się pukanie do drzwi. Na twarzy Garvera odmalowuje się ulga.

– Widzisz? Impreza dopiero się rozkręca. – Sprawdza przez judasza, kto przyszedł. – Zaraz. O rany. Co tu robi Charlie Reed?

Nie czekając, aż odpowiem, że to ja go zaprosiłam, szeroko otwiera drzwi. Zaprasza Charliego do środka, klepie go w plecy, jak starego kumpla.

Charlie patrzy ponad jego ramieniem, nasze oczy się spotykają. Nie możemy oderwać od siebie wzroku. Cały świat znika. Reszta ludzi przestaje istnieć.

– Wow – mówi cicho. – Cześć.

Wyraz jego twarzy świadczy o tym, że Morgan zasłużyła na gorące podziękowania za moją przemianę. Teraz daje mi łokciem kuksańca i uśmiecha się szeroko, patrząc jak my uśmiechamy się szeroko do siebie. Wiem, co Morgan ma na myśli. Trudno nie zauważyć tych wibracji.

– Cześć – mówię.

Patrzenie na Charliego jest jak patrzenie prosto w słońce, a wiadomo, jakie

to w moim przypadku niebezpieczne, więc chyba muszę się stąd zmyć. Zaglądam do kuchni, gdzie pan Brwi Spocka właśnie wpadł na genialny pomysł i wali w beczkę wałkiem do ciasta. Oczywiście wałek gwałtownie odskakuje – ta beczka jest chyba zrobiona z tytanu czy czegoś w tym rodzaju – i trafia go prosto w twarz. A piwa jak nie widać, tak nie widać. Zaraz pewnie zobaczymy parę sińców, ale piwa nie.

Nagle czuję wdzięczność, że to nie jest jakiś ostry melanz, na którym musiałabym gadać z ludźmi, którzy potrafią otworzyć beczkę z piwem i nie podają gościom lodów i chili. Spokojna i bezpieczna impreza to wszystko, co w tym momencie jestem w stanie ogarnąć.

Kolejny krok: chłopcy przynoszą młotek, szpikulec i rolkę taśmy izolacyjnej. Układają cały zestaw na blacie niczym narzędzia chirurgiczne. Wzdycham. Chyba trochę to potrwa.

– Może zaczekamy na werandzie? – proponuję.

Charlie wychodzi ze mną i siada obok mnie na huśtawce, kołyszemy się łągodnie w tył i w przód. Patrzę w niebo. Charlie patrzy na mnie.

– Wyglądasz cudownie – mówi.

– Zasługa Morgan – odpowiadam, machając ręką, jakbym chciała przegonić komplement. I towarzyszący mu rumieniec na mojej twarzy.

Charlie kręci głową.

– Nie.

Już mam zaprotestować, ale w tym momencie w drzwiach staje Garver z dwiema miskami chili. Nie chcę urazić jego uczuć, ale nie chcę też, żeby mój oddech pachniał chili, kiedy obok siedzi Charlie.

– To dla was. Szanowny panie, mademoiselle – mówi Garver, podając nam jedzenie.

– Och, dziękuję, ale naprawdę nie mogę. Alergia – odpowiadam.

– Ja mam alergię na twojego martwego kota, co jednak nie może mnie powstrzymać przed spędzaniem czasu w twoim towarzystwie, zgadza się? Spróbuj, na pewno ci posmakuje – mówi Charlie, puszczając do mnie oczko.

Wkłada widelec do ust, przełyka i pokazuje uniesione kciuki.

– Pierwsza klasa, mistrzu.

Garver ponownie próbuje wepchnąć mi miskę z jedzeniem, ale podnoszę ręce obronnym gestem.

– Nie, dziękuję. Poważnie.

– Na pewno?

Kiwam głową, a on zaczyna zajadać z przeznaczonej dla mnie miski. Charlie krzywi się, pochyla w moją stronę i szepcze:

– Mądra decyzja. Smakuje jak kupa.

Wciąż śmieję się z tej uwagi, gdy na werandzie pojawia się Morgan. Garver przerywa żucie i patrzy na nią. Na jego podbródku niebezpiecznie balansuje kawałek wołowiny.

– Myślałem, że przyjdzie więcej ludzi – rzuca Garver. – Ale dzięki temu jest więcej piwa i chili dla nas, nie?

Jeden z kolegów Garvera wystawia głowę zza drzwi i mówi:

– Ostrzegalem, że nie ma co konkurować z cheerleaderką.

– Jaką cheerleaderką? – pyta Morgan.

– Tą wredną blondyną z wielkim cadillakiem – odpowiada Garver z ustami pełnymi jedzenia.

– Zoe Carmichael? – wykrzykuje Morgan.

Całe szczęście, że jesteśmy tutaj, a nie tam, mówię w myślach.

– Aha, Zoe. – Garver kiwa głową. – Też urządza dzisiaj imprezę. Pewnie wszyscy poszli do niej.

– Może po prostu też tam pójdziemy? – proponuje Charlie.

Adrenalina zalewa całe moje ciało. Nie ma mowy, żebym poszła na imprezę do Zoe. Ale też nie ma mowy, żebym nie poszła, jeśli Charlie się tam wybiera. To dopiero zagwozdka.

Garver zwiesza ramiona. Wyraźnie widać, że bardzo chce zrobić wrażenie na Morgan. Bez skutku, ale jednak próbuje. A jeśli wszyscy sobie pójdziemy, wraz z nami zniknie jego nadzieja.

– Hej. Chyba mnie nie wystawicie?

– Mowy nie ma. Pomyślałem, że moglibyśmy po prostu przenieść całą imprezę do domu Zoe. – Charlie patrzy na mnie, próbuje wy badać reakcję.

Unikam jego wzroku i patrzę z kolei na Morgan, wzrokiem mówiącym *I co ja mam teraz zrobić?* Morgan patrzy na mnie i kręci głową. A ja patrzę na Charliego i też kręcę głową.

– Pamiętasz, mówiłam, że mój tata jest bardzo surowy? Powiedziałam, że będę tutaj, więc muszę tu zostać, inaczej dostanę szlaban na całe lato.

– Nie mogłabyś napisać, że zmieniliśmy plany? – pyta Charlie.

Wzruszam ramionami.

– Z moim tatą to tak nie działa. Jak powiedziałam, jest nadopiekuńczy.

– Zawiozę cię do domu i razem wszystko mu wytłumaczymy – proponuje.

Kręcę głową jeszcze bardziej energicznie. Tata nawet nie wie o istnieniu Charliego. Ostatnie, o czym marzę, to tłumaczyć mu, kto to jest, jak się poznaliśmy, i że mamy ochotę wybrać się razem na dziki melanz.

– No dobra, to zostajemy – wyrokuje Charlie i nawet nie wygląda na wkurzonego.

* * *

Mija pół godziny, beczka wciąż jest nieodpieczętowana, chili zjedzone, a na blacie ze starannie ustawionymi pojemnikami lodów i dodatków do nich panuje spore spustoszenie. Charlie i ja gapimy się na siebie, rozmowa praktycznie umarła. Rozpaczliwie pragnę, by nasza pierwsza prawdziwa randka nie okazała się ostatnią. A jeśli ten wieczór choć odrobinę się nie rozkręci, to istnieje takie ryzyko, i to całkiem wysokie.

– Chodźmy stąd – mówię nagle. – Na tę drugą imprezę. Mój tata się nie dowie, więc nic mu nie będzie.

Morgan rzuca mi spojrzenie mówiące *Całkiem oszalałaś?* Krzywię się. Rozpaczliwa sytuacja wymaga rozpaczliwych środków zaradczych.

– Dobra, super – mówi, rzucając mi groźne spojrzenie. – Tylko skoczę po paszport, bo Zoe Carmichael to szatan, a jej dom jest z pewnością bramą do piekła.

Garver zaczyna się śmiać.

– Zamknij się, Garver, to nawet nie był dobry tekst – łaja go Morgan, udając, że wcale jej nie cieszy uznanie Garvera dla jej poczucia humoru. – A, Katie, czy ty zdajesz sobie sprawę, że mówimy o Zoe Carmichael? No wiesz, tej lasce, która praktycznie zrujnowała...

Przerywam, nim powie „ci życie” bądź wymieni słowo „Wampirzyca”.

– Dam sobie radę – mówię pospiesznie.

– Zoe jest nieszkodliwa – zapewnia Charlie nas obie. – To taki komar z bardzo drogą furą.

Morgan chwyta mnie za ramię i ściąga z huśtawki.

– Chłopaki, zaraz wrócimy – rzuca, prowadząc mnie do środka.

Idę za nią, zerkając przez ramię na Charliego, który ma totalnie zdezorientowaną minę. Wzruszam ramionami, jakbym chciała powiedzieć *Też nic nie rozumiem.*

– Nie musisz iść do Zoe tylko dlatego, że w twoim przekonaniu Charlie

tego chce – mówi Morgan, kiedy wchodzimy do środka.

– Wiem. – Wbijam wzrok w buty, przesuwam nimi w tę i z powrotem. – Po prostu chciałabym się przekonać, jak wygląda prawdziwa impreza. Nie żebym miała coś przeciwko Garverowi. Jest miły. Lody były smaczne. Ale nawet ja uważam, że jest tu trochę beznadziejnie. Ta impreza jest tylko odrobinę bardziej ekscytująca niż oglądanie z tatą Netflixa.

Morgan chwyta mnie za podbródek i przeszywa świdrującym spojrzeniem.

– Jesteś pewna?

Kiwam głową, chwytam jej dłonie i biorę wdech.

– Jestem pewna. Droga Gabby mnie natchnęła. Już nie pozwolę, żeby XP mnie ograniczała.

Morgan wzdycha i wspiera się pod boki.

– Ściemniasz.

– Nie pójdę, jeśli ty nie pójdziesz – mówię.

– Jesteś fatalna, Katie.

– Nie mam takich intencji. Nic na to nie poradzę. Odkryłam, że lubię być normalna. Przykro mi.

Morgan rzuca mi zrezygnowane spojrzenie i wychodzi na werandę. Ruszam za nią.

– No i? – pyta Charlie.

– Nadal niezdecydowane – odpowiada Morgan. – No bo Garver tak się postarał...

Garver podrywa się z miejsca.

– Em, omówiliśmy sprawę z Charliem i uważamy, że będzie dla nas wszystkich najlepiej, jeśli przeniesiemy imprezę w nowe miejsce.

– Nie musisz robić dobrej miny do złej gry, Garver – mówi Morgan. – Jeśli wolisz zostać, to zostaniemy. Poważnie.

Garver kręci głową.

– Nie, mówię szczerze. Chodźmy.

Morgan wciąż nie wygląda na przekonaną.

Charlie zaczyna skandować:

– Mor-gan. Mor-gan. Mor-gan.

Garver i ja dołączamy do niego po chwili, tworzymy dopingujący Morgan chór:

– MOR-GAN! MOR-GAN! MOR-GAN!

– No dobra – ulega w końcu. – Tylko nie przychodźcie do mnie z płaczem,

kiedy Zoe skaże was na siarkę i ogień piekielny.

Wszyscy wiwatujemy. Zarzucam Morgan ramiona na szyję.

– Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie – szepczę jej do ucha.

– Mam szczerą nadzieję, że nie pozalujesz – odpowiada, również szeptem.

– Ale pamiętaj, że w razie czego będę przy tobie. Żeby wdeptać w ziemię każdego, kto będzie próbował z tobą zadzierać. I żeby powiedzieć: a nie mówiłam.

Cała Morgan. Odsuwam się i posyłam jej szeroki uśmiech.

– Zapamiętam.

Garver gwizdze i woła do kumpli:

– Chłopaki, ruszamy! Pełna mobilizacja!

* * *

Nie mam czasu przemyśleć swojej impulsywnej decyzji, bo już po chwili podjeżdżamy pod ogromny dom na nabrzeżu. Na podjeździe stoi lśniący biały cadillac escalade. Tablicę rejestracyjną tworzy napis 2LIT4U. Dla ciebie za fajna? Bez wątpienia należy do Zoe. Najwyraźniej nic się nie zmieniła. Ogarniają mnie poważne wątpliwości, ale jest za późno, by teraz zawrócić.

Charlie bez większego wysiłku wyjmuje beczkę z bagażnika samochodu kumpli Garvera i stawia ją na ziemi. Patrzą na niego jak na Supermana, bo do bagażnika pakowali ją we trzech. Potem zaczynają niezgrabnie toczyć beczkę w stronę imponującego domostwa, które tętni głośną muzyką i wrzaskami jeszcze głośniejszych ludzi. Im bliżej wejścia jesteśmy, tym wolniej toczą, aż wreszcie się zatrzymują.

Garver chrząka nerwowo.

– Może to jednak nie jest taki dobry pomysł – mówi. – Nawet nigdy z nią nie rozmawialiśmy.

– Ja tak – wtrąca Morgan. – Niczego nie straciłeś, nie licząc dotyku prawdziwego zła.

– Wyluzujcie – mówi kolega Garvera z włosami na garnek i muszką. – Rozmawiałem z Zoe w zeszłym tygodniu.

– Kiedy o mało nie potraçała cię swoim SUV-em i nazwała cię palantem? – pyta Garver. Szczęka mu opada, jakby nie mógł uwierzyć w bezmiar głupoty swojego kumpla. – Trudno to nazwać prawdziwą rozmową.

– A właśnie że tak! – protestuje Garnek a.k.a Muszka. – Powiedziałem do niej „przepraszam”. Nastąpiła wymiana zdań. A więc rozmawialiśmy.

– Będzie dobrze – zapewnia Charlie. – Wchodzimy.

Wyciąga do mnie rękę, a ja ją chwytam i ruszamy po schodach prowadzących do wejścia. Charlie ujmuje ciężką mosiężną kołatkę ozdobioną rzeźbionym lwim łbem i uderza kilka razy o drzwi. Z dłonią w dłoni Charliego czuję się bezpieczna, jakby nie mogło mi się przydarzyć nic złego. Nawet gdybyśmy rzeczywiście stanęli u wrót piekła, myślę, że z nim przesłabym przez nie bez cienia strachu.

9

Kiedy w drzwiach staje Zoe, gwałtowną falą powracają wspomnienia tych wszystkich chwil, kiedy mnie dręczyła. Muszę zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. Wygląda tak jak ją zapamiętałam, tyle że oczywiście jest starsza i jeszcze piękniejsza.

Jej oczy prześlizgują się po mnie, jakbym nie istniała i rozbłyskują na widok Charliego. Czuję dziwne ukłucie zazdrości, co jest głupie, bo przecież nie mogę sobie rościć do niego żadnych praw. To nasza pierwsza randka – i trzeba liczyć się z tym, że również ostatnia.

– Już się zastanawiałam, gdzie się podziewasz! – wykrzykuje Zoe słodkim głosikiem, którego zapewne nie używa na co dzień. Wczepia się w ramię Charliego, jakby znajdowali się na tonącym Titanicu.

– Hej – rzuca w odpowiedzi, delikatnie uwalniając ramię. – Przepraszam za spóźnienie. Bifor u Garvera.

Zoe marszczy nos, przyglądając się ludziom, z którymi Charlie spędzał czas, zamiast od razu przyjść do niej: mnie, lasce, której, jak zapewne sądzi, nigdy w życiu nie widziała, Morgan, która odwzajemnia się morderczym spojrzeniem, gotowa wydrapać jej oczy w reakcji na każdą nieprzyjemną uwagę i trzem chłopakom, których normalnie w ogóle by nie dostrzegła.

– Przepraszam, a kim są ci ludzie?

– To moi przyjaciele – odpowiada Charlie, wzruszając ramionami. Zoe stoi nieruchomo na progu, na jej twarzy maluje się coś na kształt odrazy. Wygląda, jakby zamierzała zatrzaskać nam drzwi na twarzy, gdy Charlie dodaje: – Przynieśliśmy beczkę piwa.

Garver próbuje ją podnieść, ale bez skutku. Próbują jeszcze raz we trzech, wreszcie udaje im się udźwignąć beczkę na wysokość pasa.

Zoe patrzy spode łba, w końcu jednak przesuwa się na bok, żeby nas przepuścić. Wypuszczam powietrze. Kryzys zażegnany, przynajmniej chwilowo. Chyba nie rozpoznała we mnie Wampirzycy, którą dręczyła w dalekiej przeszłości.

Garverowi i jego kumplom jakoś udaje się dotaszczyć beczkę do kuchni, dobiegają stamtąd głośne wiwaty. Brygada lamusów przeszła metamorfozę w ekipę piwnych bohaterów, mile widzianych, bo dostarczyli paliwa na imprezę.

Idę z Charliem do salonu. Wszędzie siedzą ludzie, piją z czerwonych plastikowych kubków, śmieją się, flirtują, przekrzykują muzykę, rozlewają drinki na zapewne bardzo drogie sofy i dywany.

Wygląda to jak scena z jednego z filmów Johna Hughesa z lat osiemdziesiątych, które tyle razy oglądałam z tatą. Wreszcie robię to, co wszyscy w moim wieku! Jest to okropnie tandetne, sztampowe, i cudowne.

Torujemy sobie drogę do samego centrum wydarzeń, Charlie wita się ze znajomymi. Wszyscy go znają i kochają. I jeśli nawet się zastanawiają, kim jest tajemnicza dziewczyna, którą za sobą ciągnie, to nikt o to nie pyta.

Kiedy już jesteśmy w środku tłumu, podekscytowanie ustępuje miejsca zaniepokojeniu. Mam gonitwę myśli. Czuję się beznadziejna, nie wiem, jak powinnam się zachowywać, jak odpowiadać na pytania, które nieuchronnie padną – o to, gdzie się chowałam przez te wszystkie lata.

Charlie chyba wyczuwa mój spadek nastroju, delikatnie kładzie dłoń na moich plecach. Odprężam się, mózg przestaje wirować. Morgan, której nigdy nic nie umknie, dostrzega, co się dzieje.

– Może... się pokręcę. Czy coś. Zostawię was samych – mówi. Potem pochyla się, obejmuje mnie i szepcze mi do ucha: – Jestem z ciebie dumna, trzeba gigantycznych jaj, żeby przyjść na tę imprezę. I dla przypomnienia: naprawdę mu się podobasz. Tylko pamiętaj, jakby co, daj znak, a obrócę to miejsce w ruinę.

Potem odchodzi, po drodze wyrywa jakiemuś facetowi kubek, bierze łyk. Zastanawiam się, czy znajdzie się do picia coś innego niż piwo, bo sam zapach wywołuje u mnie mdłości, i czy powinnam w ogóle ryzykować. Piłam alkohol tylko raz w życiu, u Morgan. Jej rodzice wyszli i postanowiłyśmy pić szoty z crème de menthe – dziwnego likieru o smaku mięty. Dla mnie ta przygoda skończyła się rzyganiem i od tego czasu nie mogę jeść ciasta o nazwie świerszcz, które piecze mama Morgan, i które wcześniej tak uwielbiałam. Widocznie likier miętowy to sekretny składnik, który sprawia, że to ciasto tak wspaniale smakuje. Smakowało.

Spoglądam na Charliego. On patrzy na mnie. Podchodzimy do stołu pełniącego funkcję baru. Zalewa mnie potężna fala onieśmienia.

– Morgan jest bardzo zabawna – mówi Charlie. – Od kiedy się przyjaźnicie?

– O rany, jak sięgnąć pamięcią – odpowiadam. – No, nie, nie do końca. Pamiętam trochę rzeczy, które wydarzyły się wcześniej. Mętne obrazy z bardzo wczesnego dzieciństwa, na przykład jak zjadłam blok rysunkowy, powtarzając lalce, że bardzo, bardzo źle robi. Wylądowałam potem na ostrym dyżurze. Albo jak oglądałam *Atomówki*, a mama gotowała dla mnie obiad i niechcący wsadziłam sobie do nosa but Barbie. Na obcasie. Ta przygoda również skończyła się na ostrym dyżurze. Iiiiiiiii znowu bredzę. Przepraszam. Zawsze bredzę, kiedy się denerwuję.

– Zauważyłem. – Charlie uśmiecha się szeroko i podaje mi kubeczek z czymś różowym i zapewne owocowym. Biorę łyk. Smakuje znacznie lepiej niż likier miętowy.

– Dlaczego się denerwujesz?

Podaję wersję uproszczoną:

– Nie znam tu nikogo.

– Ale ja znam tych wszystkich kretynów i uwierz, nie masz powodów do zdenerwowania.

– Daj spokój. Na pewno nie znasz wszystkich, to niemożliwe.

Charlie rozgląda się dokoła, po czym dyskretnie wskazuje na głośnego wysokiego chłopaka o czerwonej twarzy, który właśnie nalewa alkohol do kubków.

– Widzisz tamtego gościa?

Kiwam głową.

– Udaje tępego mięśniaka, ale ze wszystkich przedmiotów ma najlepsze oceny. Idzie na Yale, ale woli, żeby wszyscy mieli go za debila.

Yale. Ukrywa przed ludźmi, że idzie na jedną z najlepszych uczelni?

– To dopiero debilizm – stwierdzam. – To przecież Ivy League. Sam top. Ja codziennie nosiłabym do szkoły bluzę z ich logo, gdybym się tam dostała. Bardzo bym chciała.

– No to powinnaś spróbować – mówi Charlie. – Jak mogliby zrezygnować ze studentki, która przeszła tak surową edukację domową?

Lekko pochylam się w jego stronę. Wydaje się ciepły, a zarazem mocny i nieporuszony. Miękki i silny. Miłe połączenie. Bardzo mi się podoba.

– To... skomplikowane – zaczynam, przez milisekundę myśląc nawet, by mu powiedzieć, że w moim przypadku żadna uczelnia w ogóle nie wchodzi

w grę z powodu mojej XP. Rozważam, czy zrobić z tego żart, rzucić, że może mogłabym chodzić na studia nocne. Ale coś mi mówi, że nie powinnam niszczyć tego wieczoru, który na razie zapowiada się tak wspaniale. Jeszcze będzie czas na powrót do brutalnej rzeczywistości.

Ruchem głowy wskazuję dziewczynę w super obcisłej sukience z dekoltem.

– A ona?

– Do dziesiątej klasy nosiła taki aparat na zęby przymocowany specjalną opaską do głowy, teraz najwyraźniej próbuje nadrobić stracony czas – mówi Charlie, a potem wskazuje na niskiego pryszczatego chłopaka. – W szóstej klasie zsiakał się w majtki na wycieczce. A tamta dziewczyna ma problemy z uzależnieniem od leków. A tamten? Ma najdłuższe palce, jakie kiedykolwiek widziałem. A poza tym jest jednym z najlepszych wiolonczelistów w tym stanie. Bardzo fajny gość.

Charlie mówi to wszystko całkiem od niechcienia, a mnie przez cały czas kołaczą się w głowie dwie myśli: (1) Tyle mnie w życiu ominęło (2) Człowiek nie jest w stanie uciec od swojej przeszłości. Ta dziewczyna już na zawsze będzie tą od komicznego aparatu na zęby, a ten chłopak po wieki zostanie siusiumajtkiem, i kiedy ktoś wspomni o nich w rozmowie, dzieciaki z ich klasy od razu będą wiedzieć, o kogo chodzi, nawet na zjeździe z okazji pięćdziesiątej rocznicy ukończenia szkoły. Postanawiam, że muszę zrobić wszystko, by nie dopuścić do zdemaskowania mnie jako Wampirzycy.

Nagle jakiś facet wskakuje Charliemu na plecy. Charlie zamiera, sztywnieje, jakby zamierzał się odwinąć. A potem rozpoznaje napastnika i posyła mu uśmiech.

– Wrócił! – drze się facet. – Charlie wrócił! Czemu nie przyszedłeś na biforek? Mieliśmy...

Nagle dostrzega mnie i urywa w połowie zdania. Podchodzi do nas kolejny chłopak, niosący tyle kubków, że ledwo mieszczą mu się w rękach.

– Hej, a kto to? – pyta ten pierwszy.

– Owen, Wes, poznajcie Katie – mówi Charlie, jednocześnie wskazując na nich po kolei, żebyśmy wiedziała, który jest który.

Wes cmoka moją dłoń mokrymi od piwa ustami.

– Katie, jesteś prawdziwą czarodziejką. Powiedz, jak to robisz – mówi z niskim ukłonem.

Patrzę na Charliego, potem znów na Wesa.

– Ale o co chodzi?

– O to, że zdołałaś wyciągnąć tego faceta na imprezę i wywołać na jego twarzy coś w rodzaju uśmiechu. Chłopak od dawna tak nie wyglądał – wyjaśnia Owen, obejmując ramieniem plecy Charliego.

Gadamy i śmiejemy się jak grupka starych znajomych i cała sytuacja nie jest ani odrobinę żenująca i niezręczna. Ale mój świeżo zdobyty komfort na polu kontaktów społecznych wkrótce znika bez śladu, bo nagle zjawia się Zoe. Oczywiście natychmiast wiesz się na Charlie.

– Ale chce mi się piiiiic – świergocze, unosząc ku niemu oczy i trzepocząc sztucznymi rzęsami z piórek. Jeszcze chwila i odfrunie. – Przyniesiesz mi coś do picia?

Charlie uwalnia się z jej objęć i przysuwa się bliżej do mnie.

– W tej chwili nie mogę, muszę oprowadzić Katie.

Zoe zagradza nam drogę, nie możemy się ruszyć.

– Katie – mówi, mierzając mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Jak to możliwe, że nigdy dotąd cię nie widziałam?

– Ja... – zaczynam, ale Charlie ubiega mnie, nim zdążę wymyślić jakieś w miarę zgrabne kłamstwo.

– Jest objęta programem ochrony świadków – rzuca z niewymuszonym wdziękiem. – Gdyby ci powiedziała, musiałaby cię zabić.

Zoe wydaje z siebie sztuczny śmieszek. Wciąż nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Po namyśle stwierdzam, że właściwie wyglądasz znajomo – mówi. – Czy my się wcześniej nie spotkałyśmy?

Kręcę głową.

– Nie sędzę.

Odsuwa się na bok, mocno zaciskając wargi.

– Przypomnę sobie, nic się nie martw – dodaje.

Charlie podaje mi rękę, przyjmuję ją, a Zoe posyła nam mordercze spojrzenie. Oby Charlie nie dostrzegł, że spotkanie z Zoe całkiem wytrąciło mnie z równowagi.

– Gotowa? – pyta.

Ruszam za nim, a Zoe zostaje sama i wściekła. Kiedy wspinamy się po szerokich schodach, zerkam na nią przez ramię. Wciąż świdruje mnie morderczym spojrzeniem, jakby chciała wywołać u mnie samospalenie. Pewnie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, że w moim przypadku jest to

całkiem prawdopodobne.

10

– A to – mówi Charlie, włączając światło w kolejnym pokoju, którego ściany od podłogi do sufitu zakrywają regały pełne starych książek w twardych oprawach – to jest biblioteka.

– Ooooooooooooo. – Rozglądam się dokoła z nieskrywaną zazdrością. – Gdyby to był mój dom, chyba dosłownie mieszkałabym w tym pokoju.

Charlie się śmieje.

– Założę się, że Zoe nigdy tu nie wchodzi, a już na pewno nie po to, żeby czytać.

Trochę mnie niepokoi jego rozległa wiedza na temat upodobań Zoe, nie wspominając o znajomości rozkładu pomieszczeń w jej domu. Żołądek mi się zaciska ze strachu i zmartwienia. Zastanawiam się, co ich łączyło bądź łączy i jak to możliwe, że Charliemu spodobał się ktoś taki, kiedy wszystko wskazuje na to, że ja też mu się podobam. Chyba nie można różnić się bardziej niż Zoe i ja.

Z trudem przełykam ślinę i odwracam się w stronę Charliego.

– Zdaje się, że nieźle ją znasz – mówię, starając się, by zabrzmiało to swobodnie i obojętnie, chociaż czuję się zupełnie inaczej. – A z tego, co zauważyłam, kiedy rozmawialiśmy, chyba jest przekonana, że może sobie rościć do ciebie jakieś prawa. Co was łączy?

Charlie unosi dłonie, jakby próbował obronić się przed moim pytaniem.

– Hej, a skąd w ogóle taki pomysł?

Wzruszam ramionami.

– Orowadzasz mnie po jej domu, najwyraźniej doskonale znasz to miejsce, a Zoe patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby chciała urwać mi głowę. Chciałabym się upewnić, że nie wchodzę nikomu w drogę.

Charlie ujmuje moje dłonie i patrzy mi prosto w oczy.

– Nie ma mowy, przysięgam.

Też patrzę mu prosto w oczy, spragniona dalszych wyjaśnień. To nie wszystko. Z pewnością jest coś jeszcze albo było, w jakimś momencie

w przeszłości. Unoszę brwi w niemym pytaniu.

– No dobra, kiedyś spotykaliśmy się od czasu do czasu – przyznaje w końcu. – Kiedy byłem Wielkim Mistrzem Basenu. Nie jestem jednak dumny z tej znajomości i wcale nie chciałbym tego powtórzyć.

Kiwam głową. Doceniam jego szczerość, chociaż tak naprawdę nie chciałam wiedzieć, że kiedyś jego usta dotykały jej ust. Ciężko mi będzie pozbyć się z głowy tego obrazu. Kiedy myślę o nich dwojgu razem, przechodzi mnie dreszcz.

– Zimno ci? – pyta Charlie. – Mogę ci dać swoją bluzę.

– Nie, nie trzeba.

– A co z nami? Wszystko w porządku?

Po namyśle odpowiadam:

– Tak. W porządku.

Charlie gasi światło i wychodzimy z powrotem na korytarz.

– Chcesz pograć w piwnego ponga?

– Nigdy w to nie grałam – wyznaję. – Ale pewnie. Chociaż nie cierpię piwa.

Nagle napięcie związane z Zoe znika.

– Wszystko ci pokażę – mówi Charlie. – Jeśli chcesz, mogę nawet wypić twoje piwo.

– Świetnie.

Wracamy do salonu, przez chwilę obserwuję toczącą się rozgrywkę. Piwny pong polega na tym, że najpierw rzuca się małą białą piłeczką do plastikowych kubków ustawionych na przeciwległych krańcach stołu, a następnie pije się z nich piwo, do chwili, aż nic nie zostanie.

Nie liczę na większe osiągnięcia w tej grze, ale skoro Charlie zaoferował, że będzie pił za mnie, to z radością wezmę w niej udział. Gracze rzucają i piją. Piją i rzucają. Wreszcie rozgrywka się kończy i przychodzi nasza kolej.

Charlie chwyta piłeczkę i pokazuje mi ruch, jakim należy rzucać.

– Bądź delikatna i zrób porządny zamach – mówi. – To gra wymagająca finezji, a nie brutalnej siły. No dalej. Ty pierwsza.

Podaje mi piłeczkę. Rzucam. Powietrze przecina biała smuga, po czym piłeczka ląduje w kubku, z cichym, ale stanowczym pluskiem. Spoglądam z zaskoczeniem na Charliego, a on przybija ze mną piątkę. Facet na drugim końcu stołu wypija piwo, zamierza się, rzuca. I pudłuje.

– Jeszcze raz – zachęca mnie Charlie.

Piłeczka numer dwa również trafia do celu. Podobnie jak numer trzy, cztery, pięć i tak dalej. Ani razu nie chybiam. Przeciwna drużyna ledwo daje radę. Wszystko wskazuje na to, że zaraz się uwalą, a Charlie pozostanie właściwie trzeźwy.

– To bestia! Mistrz! Skąd ona się wzięła? – pokrzykuje Charlie, kiedy wykonuję ostatni celny rzut.

Uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Przez całe życie w każdej dyscyplinie, której próbowałam, okazywałam się po prostu fatalna – mówiłam prawdę, tata rzeczywiście był beznadziejnym wuefistą – i wreszcie odnalazłam sport, w którym jestem świetna. Piwny pong. Szkoda tylko, że nie mogę powiedzieć tacie o swoim świeżo odkrytym talencie sportowym. Na pewno by się ucieszył, że po tylu latach wreszcie zaznałam radości, jaką daje gra zespołowa, i w dodatku od razu osiągnęłam w niej poziom mistrzowski.

Morgan, która przez cały czas obserwowała moją wspinaczkę na szczyty sławy, wyzywa nas do kolejnej rozgrywki.

– Zaraz się przekonacie – przechwala się z drugiego końca stołu. – W mojej drużynie też mamy tajną broń. Facet może nie potrafi otworzyć beczki z piwem, ale bez wątplenia potrafi zatopić w piwie piłeczkę pingpongową.

Wali Garvera w plecy, zagrzewając go do walki. Garver wysoko podrzuca piłeczkę, trafia. Obraca się, obejmuje Morgan i zaczyna podskakiwać, nie wypuszczając jej z objęć. Morgan bynajmniej nie podziela jego entuzjazmu. Odkleja jego ramiona od swojej szyi, odsuwa się na stosowną odległość i przybija z nim piątkę.

– Walcie się! – wrzeszczy Garver. – Pij, Katie!

– Ja to zrobię – mówi Charlie, sięgając po kubek. – Zawsze dotrzymuję słowa.

Zamierzam się i trafiam piłeczką w kubek jak wytrawna profesjonalistka, którą przecież jestem. Płynę na fali. Nie mogłabym chybić, nawet gdybym bardzo się starała. Garver pije piwo.

Przy kolejnym rzucie okazuje się, że szczęście się od niego odwróciło. Piłeczka odbija się od brzegu kubka, spada na ziemię i znika pod sofą. Garver zaczyna jej szukać na klęczkach.

– Stary! – mówi oskarżycielsko Morgan do przedziałka wyzierającego zza brzegu spodni, podczas gdy Garver gorączkowo maca dokoła. – Twierdziłeś, że jesteś świetny w tej grze!

– Bo jestem – odpowiada Garver, wynurzając się spod sofy. Wręcza mi piłeczkę, podciąga spodnie. Przedziałek znika. – Ale nie tak dobry jak Katie.

Znowu moja kolej. Raz po raz trafiam do celu. Oni tracą więcej punktów niż zyskują. Byłoby mi ich żal, gdybym tylko tak świetnie się nie bawiła. Chyba lubię imprezy. Nie, nie chyba, na pewno.

Zwycięstwo definitywnie należy do nas. Znowu. Garver ściska dłoń Charliego, posyła mi znak pokoju, bierze ostatni łyk i ociera usta z piany. Najwyraźniej piwo dodało mu odwagi, bo odwraca się do Morgan z szerokim uśmiechem i pyta:

– Zatańczymy?

Morgan krzywi się i obrzuca go morderczym spojrzeniem.

– Garver, skąd w ogóle przyszedł ci do głowy pomysł, że chciałabym z tobą tańczyć?

Patrzę na nią znacząco. Morgan wywraca oczami. *Bądź miła*, mówię samym ruchem warg.

– Dobra – wzdycha. – Mijmy to z głowy.

Garver, cały rozpromieniony, chwytą ją za rękę. Przepychają się przez tłum i dołączają do sporej roztańczonej grupy. Ciekawe, czy Morgan myśli w tym momencie to samo, co ja: *Obie straciłyśmy mnóstwo dobrej zabawy, nie chodząc przez tyle lat na imprezy.*

Przyglądam się Morgan, która prawie się nie rusza, i Garverowi, który skacze dokoła jak totalny przychlast, i nagle nachodzi mnie wrażenie, że cała reszta przygląda się mnie. Odszukuję wzrokiem stojącą w kącie Zoe, szepcze coś do grupki dziewczyn, które chyba kojarzę z podstawówki. Naprawdę mam wrażenie, że o mnie mówią. Ale może po prostu zastanawiają się, kim jestem i skąd się wzięłam, może niektóre z nich tak jak Zoe uważają, że mają prawo własności do Charliego i są niezadowolone, że zadaje się on z kimś spoza ich kręgu – a może tylko mi się wydaje. Trudno stwierdzić.

– Mam paranoję czy wszyscy na nas patrzą? – pytam w końcu Charliego, ruchem głowy wskazując Zoe i jej świtę, tak dyskretnie jak tylko się da.

– Nie patrzą na nas – odpowiada Charlie. – Patrzą na ciebie.

On też na mnie patrzy.

Znowu czuję na policzkach intensywny rumieniec.

– Tak właśnie wyobrażałam sobie w gimnazjum wszystkie szkolne potańcówki, na które nigdy nie chodziłam – mówię i chyba rzeczywiście mam rację: Zoe obmyśla zemstę, podczas gdy rozmawiam z najładniejszym

chłopakiem w klasie, a potem, kiedy idę z nim zatańczyć, ona robi coś wstrętnego, jak w *Carrie*, w tej scenie na balu, kiedy oblewają ją świńską krwią.

– Hm, jednak nie do końca tak to wygląda – mówi Charlie ze śmiechem. Najwyraźniej ani trochę nie przejmuję się tymi dziewczynami, więc ja też staram się nie przejmować. – W gimnazjum wszystkie dziewczyny stałyby po jednej stronie sali, a faceci po przeciwnej i nikt nikogo by nie dotykał.

Powoli popijam mój różowy drink i spoglądam na Charliego znad brzegu kubka.

– A ja jestem pewna, że tańczyłeś z całym mnóstwem dziewczyn na szkolnych imprezach. Z Zoe i jej koleżankami.

– No, może. Chociaż nie nazwałbym tego tańcem. To było raczej takie kręcenie biodrami.

– Euu. – Nawet nie chcę sobie wyobrazać, jak któraś z tych odmóżdżonych zmór ociera się o Charliego biodrami. Nie zasłużyły na takiego faceta. – Chyba nie chcę znać szczegółów.

– Moim zdaniem nie powinnaś przegapić tej części szkolnej edukacji – stwierdza Charlie, po czym wyjmuję kubek z mojej dłoni i stawia na najbliższym stoliku. – Proponuję szybkie korepetycje.

Prowadzi mnie na środek pokoju i obraca dokoła, a potem przyciąga blisko do siebie, tak że nie zostaje między nami prawie żaden skrawek wolnej przestrzeni. Natychmiast zapominam o intrygach Zoe i świńskiej krwi.

Kładę dłonie na ramionach Charliego, a on kładzie dłoń nisko na moich plecach i zaczyna kołysać biodrami na boki, jak wahadło zegara. Naśladuję jego ruchy. Wybuchamy śmiechem.

– Oto, co straciłaś!

– Koszmar – wyrokuję chociaż w sumie wcale tak nie uważam. Może taniec sam w sobie nie jest niczym szczególnym, ale przebywanie tak blisko Charliego Reeda już tak, bez dwóch zdań.

– Ten styl zawsze bardzo mi odpowiadał! – protestuje Charlie. – Nie podoba ci się?

– Liczyłam na więcej obrotów – mówię. Hej, ja chyba flirtuję. I nawet mi wychodzi! Cuda jednak się zdarzają.

Charlie obraca mnie powoli, o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, a mnie udaje się nie upaść. Możliwe, że nawet przedstawiam całkiem wdzięczny widok. Potem przyciąga mnie blisko do siebie i trzyma mocno.

Moje serce niespokojnie skacze. Czuję również bicie serca Charliego. Tańczymy wolny taniec w szalejącym tłumie i nic mnie nie obchodzi, jeśli nawet wyglądamy głupio i staroświecko. Jeszcze nigdy, w całym życiu, nie czułam się tak idealnie złączona z żadną osobą czy rzeczą, może za wyjątkiem mojej muzyki. Zoe i jej koleżanki przestają istnieć.

Charlie patrzy na mnie, a potem na moje usta. O mój Boże, zaraz mnie pocałuje. Pochyla się. Biorę wdech. Zamykam oczy. Czekam.

I w tym momencie... Garver obejmuje nas oboje za szyję. Ten moment minął. Otwieram oczy.

– TO NAJLEPSZY WIECZÓR W CAŁYM MOIM ŻYCIU! – wrzeszczy Garver, wskazując na Morgan. Jest spocony i śmierdzi piwem, i wygląda na totalnie szczęśliwego. – WŁAŚNIE MNIE POCAŁOWAŁA!

Spoglądam na swoją najlepszą przyjaciółkę, która stanowczo kręci głową. Ale jednocześnie, jak zwykle, kiedy kłamie, owija sobie kosmyk włosów wokół palca. A więc może jednak?

– Powiedz to jeszcze raz, to cię zabiję! – drze się. Garver uśmiecha się szeroko i biegnie do niej.

Morgan wciąż wbija w niego mordercze spojrzenie, nawet się martwię, że mu przyłoży. Ale potem Garver znów zaczyna swój spastyczny taniec. Morgan się śmieje, obserwuje przez chwilę jego błazeństwa, a potem zaczyna tańczyć razem z nim. Garver ma wniebowziętą minę.

Odwracam się w stronę Charliego, który znów zbliża twarz do mojej twarzy. Za chwilę nastąpi nasz pocałunek. Pocałunek, na który czekałam przez całe życie. Nareszcie. Chcę zapamiętać tę chwilę w najdrobniejszych szczegółach, na zawsze.

Tylko że w ostatnim momencie słyszę głos Zoe:

– Chyba wreszcie doszłam do tego, skąd cię znam – mówi, posyłając mi znaczący krzywy uśmiešek. – Nie chodziłaś przypadkiem do klasy pani Eslinger?

Zgadza się. Obie byłyśmy w tej klasie. Zoe z pewnością wie, że to ja, Wampirzyca. Ale nie zmusi mnie do tego wyznania. Powiem Charliemu o XP, kiedy będę gotowa, nie dlatego, że przekłeta Zoe Carmichael przyparła mnie do ściany.

Kręcę głową w milczeniu. Nie mogę nic powiedzieć. Boję się, że mój głos zdradzi, że w środku jestem śmiertelnie przerażona.

– Cha! – mówi Zoe, przyglądając mi się bardzo uważnie. – Zabawne. Bo

wyglądasz dokładnie jak ta biedna dziewczynka, którą nazywaliśmy Wampirzycą. Zachorowała i więcej nie wróciła do szkoły. Zapomniałam, jak miała na imię.

Nie mam czasu zastanowić się, jak się z tego wyplątać, bo w tym momencie Charlie spogląda na Zoe, potem na mnie i mówi ze śmiechem:

– To dlatego ciągle zerkałaś na moją szyję, kiedy tańczyliśmy. A ja myślałem, że tak bardzo ci się podobam.

– Cóż mogę powiedzieć? Jesteś bardzo apetyczny, szczególnie dla nas, wampirów. – Nawet w stanie bliskim paniki dostrzegam, że jego szyja wygląda naprawdę cudownie. I ładnie pachnie, dodaję w myślach.

Zoe otwiera usta, chce coś jeszcze powiedzieć, ale nagle rejestruje ramię Charliego obejmujące moje plecy i moją dłoń wetkniętą w tylną kieszeń jego spodni i odchodzi bez słowa. Niemal widzę parę buchającą jej z uszu.

– Co to było, do cholery? – pyta Charlie.

Wzruszam ramionami.

– Twoja eks jest dziwna.

– Nigdy nie była moją dziewczyną! – protestuje Charlie, a potem dostrzega mój szeroki uśmiech. – O! Drażnisz się ze mną, tak?

Chichoczę.

– Może trochę.

Znów pochyla się w moją stronę. A ja znów wstrzymuję oddech. Znów zamykam oczy. I czekam.

Tym razem jego usta lądują tuż koło mojego ucha.

– Może sobie stąd pójdziemy?

Otwieram oczy, uśmiecham się do niego i kiwam głową. Tak jakby istniała inna odpowiedź. Gdyby poprosił, poleciałabym z nim nawet na księżyc. Wychodzimy, by urządzić sobie naszą własną prywatną imprezę.

Zaletą małych miast jest to, że wszędzie da się szybko dotrzeć, nawet na piechotę: na stację, do lodziarni, gdzie pracują Morgan i Garver, do szkoły (o ile ktoś nie odbywa edukacji we własnym pokoju) i, w tym konkretnym przypadku, do przystani. Muszę oddać Charliemu sprawiedliwość – to bez wątpienia najbardziej romantyczne miejsce w całym Purdue.

Woda lśni w blasku księżyca, a my spacerujemy wzdłuż nabrzeża, trzymając się za ręce. Łodzie kołyszą się na wietrze, żagle stukają o maszty. Nad naszymi głowami błyszczą gwiazdy.

Charlie wskazuje jeden z jachtów, z niebieską flagą i charakterystycznymi złotymi literami CAL, jak Kalifornia.

– Taka ciekawostka: miałem dostać stypendium za osiągnięcia pływackie, wybierałem się na uniwersytet w Berkeley.

Otworzył mi drzwi, na to czekałam. Teraz mogę powiedzieć: *Taka ciekawostka: ja naprawdę jestem tą biedną dziewczynką, o której wspominała Zoe...*

Ale potem widzę smutek wyzierający z jego oczu. Nie muszę go dobijać. Zamiast tego mówię:

– Wybierałeś się? Czyli jednak nie jedziesz?

– Nie. Miałem operację, nie wiedzieli nawet, czy będę mógł dalej pływać. A brak stypendium oznacza, że z Berkeley nici.

Patrzę na swoje odbicie w pomarszczonej wodzie i przypominają mi się słowa Drogiej Gabby, o tym, że każdy z nas ma swoją kanapkę z gównem. Okazują się prawdziwe. Nawet Charlie Reed, pozornie idealny, najwspanialszy osobnik na świecie, też ma swoją.

– Nie mogłeś wziąć pożyczki czy coś w tym rodzaju? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Teoretycznie pewnie tak, ale interesy mojego taty nie idą najlepiej, nie chciałem go stawiać przed takim wyborem. A pływanie było całym moim życiem. Nadal próbuję się dowiedzieć, kim jestem bez niego. To byłoby

bardzo egoistyczne, zerować na kasie rodziców, kiedy nawet nie wiem, co tak naprawdę chcę w życiu robić.

– Strasznie mi przykro. – To smutne, że Charlie stracił stypendium, ale jeszcze smutniejsze, że uważa się za nic niewartego, jeśli nie pływa. – Jak to się stało? Dlaczego musiałeś przejść operację?

Idziemy dalej, długo nie odpowiada. Już zaczyna mi się wydawać, że nie usłyszał, ale w końcu mówi:

– Głupi wypadek. Spadłem ze schodów i...

Urywa, jednocześnie przystając. Odwraca się w moją stronę, bierze głęboki wdech i zaczyna od początku:

– Właściwie to nie do końca prawda. To wersja oficjalna. Upiłem się u Owena, a on wyzywał mnie, żebym skoczył z dachu do basenu, a ja posłuchałem i uderzyłem o brzeg. Jestem kretynem.

– Wow. – To wszystko, co mi przychodzi do głowy. Wersja Charliego zdolna do tak głupich wyczynów nie zgadza mi się z wersją, którą wyobrażałam sobie przez te wszystkie lata. Ani z tą, którą teraz poznaję.

– No, jesteś nieprzeciętnym kretynem. – Właśnie te słowa wychodzą z moich ust, bo najwyraźniej nie chcę, żeby pocałował mnie facet, o którym marzę od tak dawna. Wypowiadam je jednak łagodnym tonem, jednocześnie z dezaprobatą kręcąc głową: bo jest takim kretynem, a ja taką kretynką. Śmieje się, więc chyba całkiem nie zrujnowałam swojej szansy.

– Dzięki, że powiedziałaś mi prawdę – dodaję.

– Dzięki, że nazwałaś mnie kretynem. – Uśmiecha się. – Wiesz, co jest najgorsze? Tamtego wieczoru nawet nie miałem ochoty pić alkoholu. To było takie głupie. Nie chcę być tamtym facetem, rozumiesz?

– To nie bądź.

Widzę z tego, w jaki sposób się zachowuje, że zwykle nie pokazuje się ludziom od tej strony – kruchej i wrażliwej, gdzie nie jest królem imprezy, królem szkoły, królem basenu. Przy mnie pewnie łatwiej mu to przychodzi, bo jestem z zewnątrz. Ale i tak miło, że mi zaufał.

I pojawia się myśl, że ja pewnie też powinnam mu zaufać. Właśnie podarował mi kolejną idealną okazję. Ale zanim zdążę coś powiedzieć, przerywa milczenie.

– Uwielbiam to miejsce. Szczególnie, kiedy nie ma ludzi. W nocy jest idealnie – mówi.

Postanawiam ofiarować mu coś innego niż moją diagnozę. Też coś

osobistego i bliskiego sercu, ale nie aż tak wstrząsającego jak wyznanie dotyczące stanu zdrowia.

– Pamiętam, że mama mnie tu przyprowadzała, kiedy byłam mała.

– Naprawdę? – Wydaje się uprzejmie zainteresowany. Zapewne nie spodziewa się tego, co zaraz powiem.

– Tak, mam w pamięci taki wyraźny obraz, jak bierze mnie na kolana i układa moje palce na strunach gitary.

Biorę głęboki wdech, przytłoczona wspomnieniem, które zalewa mnie niczym potężna fala. Jak można tak mocno tęsknić za kimś, kogo nie ma od tak dawna, i kto istniał w moim życiu tak krótko? Dotykam zegarka na nadgarstku. Należał do niej. Zawsze, kiedy na niego patrzę, czuję jej bliskość. Wyobrażam sobie, że jest teraz gdzieś tam wśród gwiazd, lata świetlne stąd, że na mnie patrzy i czuwa nade mną.

– Ten zegarek do niej należał – dodaję. – Tyle razy na niego patrzyłam, kiedy grała, marząc, że pewnego dnia też tak będę potrafiła. Zmarła, kiedy miałam sześć lat. Zginęła w wypadku samochodowym.

Charlie milczy. Mam nadzieję, że go nie spłoszyłam, że nie uznał mnie za zaburzoną i niewartą zaangażowania. Bo jeszcze nawet nie wie o chorobie. Jestem jednym wielkim zaburzeniem.

– Jest mi... jest mi bardzo przykro – mówi w końcu. – A ja tu gadam o wypadku, za który wyłącznie sam ponoszę winę. Faktycznie kretyn ze mnie.

Potrząsam głową z uśmiechem.

– Nieprawda. Wszystko jest w największym porządku. Fajnie zebrać nowe wspomnienia z tego miejsca.

– Hej. – Bierze mnie za rękę. – Pozwól, że ci to wynagrodzę.

Idziemy dalej, aż Charlie zatrzymuje się przed wspaniałym lśniącym jachtem. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam, no, może w telewizji, w programie o Kardashiankach. Charlie wchodzi na pokład i podaje mi rękę.

– Twój? – pytam, a oczy mam wielkie jak księżyc w pełni. Nic nie rozumiem. Mówił przecież, że interesy taty nie idą najlepiej, a ten jacht musiał kosztować kilka milionów.

– Nie, skąd – odpowiada. – Ale pomagam przygotować go na lato. Pracuję tu. Teraz już wiesz, co porabiam przez całe dni. Twoja kolej.

Decyduję się na łatwą opcję, żart, który nawet nie jest żartem.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? Naprawdę jestem tą wampirzycą, o której wspominała Zoe.

Zastanawiam się, czy dać jasno do zrozumienia, że mówię całkowicie poważnie. Wyznać całą prawdę. Zanim będzie za późno, zanim za mocno się zaangażuję i wyznanie prawdy będzie oznaczało potencjalnie złamane serce.

– Tak coś czułem – odpowiada Charlie. Na pewno nie ma pojęcia, że mówię całkowicie poważnie i że dosłownie w ostatniej sekundzie postanowiłam nie mówić mu wszystkiego, przynajmniej na razie. Może jutro. Ale na pewno nie tego wieczoru. – Ale co tam. Zaryzykuję.

Oprowadza mnie po jachcie, pokazuje różne części osprzętu i objaśnia.

– Ten jacht zbudowano w firmie Jespersen. Grot wzmocniony kevlarem. Pokład z drewna tekowego z Birmy, intarsje z bambusa.

Dotykam po kolei wszystkiego, o czym opowiada. Jacht pachnie klasą i bogactwem.

– Nic mi to nie mówi, ale jest piękny! – wykrzykuję. – Skąd tyle wiesz o łodziach?

Charlie otacza moje plecy ramieniem, a ja się w nie wtulam.

– Pamiętasz, wspominałem o tym stypendium?

Przytakuję. Światło gwiazd i księżycy tworzy halo wokół głowy Charliego. Mój własny, osobisty anioł.

– Te sprawy się ze sobą łączą – wyjaśnia. – Właściciel jachtu, pan Jones, jest absolwentem Uniwersytetu Kalifornijskiego. Pływał, tak jak ja miałem w planach. Jak tylko dowiedział się o stypendium, wziął mnie pod swoje skrzydła i nauczył wszystkiego, co powinienem wiedzieć.

– Miło z jego strony – mruczę. – Fajnie mieć kogoś, kto tak w ciebie wierzy. Zwłaszcza jeśli jest to ktoś spoza rodziny.

Charlie bierze głęboki wdech, potem powoli wypuszcza powietrze.

– Tak. Ale tym bardziej beznadziejnie, kiedy się kogoś takiego zawiedzie. Rodzina zawsze wybaczy. Mam wrażenie, jakby od czasu wypadku pan Jones inaczej na mnie patrzył. Dobrze, że całkiem nie stracił zaufania do mnie i pozwala mi nadal wykonywać tę pracę.

– Na pewno nie uważa, że się na tobie zawiódł...

Charlie wchodzi mi w słowo:

– Ależ owszem, tak. Ale cóż, trudno. Skoro już nie mogę być w wodzie, to przynajmniej będę regularnie na niej. Ta łódź jest od pewnego czasu jedynym miejscem, gdzie mogę normalnie myśleć.

Splatam palce z palcami Charliego.

– A o czym myślisz, kiedy tu jesteś?

Spogląda na księżyc.

– Sam nie wiem. Zastanawiam się, co teraz zrobię, skoro przyszłość, którą sobie zaplanowałem, jednak się nie zdarzy. W którą stronę chcę pójść. Kim pragnę zostać. No wiesz, tego rodzaju drobiazgi.

Śmieję się cicho.

– Całkowicie i doskonale to rozumiem. Ja też nieustannie się nad tym wszystkim zastanawiam.

Patrzy na mnie, zaskoczony.

– Poważnie?

Uśmiecham się.

– Aha. Nawet nie masz pojęcia.

– Cha – mówi, przetrawiając moje słowa. – Wiesz co? Pewnego dnia wypłyniemy na zatokę, obejrzymy zachód słońca...

– Wspaniały pomysł – mówię. I naprawdę tak uważam. Szkoda, że to tylko fantazja, bez szans na realizację. Ale w tym momencie jestem szczęśliwa, wyobrażając sobie ten „pewien dzień”, który nigdy się nie wydarzy.

Nasze spojrzenia znów się spotykają. I jakby nie dość wspaniałe było samo to, że stoimy na przepięknym jachcie, pod kopułą nocnego nieba, kołysani delikatną falą, Charlie pochyla się i mnie całuje. Tym razem naprawdę.

To czysta magia, dokładnie tak jak w moich marzeniach, przez chwilę nie mogę myśleć ani nawet oddychać. Ale potem coś zaskakuje i czuję wszystko tak wyraźnie, wszystko. Zakończenia nerwów mrowią, mózg płonie, serce poddaje się bez walki.

Oplatam ramionami szyję Charliego, a on przyciąga mnie jeszcze bliżej. Pocałunek trwa, chyba nigdy się nie skończy.

I może by się nie skończył, a w każdym razie nie tak szybko, ale przerywa nam sygnał w moim zegarku. Natrętny jak dzwony kościelne. Odskakujemy od siebie.

Wyłączam alarm, kręcąc głową. Dlaczego, no dlaczego muszę tak wcześniej wracać do domu? Prawie nigdy nie wychodzę, tata mógłby chyba podarować mi kilka dodatkowych godzin z tej okazji.

– Musisz wracać? – pyta Charlie.

Opieram czoło na jego piersi. Słyszę bicie serca, mocne i wyraźne. Takie bezpieczne.

– Czasami nienawidzę tego zegarka – mówię, chociaż wiem, że to nie wina martwego przedmiotu, po prostu nie mam już mamy, która kiedyś go nosiła, za to mam nadopiekuńczego ojca i rzadką chorobę, która oznacza, że nigdy nie wypłynę z Charliem na oglądanie zachodu słońca.

Wracamy do samochodu, trzymając się za ręce. Charlie otwiera przede mną drzwi. Patrząc, jak okrąża samochód i wsiada od strony kierowcy, stwierdzam, że prawdziwy Charlie jest nawet lepszy od tego wymarzonego.

* * *

Charlie zatrzymuje furgonetkę w sporej odległości od mojego domu.

– Co ty robisz?

– Mówiłaś, że twój tata ma lekki sen.

– Miło, że zapamiętałeś. – Nie chcę, by ta idealna noc się skończyła, więc próbuję przeciągnąć chociaż naszą rozmowę. – A kiedy pracujesz na jachcie i myślisz, to przychodzą ci do głowy jakieś pomysły na kolejny rok? Skoro nicy z Berkeley.

Charlie kiwa głową, na jego twarzy nieśmiało pojawia się uśmiech.

– Wszystko po kolei. Najpierw zamierzam kupić nową furgonetkę.

Moje brwi zbiegają się w linię ciągłą. Sądziłam, że usłyszę coś o wolontariacie za granicą, zajęciach na lokalnej uczelni, stażu. A on gada o furgonetce. To nie jest plan, tylko rzecz.

– Po co? Ta jest fajna. – Jest starego typu, wygląda, jakby należała kiedyś do farmera. Ogromnie mi się podoba.

– Nie, nowa będzie znacznie lepsza – tłumaczy. Oczy mu błyszczą. – Będzie mieć przedłużoną kabinę, zestaw do podnoszenia nadwozia, chromowane felgi i matowy lakier.

– Brzmi świetnie. I drogo. – Nie dodaję: A ty powinieneś mierzyć wyżej. Stać cię na więcej niż marzenie o nowym samochodzie. Masz taki potencjał.

– Jak już mówiłem, nie tylko ty jesteś bardzo zajęta w ciągu dnia. – Wzrusza ramionami. – Haruję jak wół, pod koniec lata powinienem zebrać wystarczającą sumę. A potem, cóż, nie mam żadnych konkretnych planów. Może pojedę moją nowiutką furgonetką na wyprawę po kraju. Przez całe życie siedziałem w basenie, tak naprawdę niewiele więcej widziałem.

Kiwam głową. Znam to uczucie. Ja też prawie nigdzie nie byłam poza granicami Purdue.

– A co robisz...

Przerywam mu, zanim zacznie zadawać zbyt szczegółowe pytania. Nie chcę więcej go okłamywać ani choćby ukrywać prawdy. On tyle mi powiedział o swoim życiu.

– Ja? Nic takiego. To znaczy, nigdzie się nie wybieram. – Wiem, że mówię za szybko, że się płaczę, ale może nie zauważy. – Będę dalej uczyć się online i właściwie, tak, nadal będę tutaj.

Charlie się śmieje.

– Brzmi interesująco, ale chciałem zapytać, co robisz jutro.

Odpowiedź jest prosta.

– A. Aha. W ciągu dnia jestem zajęta, ale wieczorem mam wolne.

– No to będę czekał w tym miejscu – mówi Charlie.

Pochyliam się i cmokam go w policzek, a potem wysiadam i pędzę do domu. Ale nagle coś mnie zatrzymuje. Może sumienie, może anioł. Nieważne, w każdym razie przekaz jest jasny: On zasługuje, żeby poznać prawdę.

Dlatego obracam się na pięcie i wracam. Charlie wciąż tam jest. Biorę głęboki wdech.

– Muszę ci coś wyznać.

I tym razem prawie to robię. Naprawdę. Ale nagle widzę jego twarz, taką szczerą i otwartą. Patrzy na mnie jak na całkiem normalną dziewczynę, jaką tak bardzo chciałabym być. I nie mogę się zmusić do wypowiedzenia tych słów.

– Nigdy nie miałam kota.

Charlie się śmieje.

– Nieźle.

12

Wydarzenia ostatniego wieczoru wprawiły mnie w nastrój rozmarzenia i napełniły inspiracją. Przez resztę nocy komponuję nowy utwór, *Love Rocks*, i wydaje mi się, że jest to najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisałam: skomplikowana, pełna niuansów, głęboka, w estetyce, którą zawsze pragnęłam osiągnąć, ale nigdy mi się nie udawało – aż do teraz. Przynajmniej mam nadzieję, że mi się udało. Kiedy słońce zaczyna wschodzić, zasypiam z szerokim uśmiechem na twarzy.

Po obiedzie wpada Morgan. Siedzimy na łóżku w moim pokoju, w pewnym momencie chwytam gitarę i zaczynam brzdąkać. Jej opinię cenę najbardziej, chciałabym usłyszeć, co sądzi o moim nowym utworze.

Angażuję się całym sercem, naprawdę daję z siebie wszystko. Unoszę głowę, by sprawdzić, czy Morgan czuje to samo co ja i dostrzegam, że jest nieobecna duchem. Z uśmiechem wpatruje się w telefon, jej palce biegają po klawiaturze.

Przerywam w połowie i odkładam gitarę.

– Do kogo piszesz?

Unosi głowę, krzywi się i wrzuca telefon pod narzutę.

– Co? Do nikogo. Wybacz!

– Morrrgannn – mówię, przeciągając głoski, żeby zabrzmiało groźnie.

Morgan wzrusza ramionami i mamrocze coś niespójnego pod nosem.

– Że co?

Dalej mamrocze.

– Nie słyszę ani słowa. Mogłabyś mówić głośniej?

– GARVER – mówi wreszcie, tym razem bardzo głośno. – ROBIŁAM RÓŻNE RZECZY Z GARVEREM.

Uśmiecham się, nie mogę się opanować.

– Zam. Knij. Się. – warczy Morgan.

– Nic nie powiedziałam! – protestuję, a mój uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Zamknij się.

Śmieję się.

– Nie powiedziałam ani jednego słowa!

Morgan robi się czerwona jak burak, naciąga sobie narzutę na głowę. Ze środka dochodzi głos:

– Ale jest całkiem przystojny, nie?

– Nawet bardzo – zapewniam. – I uroczy. I na pewno ma dobry gust, bo się w tobie zakochał. Nawet jego chili było udane.

– Obie dobrze wiemy, że to ostatnie jest kłamstwem. Chili było ohydne – mówi Morgan, wciąż stłumionym przez narzutę głosem.

– Ale cała reszta to prawda.

Bardzo się cieszę, że Morgan dała Garverowi szansę, ale jednocześnie nie mogę przestać się martwić, jak zareaguje mój tata, kiedy się dowie, że mam randkę. Zwłaszcza że mój wybranek nie ma pojęcia o XP. Tata będzie nalegał, żebym go zaprosiła i przedstawiła, w trybie natychmiastowym. A wtedy prawda z pewnością wyjdzie na jaw. I z randki nici – nie wspominając o związku, do którego być może wszystko zmierza. Charlie Reed ma dosyć własnych kłopotów, nie potrzebuje jeszcze mnie i mojej cudacznej choroby. Nie zniosę, jeśli nasza znajomość się skończy, zanim na dobre się zaczęła.

W mojej głowie powstaje plan. Aby go wykonać, potrzebuję Morgan. Dochodzę do wniosku, że skoro wczoraj wieczorem tak skutecznie zachowywałam się jak normalna dziewczyna w moim wieku – helou, piwny pong i pocałunki na jachcie, który nie należał do nikogo z całujących się – to powinnam pociągnąć tę grę również dzisiaj i ukryć prawdę na temat najbliższych planów.

– Mogę powiedzieć, że idę wieczorem do ciebie? – pytam Morgan. – Mam się spotkać z Charliem.

Morgan zdejmuję narzutę z głowy i siada prosto.

– Prosisz, żebym ci pomogła okłamać tatę, bo chcesz się spotkać z facetem? – Przysięgam, Morgan walczy ze łzami, a nigdy nie płacze, chyba że naprawdę nie jest w stanie się opanować. – Jeszcze nigdy nie byłam z ciebie taka dumna.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze? – pytam, uśmiechając się szeroko. – Ja też jestem z siebie dumna.

– Idź. Zrób to od razu. – Na zachętę spycha mnie stopą z łóżka. – Zanim

odwaga cię opuści.

Biorę głęboki wdech i ruszam na dół. Tata siedzi w salonie na sofie i przegląda teczek pełne fotografii. Czuję się bardzo dziwnie i niezręcznie, jakby potrafił mi zajrzeć do głowy i już poznał mój niecny plan.

– Nad czym pracujesz? – pytam w ramach stosownego wstępu.

– Wystawiam oceny – odpowiada, po czym podnosi wysoko zdjęcie przedstawiające ptaka frunącego prosto do światła. Podoba mi się. Dałabym mu najwyższą ocenę.

– Ale ty przecież nie cierpisz stawiać ocen fotografiom – mówię, przypominając mu słowa, które powtarzał chyba z tysiąc razy. Powoli wydeptuję sobie ścieżkę prowadzącą do kłamstwa.

– Bo to niemożliwe zadanie! – odpowiada tata. Odkłada z uśmiechem zdjęcie i pyta: – Impreza się udała?

– Tak. Było świetnie! – wykrzykuję, po czym wyhamowuję. Lepiej, żeby nie myślał, że tak świetnie się bawiłam. To doprowadzi do kolejnych pytań, a one do kolejnych kłamstw. – Znaczy, no wiesz, w sumie było dość nudno. Ale w porządku. Nic takiego szczególnego.

Tata rzuca mi rozbawione spojrzenie. Próbuję nie doszukiwać się w nim głębszego znaczenia.

– Poznałaś fajnych ludzi?

– Co... nie. To znaczy, tak. Wszyscy byli bardzo interesujący – jąkam się.
– Ale nie było tam nikogo szczególnie wyjątkowego. Wszyscy po równo fajni. Ale nie jacyś szczególni. Ale w sumie całkiem zabawni.

Tata unosi brew, ale raczej niczego nie podejrzewa. Przyklejam sobie do twarzy szeroki uśmiech i zadaję pytanie, zanim nerwy mnie zjedzą.

– To jak, mogę pójść wieczorem do Morgan?

Tata przenosi wzrok na zdjęcia i rzuca od niechcienia:

– Jasne. Nie ma problemu.

Chwytam torbę i ruszam w stronę schodów, żeby przypadkiem niczego nie schrzanić.

– Świetnie! Powiem jej. Nie była pewna, czy się zgodzisz, ale ja wiedziałam, że tak. Przecież ją uwielbiasz! Wszyscy uwielbiają Morgan! No super. Kocham cię.

– Ja ciebie bardziej – woła tata.

Normalnie, zgodnie z naszą tradycją, odpowiedziałabym *Niemożliwe*. Ale tym razem obracam się na pięcie i wracam do salonu.

– Skłamałam.

Tata kiwa głową.

– Bredziłaś, więc się domyśliłem.

Siadam obok niego na sofie.

– Umówiłam się z chłopakiem, który nazywa się Charlie Reed, nie znasz go, ale jest naprawdę przemiły i wiem, że też byś go polubił, bo ja bardzo, bardzo go lubię. Bardzo.

Tata zaciska szczęki. Nie wiem, czy to oznaka złości czy zatroskania. Może obu tych rzeczy naraz.

– Jesteś zły? – pytam łagodnym tonem.

– Nie jestem zachwycony, że mnie okłamałaś.

W moim żołądku tworzy się wielka dziura. Nie mogę znieść, że zawiodłam tatę, który praktycznie rzecz biorąc poświęcił dla mnie całe swoje życie.

– Wiesz, że możesz mi mówić o wszystkim – dodaje.

– Wiem – odpowiadam, zwieszając głowę. – Przepraszam.

– Ale dziękuję, że jednak powiedziałaś prawdę. – Tata nieco się odpręża. – Pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Ufasz mu?

Kiwam głową. Ufam Charliemu całkowicie i bez zastrzeżeń. Wiem, że mogę mu zaufać, bo pamiętał, że mój tata ma czujny sen, i zatrzymał się w odpowiedniej odległości od mojego domu, kiedy mnie podwoził. A na imprezie był przez cały czas u mojego boku, nie odstąpił mnie na krok, widząc, że nikogo nie znam i czuję się dość nieswojo. Zapewnił, że nie muszę pić piwa. No i patrzył na mnie w taki szczególny sposób, zanim mnie pocałował, i potem też. – Na sto procent.

Długa chwila ciszy. W końcu:

– Czy istnieje ryzyko, że mi się nie spodoba?

Kręcę głową.

– Na pewno nie.

– A czy on wie o...

Znowu kręcę głową. Tata otwiera usta, by zaprotestować, więc go uprzedzam.

– Jeszcze mu nie powiedziałam. Ale powiem!

– Nie podoba mi się, że on nie wie. – Głos taty brzmi jeszcze bardziej stanowczo niż przedtem.

W gardle rośnie mi wielka gula. Nie zamierzam uzalać się nad sobą, nie dzisiaj, kiedy wszystko tak świetnie się układa.

– Powiem, mu, tato. Przysięgam. Ale potrzebuję jeszcze trochę czasu. Jeszcze przez chwilę chciałabym być czymś więcej niż tylko chorobą.

– Och, Katie – mówi tata, z taką miną, jakby zaraz miał się rozpłakać. Wiem, że pragnie mnie chronić: przed chorobą, przed złamanym sercem, jeśli Charlie odejdzie, kiedy pozna mój sekret, przed moją własną śmiertelnością – a ja wiem, i on też wie, że wobec tych wszystkich rzeczy jest całkowicie bezsilny. Chce pomóc swojej małej córeczce, a nie może. Myślę, że dla ojca nie ma nic gorszego.

Wzruszam ramionami, łzy napływają mi do oczu. Szczeka mojego taty przypomina skałę. Patrzymy na siebie.

– Wiesz, że jesteś czymś więcej – mówi.

– Niewiele osób o tym wie – szepczę. Staram się nie poddawać goryczy. Bez skutku.

Tata wzdycha i potrząsa głową.

– Wiesz, że muszę go poznać.

– Poznasz, obiecuję. Za kilka dni. Chcę jeszcze побыć normalną dziewczyną, okej?

Czekam. Błagam w myślach, żeby się zgodził. W końcu kiwa głową. Zarzucam mu ramiona na szyję.

W tym momencie na schodach pokazuje się Morgan. Posyła mojemu tacie uśmiech, jak gdyby nigdy nic, i mówi:

– Hej, nie ma pan nic przeciwko, jeśli Katie zostanie u mnie na noc? – Jest stuprocentowo przekonująca. Chyba powinnam brać od niej lekcje kłamania.

– Przyznałam się do wszystkiego – oznajmiam.

– Zwariowałaś? – Morgan patrzy na zegarek. – Nie mogłaś zaczekać dziesięć minut?

Wzruszam ramionami.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem dobrym i grzecznym dzieckiem. Takie sytuacje to dla mnie nowość.

– Jesteś beznadziejna, Katie – stwierdza Morgan, kręcąc głową. – Baw się dobrze. Ja muszę lecieć do pracy.

13

– Dokąd jedziemy? – pyta Charlie, kiedy wskakuję do jego furgonetki kilka godzin później.

Doskonale rozumiem, czemu oszczędza na nową. Licznik pokazuje ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, tapicerka na fotelach jest przetarta, a silnik wydaje z siebie dziwne sapanie, które na pewno nie jest normalne.

– Na miasto – mówię. Zanim Morgan wyszła, ułożyliśmy doskonały plan, Charlie powinien być zachwycony.

Uśmiecha się szeroko.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Wciska gaz. Czaczaczaga-czagaczaga, sapie silnik. Ruszamy.

Małe Purdue wygląda na wyludnione, chociaż kiedy Charlie zajeżdża na parking, jest dopiero dziewiąta czterdzieści pięć. Ruszamy wzdłuż Main Street, gapimy się na wystawy i gadamy.

Kiedy docieramy do lodziarni, zatrzymuję się.

– Jesteśmy na miejscu.

– Chyba się spóźniliśmy – mówi Charlie. – Już zamknięte.

– O, wy, małej wiary.

Zaglądam do środka przez okno i macham do Morgan. W środku są tylko ona i Garver, wszyscy klienci już dawno poszli do domu.

– Jak dziwnie – mówi Morgan sztywnym tonem, otwierając nam drzwi. – Przysięgam, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś zakradał się tu po godzinach.

– Ja też nie – zgadza się Garver stojący za ladą.

Charlie rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Oooo, sprytnie, Katie.

– Tylko nie zróbcie nam koło pióra, drodzy przyjaciele – mówi Morgan, podając mi klucze. – Pamiętajcie, żeby posprzątać, pogasić światła i pozamykać.

– Jasne.

– Rano wpadnę po klucze – dodaje, po czym pochyla się w moją stronę i szepcze: – Baw się dobrze. Może nawet za dobrze.

– Ty też – odpowiadam, wskazując na Garvera.

– Ani słowa – ostrzega Morgan i rusza do wyjścia. – Garver, idziesz?

– Pewnie. – Daje Charliemu lekkiego kuksańca w ramię, po czym wychodzą z Morgan z lodziarni.

I zostajemy sami. Wszystkie krzesła leżą do góry nogami na stolikach, więc podchodzimy do lady. Charlie siada na stołku, a ja wkładam fartuch i kretyńską papierową czapkę, z tych, które muszą nosić tutejsi pracownicy.

– Co dla pana? – pytam, wchodząc w rolę.

– Podwójne banana split, gorąca polewa toffi, bita śmietana, orzechy, pełen zestaw – mówi Charlie.

– Łeeee – oceniam, nie ruszając się z miejsca. – Orzechy. Nie. W żadnym wypadku nie pasują do lodów. Każdy to wie.

Charlie udaje oburzonego.

– Co się stało z zasadą, że klient ma zawsze rację?

– Pożegnałeś ją, wypowiadając słowo „orzechy”.

– Orzechy – mówi Charlie, pstrykając palcami.

– Ciężki przypadek – stwierdzam.

Pochyla się, aż jego czoło dotyka mojego. Tonę w jego oczach. Całuje mnie delikatnie. Doskonale wyważa wargi, język i czas. Pocałunek jest idealny, tak jak Charlie.

Odsuwamy się i patrzymy sobie w oczy. Z szerokim uśmiechem biorę do ręki łopatkę i chwytam okazałą miskę, na nas dwoje. Kto by pomyślał, że stan zakochania jest taki cudowny? Tyle lat swojego życia spędziłam samotnie w pokoju. Co za strata.

– Wracając do tematu – mówię. – Już ustaliliśmy, że orzechy są wykluczone. Moglibyśmy przedyskutować również banany?

Charlie kręci głową.

– Za potasem też nie przepadasz? Co z tobą, dziewczyno?

Wzruszam ramionami.

– Uważam, że banany są wstrętne. W dodatku w tych importowanych ze Środkowej i Południowej Ameryki można znaleźć takie wielkie włochate pająki. Normalnie wielkości dłoni!

– To pewnie miejska legenda.

– Nie, sprawdziłam. Liście bananowców rosną ciasno zwinięte, a kwiaty zwisają nisko nad nimi – tłumaczę, pokazując rękami, o co mi chodzi. – Idealna kryjówka dla pajaków. Jeden gatunek, który nazywa się wałęsak brazylijski, z rodziny Ctenidae, w chwili zagrożenia wspina się na tylnych nogach i pokazuje kły.

– Tak? – pyta Charlie i naśladuje atakującego pajaka. – ROŁŁŁRRR!

Śmieję się.

– Mniej więcej. Niezły popis aktorstwa. Z zastrzeżeniem, że pajaki raczej nie ryczą. Odważyłabym się wręcz powiedzieć, że w ogóle nie wydają żadnych dźwięków.

– Nieistotne szczegóły – stwierdza Charlie. Mocno zaciska usta, w jego oczach tańczą iskry. Próbuje powstrzymać się od śmiechu. Prawie mu się udaje.

– No co? – pytam.

– Jesteś przeurocza – oznajmia. – I inteligentna. Skąd ty to wszystko wiesz?

Zbyt późno przypominam sobie, że Morgan ostrzegała, bym nie zasypywała Charliego informacjami, które tak skrupulatnie gromadzę w swojej głowie. Ale nic na to nie poradzę. Uwielbiam tego rodzaju ciekawostki, uwielbiam przyrodę, gwiazdy i niebo, nieskończoność i całą resztę. Uwielbiam. Chcę to wszystko poznać.

– Nie wiem wszystkiego. Wręcz przeciwnie – odpowiadam, wtykając łyżeczkę w lody o smaku herbatników. – W każdym razie jeszcze nie. Ale chciałabym. To nieosiągalny cel, ale i tak uważam, że warto do niego dążyć.

– Ale ty naprawdę masz sporą wiedzę – mówi Charlie. – Dopiero skończyłaś liceum, a już zdążyłaś zebrać tyle punktów na studia. A ja właśnie skończyłem liceum i... Umiem pływać i naprawiać jachty, i to by było na tyle.

Wrzucam do miski trochę lodów o smaku toffee i dodaję porcję o smaku słonych karmelowych precelków. Potem chwytam pojemnik z bitą śmietaną i dwie łyżeczki i stawiam wszystko na ladzie między nami.

– Hej, masz tylko osiemnaście lat. Nie musisz wszystkiego wiedzieć, nikt tego od ciebie nie oczekuje – mówię, wyciskając na każdą gałkę z osobna sporą porcję bitej śmietany. Nasz deser wygląda jak zamek z baśni. – Zresztą to niemożliwe. Człowiek uczy się przez całe życie, wiesz?

– Czasem martwię się, że najlepsze dni mam już za sobą – wyznaje

Charlie, zagłębia łyżeczkę w lodach o smaku herbatników i dokładnie ją oblizuje. – Z punktu, w którym teraz jestem, nie widzę swojej przyszłości. Nigdy w życiu tak się nie czułem, pozbawiony celu i planów. Czy to dziwne?

– Dziwne? Nie. Ludzkie? Tak. I co chcesz powiedzieć, twierdząc, że najlepsze dni masz za sobą? Twoje życie dopiero się zaczyna. Będzie takie, jakim zapragniesz je uczynić.

Wbija łyżeczkę w słony karmel i wzdycha.

– Chyba chodzi o to, że ogromny rozdział mojego życia został zamknięty, rozumiesz? To, co mnie określało, z czego znano mnie w szkole. Wszyscy moi kumple należeli do drużyny pływackiej. Trenowałem każdego dnia. To mnie ukształtowało, sprawiło, że jestem tym, kim jestem... a raczej byłem. Teraz jestem kimś innym i nie potrafię rozkminić, jak i gdzie mógłbym się wpasować.

Dziwne, ale doskonale odnajduję siebie w tym, co mówi Charlie. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie była dziewczyną obciążoną rzadką śmiertelną chorobą? Na pewno inaczej. I pewnie też nie potrafiłabym się w nim odnaleźć. Ale jestem tą chorą dziewczyną. W podobnym sensie, jak Charlie jest teraz chłopakiem po wypadku.

– Odnosisz wrażenie, że ludzie traktują cię teraz inaczej?

Przytakuje.

– Zapewne nie masz ochoty więcej słyszeć o Zoe Carmichael, ale weźmy ją, na przykład. Na tej imprezie gadała ze mną po raz pierwszy od wypadku i tylko dlatego, jestem przekonany, że zobaczyła mnie z tobą. Zoe należy do osób, które nie lubią dzielić się zabawkami, nawet jeśli doszła do wniosku, że nie ma ochoty już się nimi bawić.

– Trafna charakterystyka – stwierdzam. – A więc... uważasz, że cię wykorzystywała ze względu na twoją pozycję towarzyską czy coś w tym rodzaju? A potem cię olała, bo już nie pisali o tobie w gazetach i nie biłeś co tydzień nowego rekordu?

– No, coś w tym stylu – odpowiada, kiwając głową. Nagle robi dziwną minę. – Hej, skąd wiesz, że pisali o mnie w gazetach, i że biłem rekordy?

Musisz zachować większą ostrożność, upominam się. Właśnie o mało nie ujawniłaś się jako skryta psychofanka.

– Wiadomo, że takie kujony jak ja potrafią bardzo skutecznie wyszukiwać informacje na przeróżne tematy.

Uśmiecha się szeroko.

– A więc mnie zguglowałaś, zgadza się?

Wzruszam ramionami.

– *Mais oui*. Musiałam sprawdzić, w co się pakuję, nie?

A potem przyciskam wargi do jego warg. Smakuje cukrem, bitą śmietaną i czystą rozkoszą. Ten pocałunek trwa znacznie dłużej od pierwszego. Cudowne oszołomienie, jeszcze nigdy nie czułam niczego podobnego.

Kiedy pocałunek się kończy, Charlie mówi:

– Wiesz, z czym mi się kojarzy dzisiejszy wieczór? Z filmem *Szesnaście świeczek*. Pamiętasz tę scenę pod koniec, kiedy Sam i Jake całują się nad jej tortem urodzinowym?

Kiwam głową. Nie ma pojęcia, że właśnie powiedział coś absolutnie wspaniałego. To mój najukochańszy film i od chwili, gdy obejrzałyśmy go z Morgan po raz pierwszy, marzyłam, żeby kiedyś przeżyć taki wyjątkowy pocałunek. I oto zjawia się Charlie i spełnia wszystkie moje marzenia.

– Zawsze myślałam, że fajnie byłoby przeżyć coś takiego. I teraz się to stało – dodaje i pochyla się do kolejnego pocałunku.

A więc może i ja spełniam niektóre z jego marzeń.

* * *

Każdy kolejny wieczór w tym tygodniu zaczyna się i kończy mniej więcej według tego samego schematu: przekonuję tatę, by pozwolił mi jeszcze raz pobyć normalną dziewczyną, a on niechętnie, ale się zgadza. Wskakuję do furgonetki Charliego i wyruszamy na spotkanie kolejnej przygody. Jednego wieczoru kręgle, innego oglądanie wystaw sklepowych (bo sklepy są już, rzecz jasna, zamknięte), jeszcze innego późny seans w kinie, w centrum handlowym w innym mieście.

Gadamy, śmiejemy się i całujemy. Dużo. Charlie odwozi mnie do domu i za każdym razem pyta, czy spotkamy się następnego dnia. A ja zawsze odpowiadam, że mam wolne tylko wieczorem, on przyjmuje taką odpowiedź i nie draży tematu. Życie jest idyllą, nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będzie mi dane doświadczyć czegoś podobnego. Pewnie tak właśnie czuli się moi rodzice na początku znajomości: młodzi, wolni i niewiarygodnie szczęśliwi.

Wszystko jest takie idealne, nawet zaczynam się łudzić, że nigdy nie będę musiała wyznać mu prawdy. Tata jest jednak innego zdania.

– To już ostatni raz, Katie – mówi, a jego wargi układają się w prostą kreskę, podczas gdy ja powtarzam swoją wytartą kwestię: „proszę, pozwól mi jeszcze trochę побыć normalną dziewczyną”. – Przed waszym kolejnym spotkaniem muszę poznać tego młodego człowieka. A ty musisz mu powiedzieć o XP.

Jego słowa uderzają mnie jak taran. Tak bardzo nie chcę, by ta magia się skończyła. A powiedzieć facetowi, w którym chyba się zakochałam, że sprawy nie wyglądają całkiem tak jak mu się wydaje, to coś jak odsłonić kurtynę i przekonać się, że wielki i mocarny czarnoksiężnik z Oz to zwykły gość z mikrofonem i kompleksem Napoleona. Wszystko się zmieni.

– Dobrze, tato – mówię, marząc, by istniał jakiś inny sposób i wiedząc, że nie istnieje. – Jutro poznasz Charliego, a potem powiem mu prawdę. Dzisiaj wieczorem jeszcze jestem normalna.

Tata uśmiecha się, ale drobne zmarszczki wokół jego oczu nagle wydają się mocniej zarysowane i liczniejsze. Nie chcę, żeby przeze mnie szybciej się starzał. Ale serce nie słucha. Nie potrafiłabym go powstrzymać, nawet gdybym próbowała.

* * *

Tym razem jedziemy na plażę. Panuje cisza i spokój, prócz nas nie ma tam nikogo. Charlie zbiera trochę patyków i liści, buduje z nich stosik pośrodku kręgu z kamieni, który ktoś wcześniej ułożył i rozpała miniognisko.

Siadamy na kocu. Przytulam się do Charliego, opieram głowę na jego ramieniu. Rysuje leniwe kółka na moich plecach. Wszystko wydaje się takie idealne: możemy gadać o wszystkim albo milczeć i nigdy nie jest nam przy tym niezręcznie. Nasze dłonie pasują do siebie jak kawałki układanki. Nigdy nie mamy siebie dosyć, nie budzimy w sobie irytacji.

Charlie wskazuje na jedną z gwiazd. Wie już, że mam obsesję na temat konstelacji i chciałabym zostać astrofizykiem.

– Jak ta się nazywa?

– Altair. Znajduje się, o ile dobrze zapamiętałam, w odległości szesnastu lat świetlnych. Światło, które widzimy, powstało, kiedy mieliśmy po dwa lata.

– Obłęd – śmieje się Charlie i pokazuje na kolejną gwiazdę. – A ta?

– To Syriusz.

– Jak radio Sirius?

Daję mu żartobliwego kuksańca łokciem.

– Psia gwiazda. Prawie dziewięć lat świetlnych.

Charlie milczy. Niemal słyszę, jak śrubki obracają mu się w głowie. Nagle moje serce przyspiesza, zastanawiam się, czy przypadkiem jakimś sposobem nie poznał prawdy na mój temat. Wiem, że to właściwie wykluczone, ale i tak rozważam w myślach wszystkie możliwości. Może Zoe bawiła się w detektywa i napisała mu o swoich odkryciach? Wyznanie mu prawdy osobiście byłoby wystarczająco trudne. Może znalazła zdjęcie z przedszkola i zdołała mnie zidentyfikować, chociaż nikt z nas się wtedy nie podpisał, a ja miałam cudaczną fryzurę na garnek. (Chyba powinnam się cieszyć, że tak szybko odeszłam w pierwszej klasie i nie doczekałam wspólnej fotografii). Gdyby dowiedział się prawdy od osoby trzeciej, to byłaby prawdziwa katastrofa. Zaufanie, które zdążyliśmy wypracować przez ten krótki czas naszej znajomości, ległoby w gruzach. Muszę mu powiedzieć. Muszę. Zbieram się na odwagę.

– O czym myślisz? – pytam i wstrzymuję oddech.

Waha się. Widzę, że chce powiedzieć coś ważnego, co bardzo mu ciąży.

– Trener z Berkeley zadzwonił do mnie niedawno. Zdaje się, że jeden z pływaków się przeniósł, więc chyba pojawiła się nowa szansa.

Wypuszczam powietrze.

– Poważnie? Mógłbyś odzyskać miejsce?

Tak się cieszę. Jeśli ktoś zasłużył na odmianę losu i wsparcie u progu dorosłości, to bez wątpienia Charlie Reed. Jest inteligentny, uroczy, troskliwy i pracowity, i ma mnóstwo innych wspaniałych zalet. Tak się cieszę, że kosmos zdał sobie sprawę z tej niepodważalnej prawdy: jeden błąd nie powinien oznaczać, że człowiek musi pożegnać wszystkie swoje marzenia.

Charlie wzrusza ramionami.

– Teoretycznie tak. Za miesiąc mają się odbyć zawody, trener z Berkeley na nich będzie. Musiałbym wrócić do tego czasu do formy, co zapewne jest niewykonalne, a potem osiągnąć najlepszy czas w całej swojej karierze, by udowodnić, że moja rehabilitacja była w pełni udana.

Chwytam go za ramiona.

– Musisz spróbować. Wiem, że potrafisz.

Charlie wpatruje się w płomienie, jakby chciał znaleźć w nich odpowiedzi na pytania egzystencjalne.

– No nie wiem. Może istnieje powód, dla którego wolałbym zostać w przyszłym roku bliżej domu...

Chyba jeszcze nikt nigdy nie powiedział mi czegoś równie słodkiego.

– Będę tu, kiedy przyjedziesz z wizytą. Obiecuję.

Przez cały wieczór mój telefon co i raz powiadamiał o przychodzącej wiadomości, a ja go ignorowałam. Ale robi się późno i wiem, że powinnam być w domu od kilku godzin, a mój tata zapewne właśnie przypomina mi o tym dość istotnym fakcie. Wzdycham i sprawdzam wiadomości. Pięć od taty i dwadzieścia pięć od Morgan.

– O rany – mówię bez tchu.

– Wszystko w porządku? – pyta Charlie. – O, późno już. Naprawdę późno. Trzeba odwieźć cię do domu, zanim twój tata sfiksuje.

– Aha – odpowiadam, nie ruszając się z miejsca.

Przewijam wiadomości od Morgan. Każda kolejna jest bardziej paniczna od poprzedniej. Najpierw się przejęłam, że tata nigdy więcej nie wypuści mnie z domu, teraz czuję złość. Ona nie jest moją matką, tylko najlepszą przyjaciółką. Jeśli moje spotkanie z Charliem się przedłużyło, to powinna mi kibicować, a nie truć głowę, że mam wracać do domu.

Gdzie jesteś?

Miałaś wrócić o jedenastej.

Twój tata udaje, że jeszcze nie wpadł w panikę. Ale wpadł. Napisał do mnie, żeby sprawdzić, czy wiem, gdzie jesteś.

Pierwsza. Hallllloooooooooo, tu Ziemia.

Druga. Wiesz, gdzie jest twoja najlepsza kumpela? Bo ja nie.

Trzecia. Wciąż cisza.

TERAZ JA TEŻ PANIKUJĘ.

UMARŁAŚ? BŁAGAM ODP. TAK ALBO NIE.

ZA DWIE GODZINY WZEJDZIE SŁOŃCE... TO ZBYT RYZYKOWNE, KATIE.

WRACAJ

DO DOMU

NATYCHMIAST

Morgan też późno wraca po spotkaniach z Garverem, więc nie rozumiem, skąd ta reakcja. Wiem przecież, że niedługo muszę wracać do domu. Ma mnie za kompletną idiotkę czy jak?

– Co się dzieje? – pyta Charlie.

– Nic takiego. – Nagle coś mi przychodzi do głowy. – Po prostu Morgan

chyba nie przywykła, by się mną z kimś dzielić. Chyba ciężko jej zaakceptować, że spędzam z tobą tyle czasu. Muszę jutro się z nią zobaczyć, żeby nie czuła się zanedbywana.

– Dziewczyny – mówi Charlie, wywracając oczami. – Chociaż chyba nie wszystkie są takie złe.

– Znalazłoby się kilka całkiem fajnych.

Charlie wstaje, otrzepuje się z piasku i podaje mi rękę.

– Moglibyśmy tu spać. Byłoby niezłe obudzić się, trzymając w ramionach ciebie, a nie tego starego pluszowego miśka.

Ten pomysł bardzo mi się podoba. Podoba mi się też obraz Charliego z misiem w ramionach.

– Koniecznie musimy to zrobić któregoś dnia, jeszcze zanim... wyjedziesz, czy co tam postanowisz zrobić jesienią.

– Umowa stoi. A teraz czas wracać. Jutro zabiorę cię na prawdziwą randkę, okej?

Kiwam głową, a potem rzucam bombę.

– Idealnie. Bo jutro poznasz mojego tatę.

Charlie odwozi mnie do domu. Otwieram drzwi. Tata czeka na mnie tuż za progiem. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, jakby przez całą noc raz po raz przeczesywał je nerwowo. Jego oczy są puste i błędne. Obejmuje mnie i przytula tak mocno, że nie mogę oddychać.

– Przepraszam za spóźnienie – mówię w jego ramię.

Odsuwa się i wbija we mnie przeciągłe surowe spojrzenie.

– Nigdy więcej tak mnie nie strasz, Katie! Myślałem, że nie żyjesz. Nie znam tego chłopaka, nie wiem, co on sobie myśli...

– To nie była wina Charliego. Tylko ja zawiniłam.

– Jeszcze chwila i naraziłabyś się na kontakt ze światłem słonecznym! – krzyczy tata. Teraz, kiedy już wie, że jestem cała i zdrowa, może sobie pozwolić na gniew. – Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, jakie to może mieć konsekwencje! – Jest tak nakręcony, że praktycznie wypływa z siebie te słowa.

– Tato, spokojnie. Spójrz na mnie. Nic mi się nie stało. Nie odniosłam najdrobniejszych obrażeń.

– Tym razem miałaś szczęście.

Wzdycham głęboko. Nie zniosę tego niańczenia ani sekundy dłużej.

– Tato! Posłuchaj. Nie jestem dzieckiem. Potrafię o siebie zadbać. Potrafię podejmować samodzielne decyzje. Przepraszam, że wróciłam później niż ustaliliśmy, że się przeze mnie denerwowałeś, ale nic mi nie jest. – Mój głos wznosi się wraz z poziomem frustracji. – Mało tego. Jeszcze nigdy nie czułam się tak szczęśliwa. Nie widzisz?

Ze smutkiem kręci głową.

– Widzę tylko, że moja córeczka jest gotowa zaprzepaścić wszystko, nad czym tak ciężko pracowaliśmy, dla chłopaka, który nie szanuje zasad panujących w naszym domu.

– Mógłbyś przestać osądzać Charliego? Nawet go nie znasz! – krzyczę. – To najmiłszy, najlepszy, najtroskliwszy chłopak, jakiego kiedykolwiek

spotkałam! Jedyną osobą, z którą masz problem, jestem ja. Twoja córka. Gdybyś nie zauważył, jestem już dorosła. Nie jestem małą dziewczynką, której do szczęścia wystarczą powiększone zdjęcia z safari i sztuczna sawanna w piwnicy. Chcę żyć naprawdę.

Tata jest bliski łez. Jestem tak wkurzona, że chyba też się poryczę. Nie mogę uwierzyć, że ta noc przeszła tak gwałtowną metamorfozę, z ideału w totalną katastrofę w ciągu zaledwie kilku minut.

– Wiedziałem, że kiedyś może do tego dojść – mówi tata, właściwie głównie do siebie. – Jesteś taka uparta i silna. To musiało się zwrócić przeciwko mnie.

Robię krok do przodu, zarzucam mu ramiona na szyję i kładę głowę na jego ramieniu.

– Tato, nic mi się nie stało, przysięgam. Czuję się świetnie. Może po raz pierwszy od diagnozy. Proszę, pozwól mi być normalną osobą. Proszę. Musisz mi zaufać.

Tata rozluźnia się w moim uścisku.

– Chcę tylko, byś była bezpieczna, Fistaszku – mówi. – Jesteś moją córeczką. Nie zniosę myśli, że mogłoby cię spotkać coś złego.

– Wiem. Kocham cię. I obiecuję, że następnym razem wyślę wiadomość, jeśli postanowię się spóźnić. I przysięgam, że polubisz Charliego. Jutro ma po mnie przyjechać... a właściwie dzisiaj. Nie może się doczekać, kiedy cię pozna. – Może trochę przesadziłam... – To naprawdę porządny facet, tato. Przypomina mi ciebie.

– Obyś miała rację – mówi. – Mam nadzieję, że przyjmie wiadomość o XP jak przystało na dojrzałego i troskliwego mężczyznę, za jakiego go uważasz. Mam nadzieję, że nie zwieje, nie uzna, że nie da sobie z tym rady.

Nie mogę znieść, że tata w ogóle bierze pod uwagę taką możliwość. Tak bardzo mnie to boli, że serwuję mu największe kłamstwo w całym swoim życiu. Naprawdę grube.

– On już wie. I niczego to nie zmieniło.

Zmarszczki na twarzy taty się wygładzają. Chyba naprawdę cieszy się moim szczęściem.

– To wspaniale – mówi. – Naprawdę. O niczym innym dla ciebie nie marzę.

Źle się z tym czuję, ale nie na tyle, by cofnąć to, co powiedziałam. Jestem przekonana, że moje słowa staną się prawdą, jak tylko wreszcie zbiorę się na

odwagę i wyznam wszystko Charliemu.

Idę do pokoju i piszę do Morgan: **Wróciłam. Cała i zdrowa.**

Morgan odpowiada: ...

Nie złość się. Mój tata się nie gniewa.

Pokazują się trzy kropki, potem znikają. I znów się pokazują. I znikają. I wreszcie pojawia się wiadomość. Nie. Kolejne kropki.

Nie przypominam sobie, żeby Morgan kiedykolwiek wcześniej się na mnie wkurzyła.

Wiem, przywykłaś, że jesteś moim jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym. Ale przynajmniej spróbuj cieszyć się moim szczęściem, proszę.

Kolejne kropki pokazują się i znikają. A potem:

Nie jestem zazdrosna o twojego głupiego chłopaka. Chciałabym tylko wiedzieć, czy jesteś żywa, bo w przeciwnym wypadku raczej nie będziesz mogła się cieszyć swoją nową znajomością. Przepraszam, że się o ciebie troszczę.

Bujać to my, nie nas, odpisuję. Nie zamierzam tego wysłać, ale jednak wysłałam, niechcący, i wiadomość frunie w świat.

Na odpowiedź nie trzeba czekać. **Masz o sobie wysokie mniemanie. I nie przychodź do mnie z płaczem, jeśli Charlie zareaguje jak dupek na wieść o XP. Nie każdy ma do tego taki stosunek jak ja.**

Au. Najpierw tata, a teraz Morgan zakładają, że Charlie mnie zostawi, kiedy się dowie. Postanawiam jeszcze raz posłużyć się tym samym kłamstwem. Uważam, że skoro je tylko powtarzam, to liczy się jako kłamstwo jednorazowe.

Charlie ma. Wie i mu to nie przeszkadza.

To świetnie. Gratulacje. A teraz wyłączam telefon i idę spać. Przez całą noc oka nie zmrużyłam. Na razie.

Kto by pomyślał, że kontakty międzyludzkie są takie trudne? Przewracam się w łóżku z boku na bok, zastanawiając się, jak przekonać tatę, by dał mi więcej swobody. Jak powiedzieć Charliemu to, co niby już mu powiedziałam. Co zrobić z Morgan. Jestem na nią wściekła, ale może niesłusznie. Może to ja powinnam ją przeprosić, a nie ona mnie.

W końcu zapadam w niespokojny sen.

– A więc dzisiaj nadejdzie ten wielki moment – mówi tata.

– Aha – odpowiadam, obgryzając paznokieć. Wiem, że niepotrzebnie się denerwuję. Wykluczone, by Charlie nie spodobał się tacie. Jest przecież po prostu idealny. Nie wspominając o doskonałych manierach. Ale tyle zależy od tego, jakie wrażenie zrobi na tacie. Chcę, by ich pierwsze spotkanie przebiegło jak należy.

– Ale będziesz zachowywać się normalnie, tak? – Zdołałam go przekonać, żeby nie robił Charliemu wykładu na temat XP i zagrożeniach, które na mnie czyhały poprzedniej nocy w związku z tym, że tak długo przebywałam poza domem. Wyjaśniłam, że normalni ojcowie nie omawiają stanu zdrowia swoich córek z ich facetami.

Moje pojedyncze kłamstwo bez wątpienia ma efekt lawinowy. Nie czuję się z tym dobrze. Życie zbuntowanej nastolatki bardzo mnie stresuje.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Niech tata sam otworzy. Plan jest taki, że idę do swojego pokoju i czekam, aż mnie zawoła, nie mogę jednak znieść napięcia i niewiedzy. Schodzę kilka stopni w dół i nadstawiam ucha.

Charlie się przedstawia, tata zaprasza go do salonu i proponuje, żeby usiadł.

– Czy kiedykolwiek byłeś aresztowany?

To tak według mojego taty zaczyna się rozmowę z chłopakiem córki? Nie ogarniam.

– Nie, proszę pana – odpowiada Charlie.

Kolejne pytania padają w tempie serii z karabinu i każde kolejne jest jeszcze gorsze od poprzedniego.

– O której masz być w domu?

– O pierwszej.

– A o której zwykle wracasz?

– Około drugiej – przyznaje Charlie. – Czasem później. Jak ostatniej nocy. Chciałbym przeprosić, że Katie wróciła tak późno. Straciliśmy poczucie

czasu.

– Więcej tego nie róbcie – ostrzega tata. – A dlaczego nie idziesz na studia?

Au. Charlie na pewno nie jest zachwycony, że omawiałam z tatą kwestię jego wykształcenia, na które powinien przeznaczyć pieniądze, zamiast wyrzucać je na nową furgonetkę. Oszczędności, które zdołał zgromadzić pewnie wystarczyłyby na pokrycie kosztów nauki w lokalnym college'u i jeszcze coś by zostało. Potem mógłby się postarać o przeniesienie na Uniwersytet Waszyngtoński, dostałby niezłe stypendium jako mieszkaniec tego samego stanu, może jakieś pożyczki i granty. (Możliwe, że przeprowadziłam drobny research, by w odpowiednim momencie subtelnie zasugerować Charliemu potencjalne rozwiązania).

– Miałem wypadek i straciłem stypendium – tłumaczy Charlie. Ciekawe, czy patrzy mojemu tacie prosto w oczy, czy też wbija wzrok w czubki własnych butów, jak zawsze, kiedy powie coś smutnego i/czy nieprzyjemnego.

– Ile razy w tygodniu się golisz?

– Cztery? – Słyszę dezorientację w jego głosie. Na pewno sobie myśli: A jakie to ma znaczenie?

– Nie wierzę – odpowiada tata. Zaraz umrę. Kogo obchodzi, jak często Charlie się goli? – Komu kibicujesz?

– Seahawkom – odpowiada Charlie. To powinno podbić serce taty.

On jednak tak łatwo się nie poddaje.

– Dlaczego?

Teraz Charlie dostanie dodatkowe punkty.

– Ponieważ są świetni, a poza tym spotkałem raz Richarda Hermana w burgerowni, zjadł trochę moich frytek.

Zapada cisza, trwa dobrą minutę. Charlie pewnie siedzi jak na szpilkach. Ja ledwo panuję nad sobą. Pragnę natychmiast pobiec mu na odsiecz. Gapię się w telefon, czekam, aż pokaże się wiadomość, że już mogę tam pójść.

Wreszcie tata nie wytrzymuje.

– Niesamowite. To naprawdę coś.

Wiem, że na jego twarzy widnieje szeroki uśmiech. Jestem taka szczęśliwa. Przynajmniej przez jakąś sekundę, bo kolejny tekst taty prawie zwała mnie z nóg.

– Charlie, wiem, że ona wydaje się silna, ale tak naprawdę jest bardzo

krucha. I...

Nie zamierzam czekać na żadną wiadomość. Zbiegam na dół, drąc się z daleka, żeby zapobiec wybuchowi bomby.

– Hej! O czym gawędzicie?

Charlie wstaje, żeby uściskać mnie na powitanie.

– O niczym szczególnym, poznamy się nawzajem – odpowiada tata.

– Wow – mówi Charlie.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć w moje istnienie. Zabawne, bo wcale się nie wystroiłam, nic z tych rzeczy. Mam na sobie dzinsy, T-shirt i znoszone białe vansy. Ale ułożyłam włosy i zrobiłam makijaż według wskazówek Morgan, więc może dlatego.

Wynagradzam go szerokim uśmiechem, chwytam stojącą w kącie gitarę – Charlie powiedział, żebym ją zabrała, nie wiem po co, ale był przy tym tak podekscytowany, że nie mogłam odmówić – i przytulam tatę.

– No cóż – mówi. – Uważaj na siebie, dobrze?

Kiwam głową.

– Kocham cię najbardziej na świecie.

Charlie wyciąga rękę. Tata ją ściska.

– Dziękuję, że pozwolił pan na nasze spotkanie. Dobrze się nią zaopiekuję.

Już jesteśmy w drzwiach, gdy tata woła:

– Czekaście! Zrobię wam zdjęcie.

Odwracam się, zażenowana.

– Tato...

Ale Charlie najwyraźniej jest gotów z radością spełniać obciachowe żądania mojego taty. Otacza moje plecy ramieniem.

– To jak, robimy pozę ze szkolnego balu?

Śmieję się. Tata unosi aparat do oczu.

– Gotowi?

Patrzę do góry, na Charliego, a on w dół, na mnie. Uśmiechamy się do siebie. I nie są to wcale sztuczne uśmiechy. Błyska flesz, a potem wychodzimy.

16

– Idziemy na stację? – pytam, kiedy Charlie zajeżdża na parking.

Próbuję ukryć rozczarowanie – naprawdę nie wiem, czego się spodziewałam po tej randce.

– Owszem, jesteśmy na stacji, ale czy wiesz, dlaczego tu jesteśmy? – pyta Charlie, biorąc mnie za rękę.

Kręcę głową.

– Nie, ale mam nadzieję, że nie kazesz mi grać dzisiaj na peronie. Pamiętasz, jak zenująco poszło poprzednim razem?

Charlie się śmieje.

– Jak mógłbym zapomnieć o pogrzebie kota? Ale to miejsce, w którym się poznaliśmy.

Rzeczywiście. Rozczarowanie powoli mija.

Zatrzymujemy się przed okienkiem Freda. Czekają tam na nas dwa bilety.

– To chyba wasze – mówi Fred i posyła mi szeroki uśmiech.

Spoglądam na Charliego, potem na Freda i znów na Charliego.

– Dokąd się wybieramy? I dlaczego kazałeś mi zabrać gitarę?

Charlie wzrusza ramionami. Ponownie spoglądam na Freda, on jednak też wzrusza ramionami, tyle że z większą ekspresją.

– Ja nic nie wiem – mówi.

– Fred... – Próbuję wymusić na nim wyznanie najsłodsza i najbardziej niewinna minka, na jaką mnie stać.

– Nie ze mną takie sztuczki – mówi Fred, po czym wykonuje gest, jakby zamykał sobie usta i wyrzucał klucz. – Milczę jak grób.

Nadjeżdża pociąg. Zaraz nas zabierze, nie wiadomo dokąd. Czuję niesamowite podekscytowanie.

Drzwi się otwierają, konduktor wita mnie szerokim uśmiechem. Mówiliśmy sobie „cześć”, kiedy przychodziłam grać, ale nigdy nie widział mnie w roli pasażerki. – Wsiadać! – woła.

Pokonujemy schodki i wchodzimy do przedziału. Jest pusty. Tylko my,

przytłumione światło i stukot kół na szynach.

– Proszę zająć miejsce, mademoiselle – mówi Charlie, wskazując na rząd pustych foteli.

Odstawiam gitarę i siadam. Charlie sadowi się naprzeciwko mnie. A potem zaczyna układać na stoliku papierowe talerze, serwetki i plastikowe sztucce.

– Pracowałem nad tym przez cały dzień – mówi. Sięga do plecaka i wyjmuje wielką torbę z mojego ulubionego lokalu z chińszczyzną. Kręcę głową z niedowierzaniem. Zadał sobie tyle trudu, by ten wieczór był idealny. Zamówił wszystkie moje ulubione dania: lo mein, kurczaka w sosie pomarańczowym, smażony ryż.

– I tak po prostu wyjąłeś chińszczyznę z plecaka? – śmieję się. – Często zabierasz w podróż zapasy ciepłego jedzenia?

– To romantyczny piknik! – wykrzykuje Charlie, próbując zachować poważną minę, ale zupełnie mu to nie wychodzi. – Nie da się podróżować bez chińszczyzny w plecaku.

– No nie wiem, może to i prawda, nigdy wcześniej nie jechałam pociągiem.

– Ja też nie.

– Naprawdę? – A myślałam, że jestem jedyną osobą na świecie, która tego nie robiła. Podoba mi się, że to dla nas obojga pierwszy raz. Rozdzielamy pałeczki i zabieramy się do jedzenia.

– Wiesz, co mi przyszło do głowy? – rzuca Charlie, kiedy już kończymy. – To niesamowite, że mieszkasz tu przez całe życie, a nigdy cię nie widziałem na rowerze czy, bo ja wiem, przy budce z lemoniadą. Kupiłbym ci lemoniadę!

Moje serce na chwilę przestaje bić. Ostatnia rzecz, o jakiej mam w tym momencie ochotę rozmawiać, to dlaczego spotkaliśmy się dopiero kilka tygodni temu. Chcę nacieszyć się jedzeniem, wycieczką pociągiem, randką. Nie poruszać trudnych tematów tak długo, jak tylko się da. Obiecuję sobie, że mu powiem przed końcem tej nocy.

Kiedy odwiezie mnie do domu, zanim wysiądzie, by otworzyć drzwi po mojej stronie (bo wiem, że tak właśnie zrobi), po prostu to powiem. Rzeczowo i konkretnie. Bez dramatyzowania. „Mam nadzieję, że to niczego między nami nie zmienia”, powiem. Łatwizna.

Kiedy wyobrażam sobie tę scenę, nie widzę w niej, jak Charlie reaguje krzykiem, ucieka, odrzuca mnie i więcęj nie chce mieć ze mną nic

wspólnego. Naprawdę nie sądzę, by miały się spełnić moje najgorsze obawy. Jest zbyt dobrym człowiekiem, by spanikować na wieść o błędzie w DNA. I zrozumie, dlaczego wcześniej mu nie powiedziałam. Wiem, że zrozumie.

Na razie jednak mówię tylko:

– Nie lubię lemoniady. – Tak jakby to załatwiało sprawę.

Zaciska wargi i wbija we mnie świdrujące spojrzenie.

– Wiesz, że znam prawdę?

Już mam zacząć przeproszać, ale w tym momencie Charlie pochyła się do przodu, patrzy w lewo, potem w prawo, potem znowu prosto na mnie.

– Jesteś szpiegiem. Zawsze wysyłano cię na misje w różne egzotyczne miejsca, podczas gdy ja siedziałem w kafejce i śmiertelnie się nudziłem. Pewnie tak naprawdę nawet nie nazywasz się Katie Price.

Czuję ulgę, że tylko żartował, ale jednocześnie wiem, że było blisko. I to nie po raz pierwszy. Może jednak nie mogę czekać z moim wyznaniem do świtu. Może lepiej od razu zerwać plaster – tak szybko, jak tylko się da – i stawić czoła temu, co będzie potem. Rzeczywistości nie zmienię.

– Blisko. Ale tak naprawdę...

Ale teraz, gdy nadeszła ta chwila, ogarniają mnie wątpliwości. Znika cała moja pewność siebie, niezachwiana wiara, że Charlie przyjmie moje wyznanie ze spokojem, że niczego ono nie zmieni. Dochodzę do wniosku, że zapewne będzie udawał, iż nie ma to najmniejszego znaczenia, a stan mojego zdrowia nas nie rozdzieli. Ale od tej chwili jakoś tak rzadziej będziemy się spotykać. Nagle wieczorami zaczną mu wypadać różne inne sprawy. I najlepsze, co mnie kiedykolwiek spotkało, nieodwołalnie się skończy.

Opieram łokcie na stoliku i decyduję się zdradzić połowiczną prawdę. Zbadać grunt.

– Nie jeździłam w żadne egzotyczne miejsca. W związku z misją szpiegowską. Działalam w ramach surowych przepisów, według których nikt nie mógł mnie widzieć, ale przez lata obserwowałam cię z bezpiecznego schronienia swego pokoju.

Charlie mruga. Mijają sekundy. Ale zaraz uśmiecha się szeroko.

– Widzisz? Byłem blisko. Wybacz, jeśli cię zdemaskowałem.

Zbiera puste pudełka po jedzeniu i idzie je wyrzucić. Wraca, siada obok mnie i obejmuje mnie ramieniem. Patrzymy na gwiazdy przesuwające się za oknem pociągu.

– Byłaś bardzo mała, kiedy zmarła twoja mama – mówi miękko Charlie.

– Aha. – Często się zastanawiam, co się z nią działo w momencie, gdy uderzył w nią samochód. O czym myślała? Czy zobaczyła białe światło, czy jej dziadkowie zaprowadzili ją do nieba? Czy przyjdzie po mnie, gdy nadejdzie moja kolej? A może po prostu pojawi się czern, wielka pustka, opadnie kurtyna i tyle, jakbym nigdy nie istniała? Z jakiegoś powodu zawsze zatrzymuję się na tej myśli i nie mogę dalej ruszyć. Jakby kryła w sobie mój największy strach, chociaż nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Muszę zostawić ślad w tym świecie, zanim odejdę. Muszę sprawić, by mój czas tutaj miał jakieś znaczenie.

– To musiało być straszne – mówi Charlie, przerywając moje ciemne i rozpaczliwe rozmyślenia. – Dużo pamiętasz z tamtego okresu?

Wracam pamięcią do dawnych wydarzeń. Tata i ja radziliśmy sobie z odejściem mamy mniej więcej tak, jak radzimy sobie z obecną sytuacją: przyklejaliśmy uśmiech do twarzy i szliśmy do przodu, przeważnie udając, że problem nie istnieje. Jakbyśmy liczyli na to, że jeśli będziemy go ignorować wystarczająco długo, to może zniknie.

– Szczerze mówiąc, z tamtych czasów pamiętam tylko tatę. Ze względu na mnie udawał, że wszystko jest dobrze. I ja też udawałam ze względu na niego, że wszystko jest dobrze. Ale w pewnym sensie... wiesz, chyba rzeczywiście pomagaliśmy w ten sposób sobie nawzajem. Nauczyliśmy się, jak razem za nią tęsknić, w taki sposób, by nie pożarła nas rozpacz.

Charlie kiwa głową.

– Zdaje się, że jesteście bardzo ze sobą związani.

Też wzruszam ramionami i patrzę przez okno na Kasjopeję. Według greckiej mitologii przykuto ją na wieczność do tronu za pychę i próżność. Czasem się zastanawiam, czy zrobiłam coś złego, że ukarano mnie chorobą, coś tak okropnego, że teraz muszę pokutować w czterech ścianach mojego domu, mojego pokoju, codziennie, aż do zachodu słońca.

– Aha. Wolałabym jednak, żeby nie znał mnie aż tak dobrze.

Nie jest to do końca prawdą. Wiem, jaka ze mnie szczęściara, że mam tatę, który mnie kocha i rozumie. Chciałabym tylko, by w ten sam sposób kochało mnie i rozumiało więcej ludzi, ludzi w moim wieku, na przykład na studiach. Chciałabym jesienią również wyruszyć w świat, zamiast patrzeć, jak inni się rozwijają, idą dalej, podczas gdy ja tkwię w miejscu. Moja sytuacja potwornie mnie frustruje, zwłaszcza ostatnio, kiedy sobie uświadomiłam, że w oczach najbliższych mi osób nigdy nie będę dorosła w takim sensie,

w jakim bym była, gdyby nie choroba. Zawsze będą chciały nade mną czuwać, niańczyć mnie jak małe dziecko.

– Gotowa na deser? – pyta Charlie.

Kiwam głową.

– Dobra. Wyciągnij rękę i zamknij oczy.

Charlie wkłada mi do ręki garść tajemniczych smakołyków.

– Możesz otworzyć.

Spoglądam na swoją dłoń. To cukierki Skittles, jak tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Uśmiecham się do Charliego.

– Ja to mam jednak świetną strategię – mówi. – Hej! Dojeżdżamy.

Patrzę za okno. Moim oczom ukazuje się linia zabudowań. To Seattle. Nie wiem, czego właściwie się spodziewałam, ale niczego lepszego nie mogłabym sobie wymarzyć.

– Seattle? Genialnie!

Pociąg się zatrzymuje, wysiadamy. Żadne z nas nie wie, dokąd właściwie zmierzamy, założę się, że plan Charliego wyglądał mniej więcej tak: pojedźmy do Seattle, a na miejscu coś się wymyśli. Wałesamy się wzdłuż nabrzeża. Wszystko wydaje mi się nowe i ekscytujące, właściwie do szczęścia wystarczy mi gapienie się na błyszczący ciąg baz i terminali.

Patrzę na wszystkie kafejki rozrzucone wzdłuż ulic, które wiją się dokoła w nieskończonym labiryncie. Jest już późno, dzieciaki o tej porze chyba powinny leżeć w łóżkach, ale siedzą w lokalach razem z rodzicami. W oknach kawiarenek faceci w obcisłych spodniach i z hipsterskim zarostem wałają w klawiatury laptopów. Pary wznoszą toast kieliszkami szampana.

Najmocniej jednak uderza mnie to, że na ulicach jest tyle występujących osób. W Purdue zawsze byłam sama. W Seattle najwyraźniej każdy ma jakiś talent.

Na rogu magik rwie studolarowy banknot na milion drobniutkich kawałków. A potem puf! banknot znów jest cały. W parku grupa facetów bez koszulek tańczy break-dance, są naprawdę niesamowici, zwijają się jak precle, wirują na czubku głowy, raz za razem przeskakują do tyłu jeden przez drugiego. Są ludzie przebrani za posągi, nie poruszają się nawet na milimetr, choćby nie wiem co. Wiem, bo próbowaliśmy z Charliem doprowadzić do śmiechu gościa przebranego za posrebrzanego Michaela Jacksona i nie drgnął mu nawet kącik ust. Zrobiliśmy więc sobie z nim zdjęcie i zostawiliśmy kilka dolarów w ramach podziękowania.

I mnóstwo osób śpiewa. Naprawdę mnóstwo i mają przepiękne głosy. Gdybym tu mieszkała, miałabym niezłą konkurencję, więc chyba powinnam się cieszyć. Niestety, w głowie słyszę: NO, DALEJ! WYJMUJ GITARĘ, DOŁĄCZ DO NICH! DODAJ SWOJE HARMONIE I PALCÓWKI! Czuję się, jakbym odnalazła swoją wspólnotę, ludzi, z którymi mogłabym współpracować, rozmawiać o muzyce i pisaniu piosenek, aż do świtu. To wszystko tu na mnie czeka.

Przystajemy, by popatrzeć na rzeźby na Pioneer Square. Na rybaków ciągnących wiadra pełne wielkich płaszczyk, okoni i łososi na Pike Place Market. Wślizgujemy się do staromodnej budki fotograficznej. Urządzenie błyska cztery razy: uśmiechamy się, przybieramy głupie miny, robimy sobie wzajemnie królicze uszy z palców, obejmujemy się i całujemy. Kilka minut później z maszyny wychodzi pasek zdjęć. Warto było czekać. Chwytam go i natychmiast sobie przywłaszczam.

– Zatrzymam te zdjęcia na zawsze – mówię do Charliego. I wcale nie żartuję.

Charlie bierze mnie za rękę i prowadzi kolejną zatłoczoną ulicą, a potem pustą alejką. Zatrzymujemy się przed zniszczonym budynkiem ze staroświecką markizą nad drzwiami. Nie ma żadnego napisu, plakatu filmu czy przedstawienia, nic. Nie rozumiem.

Charlie patrzy na mnie z szerokim uśmiechem.

– Co to za miejsce?

– Twoja niespodzianka.

Wręcza bramkarzowi dwa bilety i pieniądze. Chociaż napis na drzwiach wyraźnie głosi, że wstęp mają wyłącznie osoby, które ukończyły dwadzieścia jeden lat, potężny gość stojący na bramce najwyraźniej o to nie dba, nie prosi nas o pokazanie dowodów. Całe szczęście, bo moja legitymacja mówi zgodnie z prawdą, że mam lat osiemnaście, w dodatku i tak zostawiłam ją na blacie w kuchni.

– Myślałam, że niespodzianka to Seattle?

Charlie kręci głową i uśmiecha się jeszcze szerzej. Wchodzimy. Charlie podaje dziewczynie w szatni moją gitarę i kurtkę. Kolejny bramkarz otwiera drzwi i wpuszcza nas na salę.

W środku pulsuje muzyka. Eksplodują światła. Sala – chyba dawny magazyn fabryczny – jest napakowana ludźmi, a na zaimprovizowanej scenie właśnie gra jedna z moich ukochanych kapel. Spocony szczęśliwy

tłum faluje do rytmu.

– To sekretny koncert! – krzyczy mi Charlie do ucha. – Wczoraj znalazłem info na snapie i od razu kupiłem bilety. Mówiłaś, że ich uwielbiasz!

– Zgadza się!

– Twój pierwszy koncert!

– O rany, ale jazda! – Chociaż wielkie pomieszczenie jest raczej pozbawione cech charakterystycznych, to panująca w nim atmosfera i ludzie, wręcz przeciwnie. Jeszcze nigdy nie widziałam na żywo włosów w tyłu kolorach, tyłu tatuaży i kolczyków. Jakby nagle ożyły strony magazynów muzycznych, nad którymi tak często ślęczę w swoim pokoju. Odnalazłam swoich ludzi. Swoje twórcze plemię. Kto by pomyślał, że są tak blisko?

Obracam się, nie mogę wyjść ze zdumienia, że takie rzeczy naprawdę się dzieją. Tyle straciłam, siedząc zamknięta w pokoju, w swoim małym mieście, w swoim ciasnym życiu. A na zewnątrz czeka na mnie znacznie więcej, świat jest rozwibrowany i ekscytujący, znacznie bardziej niż starannie odtworzone imitacje, które tata pieczołowicie budował z miłości do mnie, kiedy dorastałam, jak sawanna w piwnicy, plaża na strychu: okrągła wanna, zabawki do basenu, naturalnej wielkości zdjęcia mew, delfinów, rekinów i wielorybów. Prawdziwy świat jest znacznie bardziej ekscytujący i rozwibrowany. Składałam sobie uroczystą przysięgę: Postaram się chwycić wszystko, co ten świat ma mi do zaoferowania, każdą najdrobniejszą cząstkę. Nie będę dłużej więźniem swojej choroby.

I zdaję sobie sprawę, że Charlie nie jest jedyną osobą, z którą powinnam jak najszybciej porozmawiać. Już dawno powinnam była odbyć rozmowę z tatą. Wiem, że mogę robić znacznie więcej niż mi się do tej pory wydawało. Może nawet pójść na prawdziwe studia. Jakimś sposobem, jeszcze nie wiem jak. Chcieć to móc. A ja mam żelazną wolę.

Tworzę w głowie te wielkie plany, jednocześnie chłonąc dźwięki i obrazy wypełniające salę koncertową. W pewnym momencie Charlie zaczyna torować sobie drogę w tłumie, ciągnąc mnie za sobą. Przemyka pośród ludzi niczym wąż, odnajduje niewielkie skrawki przestrzeni, które natychmiast niepostrzeżenie wypełniamy. I po chwili stoimy tuż pod sceną. Brawo, udało nam się przepchnąć z drugiego końca sali i jakimś cudem nikogo przy tym nie wkurzyć.

Odwracam się do Charliego, cała rozpromieniona, on zaś chwytą mnie w pasie i zaczynamy wykonywać znacznie fajniejszą wersję szkolnego tańca.

Tyle się dzieje, nie wiadomo, na co patrzeć, ale w tym momencie widzę tylko Charliego. Nie liczy się nic i nikt więcej na całym świecie.

Zespół zaczyna grać niesamowicie energetyczny kawałek, wszyscy skaczą, różnorodny tłum złączony jednym pulsem. My też skaczymy jak obłąkani. Zatapiam się w naładowanej elektrycznością muzyce, w energii tego miejsca. Jeszcze nigdy nie czułam się tak pełna życia. Nagle uderza mnie myśl, że być może nigdy więcej czegoś podobnego nie doświadczę. Staram się zapisać w pamięci każdy szczegół. Każdą sekundę.

* * *

Muzyka kończy się stanowczo za szybko. Zabieramy mój płaszcz i gitarę i wracamy na nabrzeże. Jestem tak nabuzowana energią, że czuję się, jakbym chodziła po wodzie.

– To było niesamowite! – krzyczę, chyba trochę zbyt głośno. Trudno mi określić skalę, bo w uszach wciąż dudni.

– Wiem – mówi Charlie z szerokim uśmiechem.

Odrzucam głowę do tyłu i krzyczę jeszcze głośniej:

– Muzyka na żywo jest NAJLEPSZA!

Charlie się śmieje.

– Wiem! – powtarza.

Przystaję i biorę go za rękę. Jak mam wyrazić wdzięczność za to, co dla mnie zrobił? Wszystko zmienił, dzięki niemu, chociaż byłam święcie przekonana, że z powodu choroby nigdy nie spodobam się żadnemu chłopakowi, zaczęłam wierzyć, że przyszłość jednak ma mi mnóstwo do zaoferowania. Gorączkowo szukam w głowie odpowiednich słów. W końcu decyduję się na proste rozwiązanie.

– Dziękuję.

Charlie rzuca mi to swoje urocze spojrzenie zaciekawionego szczeniaka. Ach, te opadające włosy i rozbawione oczy. Jakby wiedział, o czym myślę, chociaż to przecież niemożliwe.

– Nie ma za co – mówi. – Teraz twoja kolej.

Delikatnie stawia futerał z gitarą na ziemi, otwiera zatrzaski, po czym kładzie go pod odpowiednim kątem, by przechodnie wrzucali do niego monety i podaje mi gitarę. Robię krok w tył, zasłaniam się rękami.

– Co? Nie. Mowy nie ma.

– Jesteś mi winna piosenkę – mówi Charlie.

Kręcę głową.

– Nie mogę... Nie tutaj. – To nie jest Purdue w stanie Waszyngton, to jest Seattle, wielkie miasto. Nie jestem gotowa na taki debiut. Nie dzisiaj. Jeszcze nie.

– Owszem, możesz! – zachęca mnie Charlie. – Muzyka na żywo jest najlepsza! Sama to powiedziałaś!

– Jesteś głodny? – pytam, klepiąc się po brzuchu. – Bo ja tak, a ty zawsze jesteś głodny, a po drodze mijaliśmy tyle supermiejsc...

– Katie – przerywa mi Charlie. Jego głos brzmi tak poważnie, tak szczerze. Nic więcej nie mówię. – Jasne, możemy spędzić wieczór w nowym mieście, pod niebem pełnym gwiazd, a ty nie zagrasz dla mnie piosenki albo możemy sprawić, że to będzie najlepszy wieczór w całym naszym życiu.

Wzrusza ramionami. Jest taki cudowny. Czuję, że mój upór słabnie. On dał mi znacznie więcej niż trzyminutową piosenkę. Nawet jeśli dla niego zaśpiewam, to zdołam spłacić zaledwie małą część długu.

– Decyzja należy do ciebie – dodaje. – Niczym innym się nie martw. Tu nie chodzi o to, czego chcę ja czy ktokolwiek inny. Tylko o to, czego ty w tym momencie pragniesz.

Pragnę uszczęśliwić tego niesamowitego faceta. Poddaję się. Biorę od niego gitarę, przerzucam pasek przez ramię. Twarz Charliego się rozpromienia.

Kilka razy uderzam w struny. W pewnym momencie unoszę głowę. Charlie mierzy telefonem prosto we mnie. Zamierza uwiecznić ten moment, zatrzymać go na zawsze. Nagle ogarnia mnie zawstydzenie, zaczynam się denerwować.

– Charlie, nie...

On tylko się uśmiecha i macha ręką w stronę nieistniejącej publiczności za swoimi plecami. Jest tam tylko jeden dziwny kudłaty gość, który zatrzymał się, żeby zawiązać sznurowadło.

– Czekamy!

Dociera do mnie, że Charlie ma rację. Nie mam nic do stracenia. Nawet moja godność nie jest zagrożona. Jesteśmy sami. A razem możemy robić wszystko.

Zaczynam wygrywać pierwsze akordy, początkowo cicho i delikatnie. Wciąż czuję się niezbyt pewna siebie. Ale potem górę bierze pamięć mięśni,

a ja zapominam, że Charlie mnie nagrywa. Wyobrażam sobie, jakby to było, gdybym stała dzisiaj na scenie, a nie wśród widowni wpatrzonych z zachwytem w grający zespół. Nerwowe zażenowanie opuszcza moje ciało, na jego miejscu pojawia się niezachwiana wiara we własne możliwości.

Zamykam oczy i śpiewam swoją ostatnią piosenkę, tę, którą zaprezentowałam niedawno Morgan. Kiedy wreszcie skończyła mówić o Garverze i zaczęła uważać, stwierdziła, że utwór bardzo jej się podoba, a nawet, że to najlepsza piosenka ze wszystkich, które do tej pory napisałam. Mam nadzieję, że Morgan już nie jest na mnie zła. Po powrocie do domu koniecznie muszę ją przeprosić. Śpiewam całą sobą – dla Charliego, dla Morgan, dla taty, ale przede wszystkim dla siebie.

Otwieram oczy i widzę Charliego, który uśmiecha się od ucha do ucha z za telefonu. Jest jak mój amulet. Nie potrzeba mi nic więcej, by odnieść sukces.

Wygrywam ostatni akord i nagle dociera do mnie, że Charlie to nie jedyna osoba, której spodobał się mój utwór. Jest tam spora grupka ludzi, z której istnienia dopiero teraz zdałam sobie sprawę, wszyscy klaszczą i wiwatują. Grupa moich fanów wprawdzie nie może się równać z tłumem obecnym na sekretnym koncercie w magazynie portowym, ale dostaję niezłą próbkę, teraz już znam to uczucie, moją muzykę docenił ktoś więcej niż tylko tata, Fred i Morgan.

Podoba mi się. Bardzo. Jestem pewna, że będę chciała tego więcej.

Charlie obejmuje ramieniem plecy faceta który ciągle klaszcze, chociaż już właściwie wszyscy przestali.

– Tak jest! Oto Katie! Łu-huuu!

Potrząsa faceta za ramiona, jakby ich ulubiona drużyna właśnie wygrała mecz finałowy. Facet mierzy go podejrzliwym spojrzeniem, rzuca kilka dolarów do futerału i odchodzi.

Charlie uśmiecha się do mnie. I ja też nie mogę przestać się uśmiechać.

Podróż powrotna przebiega spokojnie i bez przygód, ale jest absolutnie cudowna. Co oznacza, że praktycznie nie odrywamy się od siebie. W przedziale prócz nas nikogo więcej nie ma, nikt nas nie widzi, a my w pełni korzystamy z samotności.

Kiedy dojeżdżamy do Purdue – które wydaje się teraz jeszcze mniejsze – nie jestem gotowa, by ta noc się skończyła. Zgodnie z umową wysyłam tacie wiadomość.

Jestem w Purdue. Niedługo będę w domu.

Udany wieczór? odpisuje tata.

Najlepszy.

Nie musisz wracać, Fistaszku. To prawda, już nie jesteś dzieckiem. Ufam ci, że umiesz o siebie zadbać. Charlie to szczęściarz.

Dzięki, odpisuję ze łzami szczęścia w oczach. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Wsiadamy do furgonetki Charliego i ruszamy. Ustawiam telefon w trybie „nie przeszkadzać”, wychodzę z aplikacji Find My iPhone, w pełni ciesząc się świeżo zyskaną niezależnością i z trudem zdobytym zaufaniem taty.

Dzisiejszy wieczór pomógł mi w pełni dostrzec, czego pragnę w życiu: właśnie niezależności. Chcę sama podejmować decyzje, odpowiadać za swoje błędy i odnaleźć własną drogę w tym wielkim wspaniałym świecie. I dostałam swoją szansę.

Jedziemy na plażę. Parkujemy i powoli ruszamy wzdłuż brzegu. Nigdzie nam się nie spieszy.

– Byłaś niesamowita – mówi.

Robię minę pod tytułem *Daj spokój*. Charlie zaczyna stanowić poważną konkurencję dla taty, mojego fana numer jeden. To bardzo słodkie, ale również trochę zenujące.

– Poważnie – ciągnie Charlie, niezrażony. – Pewnie i tak zawsze bym powiedział, że byłaś dobra, ale byłaś naprawdę dobra. Musisz coś zrobić ze

swoją muzyką!

Myślałam o tym samym przez cały wieczór. W mojej głowie powstaje wielki plan, zawierający przeprowadzkę do miasta, pójście na studia, nawet gdyby oznaczało to jedynie kursy wieczorowe czy korzystanie z innych metod, które stosują osoby z XP, by prowadzić w miarę normalne życie. Chcę być zwyczajną studentką, niczym nie różnić się od reszty. Chcę grać na ulicy i na wszelkich możliwych wieczorach z open mic, w nadziei, że ktoś mnie odkryje, ale nawet jeśli nie, to przynajmniej wykorzystam każdą okazję, by poczuć się tak niesamowicie jak dzisiaj.

Muzyka jest w moim DNA, tak samo jak markery XP, chciałabym podzielić się swoją twórczością ze światem. Po dzisiejszym wieczorze nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie po to się urodziłam. Że to właśnie jest moja misja. W ten sposób zostawię po sobie ślad.

A najlepsza część przyszłości, którą sobie wyobrażam: Charlie. Mam nadzieję, że będzie pływał w Berkeley. Czy to szaleństwo, wierzyć, że ja też mogłabym pójść na tamtejszą uczelnię? Mam dobre stopnie i wyniki testów, mają tam rewelacyjne programy akademickie i możliwości rozwoju dla ludzi zajmujących się muzyką. Na pewno da się coś wymyślić, żebym i ja mogła z nich korzystać. To idealny plan.

Zatrzymuję się.

– Jesteś gotowy?

– Na co? – pyta Charlie.

– Na pływanie.

Charlie mruga, zaskoczony.

– Co? Nie. Ja już nie pływam.

– Owszem, pływasz. Po prostu miałeś przerwę. A ja nigdy nie wchodziłam do wody w tym miejscu, musisz mi asystować.

Charlie kręci głową.

– Nie chcę. Poważnie.

Podpieram się pod boki. Tak łatwo się nie wywinie. Na pewno nie pozwolę mu zniszczyć naszej idealnej wspólnej przyszłości.

– A ja nie chciałam śpiewać! Zmusiłeś mnie!

– To co innego – odpowiada, wbijając wzrok w piasek.

– Nieprawda! – Mocno tupię dla podkreślenia wagi swoich słów.

Charlie się śmieje.

– Spokojnie. Zdajesz sobie sprawę, jaka zimna jest woda?

Patrzę na ciemny ocean, potem znów na Charliego. Nie, nie mam pojęcia. Ale już za późno, by się wycofać, zbyt wiele od tego zależy.

– Charlie. Jasne, możemy spędzić tę noc na plaży pod rozgwieżdżonym niebem i nie pójść pływać albo możemy wskoczyć do wody i zapamiętać tę noc jako najlepszą w całym naszym życiu. Co wybierasz?

Przyznaję, ukradłam mu kwestię i zwróciłam przeciw niemu. Cel uświęca środki. Jak to mówią, w miłości i na wojnie wszystkie chwytty dozwolone.

Charlie posyła mi krzywy uśmieszek, jakby uważał, że zwycięstwo w tej rozgrywce należy do niego.

– Nie mam stroju.

Również posyłam mu krzywy uśmieszek.

– Ja też nie.

Ściągam T-shirt przez głowę i staję przed nim w dzinsach i staniku. Robi wielkie oczy, ale nie rusza się z miejsca. Czeka, aż dowiodę, że nie żartowałam.

Zrzucam buty i spodnie. Za późno, by się wycofać. Zdejmę wszystko po kolei, aż w końcu się zgodzi.

– Idziesz? – pytam, biegnąc do wody w samej bieliźnie.

Pierwsza fala obmywa moje stopy. Praktycznie tracę w nich czucie. Nie mam pojęcia, jak zdołam zanurzyć się w całości, wiem jednak, że tak się stanie. Odwracam się. Charlie zdjął koszulkę i właśnie próbuje wyswobodzić się z szortów. Śmieję się z jego nagłego entuzjazmu.

Znów odwracam się w stronę oceanu. Biorę głęboki wdech i wchodzę dalej.

– O JEZU! Lodowata! – krzyczę.

Charlie odrzuca głowę do tyłu.

– Wiem! – woła, biegnąc za mną.

Nasze szczęście odbija się echem pośród fal. Jakby ocean wiedział, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

– Lubisz pływać? – pyta Charlie.

Wzruszam ramionami.

– Chyba tak. To znaczy, nie mam zbyt wielkiego doświadczenia.

Szczęka mu opada, jakby nie mógł uwierzyć, że jestem aż tak upośledzona.

– Trzeba to zmienić. Kiedy znowu nadarzy się tak doskonała okazja? Zaraz pokażę ci ruchy.

Moje serce przyspiesza w ciemności.

– Pokażesz mi ruchy?

– Aha. – Charlie chwyta mnie i wkłada do wody, i trzyma tak, delikatnie, ale mocno.

Nie mogę uwierzyć, że wcześniej nie znałam tego wspaniałego uczucia, które daje bliskość drugiej osoby, fizyczna i psychiczna. Czasami, kiedy leżymy obok siebie i się całujemy, chciałabym stopić się z nim w jedno.

Zanim poznałam Charliego, porzuciłam marzenia o tym, że kiedykolwiek się zakocham w prawdziwym życiu, a co za tym idzie, że kiedykolwiek będę uprawiać seks. To jeszcze się nie wydarzyło, ale prawdę mówiąc, nie miałabym nic przeciwko, gdyby nadarzyła się ku temu okazja, może nawet już w niedalekiej przyszłości.

– Dobra. To się nazywa kraul – mówi Charlie i pokazuje, jak należy poruszać ramionami do tyłu, żeby posuwać się do przodu. – Najbardziej podstawowy ruch.

Próbuję, ale w rezultacie tylko młócę rękami zamiast sunąć przed siebie, gładko przecinając taflę wody, tak jak Charlie.

– Tak? – pytam.

Śmieje się.

– To się nazywa piesek.

– Świetnie. Pokaż coś innego.

Wykonuje serię nowych ruchów.

– Na końcu każdego pociągnięcia musisz odpychać dłonie do tyłu wzdłuż bioder. To styl motylkowy.

Wiem tylko jedno: czując, jak Charlie przesuwa dłońmi wzdłuż mojego ciała, mam ochotę wyskoczyć z wody, rozpaścić ognisko, owinąć nas dwoje jednym kocem i sprawić, by niedaleka przyszłość nadeszła już dzisiaj. Ale jeszcze nie osiągnęłam celu, z całych sił próbuję więc skupić się na zadaniu.

– To za trudne! Następny!

– Żabka.

– Tak będziesz teraz do mnie mówił?

– Niekoniecznie – odpowiada, przyciągając mnie bliżej do siebie. – Chyba że sobie tego życzysz.

Zarzucam mu ramiona na szyję, uśmiecham się.

– Widzisz? Wcale nie jest tak źle. Nie czujesz nienawiści do wody.

Patrzy na mnie w taki cudowny sposób, jakby tonął w moich oczach.

– Przy tobie nic nie budzi we mnie nienawiści.

Również zatapiam się w jego oczach. Wierzę mu, wierzę w niego i we wszystko, co mówi. Gwiazdy do nas mrugają, jakby błogosławiły nasz związek.

Jego usta odnajdują moje, całujemy się tak, jakbyśmy czekali na siebie przez całe życie. Nigdy nie będę miała dosyć Charliego Reeda, nigdy nie zdołam się nim nasycić i wiem, że on czuje to samo. Żar narasta. Jakbyśmy nie mogli zbliżyć się do siebie wystarczająco, ale potem okazuje się, że to jednak możliwe.

Leżymy obok siebie owinięci w miękki koc, który zawsze wozi w furgonetce. Spoglądam na zegarek. Późno – już dawno po wyznaczonej godzinie mojego powrotu – ale jeszcze mamy czas. Słońce wstanie dopiero za kilka godzin. Cieszę się, że tata wreszcie dał mi możliwość decydowania, kiedy kończy się noc.

– Musisz wracać? – pyta Charlie.

– Niedługo... ale jeszcze nie teraz. – Wolałabym, żeby odpowiedź brzmiała „nigdy”. Charlie przytula mnie.

– Myślałeś o Berkeley? – pytam szeptem.

Charlie patrzy w gwiazdy.

– Ciągle myślę o tym, jak czułem się tuż po operacji, kiedy nie mogłem pływać i... po prostu nie wiedziałem, kim jestem. Totalnie. Nikt nie wiedział. Od lat chodzę z tymi ludźmi do jednej szkoły, widzą we mnie faceta z basenu. A kiedy przestałem nim być, to tak jakbym stał się dla nich nikim. Uważam, że to bzdura. Nie jestem nic niewart tylko dlatego, że już nie pływam. Nie muszę żyć w ten sposób. To, że przez długi czas lubiłem coś robić, nie znaczy, że nie mogę zmienić zdania.

Kiwam głową.

– Rozumiem. – Mówię to całkowicie szczerze.

Ale nie opuszcza mnie wrażenie, że pod słowami Charliego kryje się coś więcej. Może strach przed porażką, może duma, której nie potrafi się pozbyć. Nie chcę, by przez tego rodzaju zbędne emocje stracił swoje szanse na rozwój.

– Ale wiem również, jak to jest, patrzeć z boku na ludzi żyjących normalnym życiem – ciągnę. – Tego też byś nie chciał. Może nie chcesz być jedynie tym facetem z basenu, ale nie chcesz być też facetem, który się poddaje i nie próbuje. Może nie dostaniesz się do drużyny, ale czy nie chciałbyś przynajmniej się sprawdzić? Ja na pewno bym chciała.

Uderza mnie poczucie głębi i prawdy. Zdaję sobie sprawę, że od tej chwili

właśnie tak chcę żyć. I myślę, że to samo odnosi się do Charliego.

– Zrób wszystko, co tylko możliwe w tym momencie, a potem podejmiesz decyzję. Bo liczy się tylko ten moment – mówię.

Charlie całuje moje ramię. Wygląda na pogrążonego w myślach.

– Może jutro pogadam z trenerem – odpowiada. – A propos jutra, mam nadzieję, że jesteś gotowa na najwspanialszy wschód słońca na świecie.

Na chwilę tracę oddech, adrenalina zalewa moje ciało. Spoglądam w niebo. Czerń ustępuje jasnemu fioletowi. Jeszcze raz sprawdzam godzinę. 1:42.

Odczuwam ulgę, ale zaraz uświadamiam sobie, że coś jest nie tak. Wskazówka sekundowa się nie rusza.

– Charlie, która godzina? – pytam przerażonym szeptem.

– Czwarta pięćdziesiąt.

Ogarnia mnie śmiertelny chłód.

– Nie jest wodoodporny – mówię, głównie do siebie.

– Co? – pyta Charlie.

Zrywam się na równe nogi, gorączkowo łapię ciuchy i telefon. Odklikuję ikonkę „Nie przeszkadzać”. Mam czternaście nieodebranych połączeń od taty. Jak mogłam choćby przez sekundę pomyśleć, że pragnę, by już nade mną nie czuwał?

– O Boże!

Jak mogę naprawić swój błąd? Co za idiotka. Tata niesłusznie obdarzył mnie zaufaniem. Łzy płyną mi po twarzy, rzucam się biegiem w stronę drogi. Może jeszcze zdążę przebiec w ciemności do domu. Jestem młoda. Jestem szybka.

Słyszę za plecami kroki Charliego.

– Zaczekaj, aż słońce...

– Muszę wracać! – krzyczę przez ramię. – Błagam, jedźmy już! Szybko! BŁAGAM!

– Co się stało?

Ale ja zanoszę się płaczem i nie chcę tracić cennego czasu na odpowiedź.

– Katie! Powiedz mi!

Biegnę dalej przed siebie. Niebo z fioletu zmienia barwę na bladobłękitną. Nie zdążę do domu przed wschodem słońca, ale muszę przynajmniej spróbować. Dla siebie. Dla taty. Dla Morgan. Dla Charliego, który na pewno mi nie wybaczy, kiedy się dowie, czemu tak spanikowałam, chociaż nie

zrobił nic złego. Chociaż do tej sytuacji doprowadziły wyłącznie moje błędne decyzje.

Słyszę chrzęst opon na żwirze. Charlie zatrzymuje furgonetkę i opuszcza szybę.

– Katie, przerażasz mnie. Co się dzieje, do cholery?

Wskakuję na fotel pasażera.

– Jedź! – krzyczę.

Charlie dodaje gazu. Furgonetka pędzi przed siebie, coraz szybciej i szybciej. Ale żaden środek transportu, poza wehikułem czasu, nie wygrałby w tej chwili ze słońcem, a już zwłaszcza ten stary gruchot. Nad wzgórzem za naszymi plecami pojawia się zapowiedź słonecznego blasku. Promienie – kreski światła, które zawsze rysują dzieci wokół tarczy – wystrzeliwiają z żółtej ognistej gwiazdy. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego i równie przerażającego.

– Musisz odwieźć mnie do domu, Charlie – błagam, chociaż wiem, że robi wszystko, co w jego mocy. Stara się ze wszystkich sił.

Kilka minut później zajeżdżamy przed dom. Otwieram drzwi, jeszcze zanim furgonetka zdążyła całkiem się zatrzymać. Wyskakuję na ziemię i pędzę do domu.

Słońce już stoi nad wzgórzami, promienie przebijają się przez korony drzew w naszym ogrodzie. Czuję je, czuję ciepło na skórze. Na ramionach. Na twarzy. Jestem wystawiona na ich działanie. Czuję ciepło, a po chwili palący żar. Płonę.

Walę do drzwi, ale tata nie otwiera. Gorączkowo szukam klucza, wreszcie trafiam w zamek. Otwieram drzwi i wpadam do środka. Drzwi zamykają się za mną z trzaskiem, a ja osuwam się na podłogę, roztrzęsiona i zapłakana. Teraz mogę się tylko modlić, bym nie wywołała w swoim ciele nieodwracalnych szkód. Wciąż istnieje taka szansa.

Wszystko jest możliwe, prawda? Może dostanę tylko poważnego poparzenia i sążnisty wykład od taty. Cuda się zdarzają.

Charlie wali do drzwi.

– Katie, możemy porozmawiać?

Ale ja nie mogę. Jak bym mogła? Co miałabym mu powiedzieć?

Charlie wciąż wali i powtarza moje imię.

Biegnę na górę, by tego nie słyszeć. Uciekam od niego. Wszystko zepsułam. Wszystko. Już nigdy tego nie naprawię.

Patrzę przez okno. Charlie wciąż tam jest. Przed dom zajezdza z piskiem samochód taty, który po chwili wysiada, trzaskając drzwiami. Wygląda, jakby zobaczył gromadę duchów. Jakby w ciągu tej jednej nocy postarzał się o milion lat. Jest z nim Morgan. Towarzyszy mu, chociaż się na mnie wściekła.

Zrobiłabym wszystko, by cofnąć ból, który sprawiłam bliskim. Sobie. Nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

– Ona tu jest? – słyszę spanikowany głos taty, który chwyta Charliego za ramiona i nim potrząsa, jakby to mogło cofnąć czas. – Jest w środku?

Tata wpada do domu, nie czekając na odpowiedź. Morgan krzyczy na Charliego:

– Jak mogłeś do tego dopuścić?

– Do czego? – krzyczy Charlie. Wygląda jak oszołomiony chłopczyk, przeczesuje włosy palcami raz po raz, aż sterczą na wszystkie strony.

Morgan wreszcie uświadamia sobie smutną prawdę.

– Nie powiedziała ci? Przysięgała, że ci powiedziała!

– O czym? – Charlie jest blady i roztrzęsiony.

Teraz to nastąpi. Padną słowa, które wszystko zmieniają. Słowa, które powinnam była sama wypowiedzieć.

– Ona jest chora, Charlie. Katie jest chora – mówi Morgan.

– O czym ty mówisz?

– Cierpi na poważną chorobę. XP. Nie może przebywać na słońcu. W sensie, w ogóle – tłumaczy Morgan. – To może ją zabić.

Wbiega do środka za moim tatą. Charlie zostaje sam. Patrzy w okna. Próbuje przetrwać koszmarną wiadomość.

Nie jestem tym, za kogo mnie uważał. Ani trochę.

19

– Tak strasznie, strasznie przepraszam – mówię do Morgan, ale kieruję te słowa również do taty. To pierwsze, co powiedziałam od chwili, gdy znaleźli mnie w moim pokoju. Milczałam, gdy pytali, czy nic mi się nie stało, milczałam, gdy podawali mi ubranie, milczałam przez całą drogę.

Bo co mogłam powiedzieć?

Przez tyle lat zachowywałam się ostrożnie i odpowiedzialnie i wreszcie przekonałam tatę, by pozwolił mi na niezależność, ale oto okazało się, że nie potrafię o siebie zadbać.

Okłamałam jego i Morgan. Okłamałam Charliego. Ale moje milczenie to również skutek wstrząsającej chwili olśnienia, w której dotarło do mnie, że oszukiwałam również samą siebie.

– W porządku – odpowiada Morgan. Zapewne w sytuacji zagrożenia życia ludzie są bardziej skłonni wybaczać.

– Nie, Morgan, naprawdę przepraszam. – Morgan chwyta mnie za rękę, wiem, że rozumie, że przepraszam ją nie tylko za to, że się przeze mnie martwiła, lecz również za wszystko, co jej powiedziałam.

– Kochamy cię ponad wszystko na świecie, Fistaszku – mówi tata.

Czuję się jeszcze gorzej przez to, że nie są na mnie wściekli. Że są tylko zmartwieni, smutni i spięci. To wszystko moja wina.

Siadamy na twardych plastikowych krzesłach w poczekalni przed gabinetem doktor Fleming. Jestem wyczerpana, sama nie wiem, bardziej psychicznie czy fizycznie.

Moja twarz płonie. Ramiona stoją w ogniu. Morgan zapewnia, że tak czuje się przeciętny człowiek po zbyt długim czasie spędzonym na słońcu. Ale ja nie jestem taka pewna. Wydaje mi się, że to wszystko źle wróży.

Jeszcze gorzej wróży twarz mojego taty. Szczęki ma mocno zaciśnięte, brwi ściągnięte tak, że tworzą jedną linię. Podpiera głowę rękami, jakby jego kark nie mógł unieść jej ciężaru.

– Czemu stawiają w poczekalni takie niewygodnie krzesła? – zastanawia

się Morgan. – Ludzie przychodzą tu, żeby wyzdrowieć, a wychodzą z uszkodzonym kręgosłupem.

Tata próbuje się uśmiechnąć. Wychodzi z tego raczej grymas. Wydaje z siebie krótki chichot, który zmienia się w łkanie.

– Na pewno wszystko będzie dobrze – pociesza mnie Morgan, kładąc mi dłoń na udzie. – To trwało tylko sekundę. Tyle co nic. Wszystko będzie dobrze.

Tyle że kiedy to mówi, wszyscy patrzymy na siedzącą w poczekalni dziewczynę mniej więcej w moim wieku. Ręce i głowa jej się trzęsą, skórę pokrywają pęknięcia i ciemne rany. Wszyscy wiemy, że za chwilę i ja mogę tak wyglądać.

Pojawia się moja ulubiona pielęgniarka.

– Zapraszamy, Katie.

Tata wstaje, ale zatrzymuję go ruchem dłoni.

– Tym razem wejdę sama. – Skoro jestem wystarczająco dorosła, by praktycznie się zabić z braku odpowiedzialności, to jestem też wystarczająco dorosła, by stawić czoła konsekwencjom własnego postępowania.

Tata kiwa głową. Kiedy wchodzę do gabinetu, przez drzwi na korytarzu wpada Garver. Podbiega do Morgan, a ona z płaczem rzuca mu się w ramiona.

– Nic jej się nie stało? – pyta Garver.

Morgan nie odpowiada. Wciska głowę w jego ramię i rozpada się na kawałki. Skoro tak zareagowała, to chyba muszę wyglądać w jej oczach jak żywy trup. Zastanawiam się, czy rzeczywiście tak jest.

Doktor Fleming ściska mnie serdecznie na powitanie.

– Dawno cię nie było, Katie – stwierdza, odsuwając się, by lepiej mi się przyjrzeć. – Wyrosłaś na piękną młodą kobietę.

– Przepraszam, że ostatnio nie przychodziłam na wizyty – mówię, wdrapując się na łóżko.

Doktor Fleming uśmiecha się wyrozumiale.

– Czasem sobie myślę, że XP jest trudniejsza do zniesienia dla rodziców niż dla samych pacjentów. Tata próbował cię chronić.

– I oto jak mu podziękowałam za wszystkie poświęcenia. – Mam ochotę się rozplakać, ale nie zostało mi już łez.

– Nie ma sensu oglądać się za siebie, Katie. Razem poradzimy sobie ze wszystkim, co nas czeka. Okej?

Kiwam głową. Pielęgniarka imieniem Jane pobiera kolejne próbki krwi, a ja patrzę na murale w żywych kolorach, pokrywające ściany gabinetu. Nauczyłam się, że mniej boli, kiedy nie patrzę na igłę i ten ciemnoczerwony płyn wyciekający z mojego ciała. Też mi wampir.

Potem wsadzają mnie na wózek i przewożą do pokoju, w którym wykonuje się tomografię komputerową. Chcę zaprotestować, że mogę dojść tam o własnych siłach, ale szczerze mówiąc, cieszę się, że nie muszę. Leżę nieruchomo, a światła i dźwięki wirują wokół mnie. Chyba na chwilę zasypiam, bo nagle jest już po wszystkim i siostra Jane mówi, że zabiera mnie z powrotem do gabinetu.

Tam siostra i doktor Fleming zakładają te wielkie powiększające okulary, które wyglądają jak okulary do wirtualnej rzeczywistości, i zaczynają bardzo dokładnie oglądać każdy centymetr mojego ciała, przez cały czas wypowiadając słowa w tajemniczym kodzie.

- Znamię dysplastyczne, cztery milimetry.
- Znamię wrodzone, widoczny przyrost.
- Skupisko nowych plam soczewicowatych.

I tak dalej. Czekam, słucham, zastanawiam się, co to wszystko znaczy. I o czym myśli w tej chwili Charlie. Czy nienawidzi mnie za to, że go okłamałam. Czy jeszcze go kiedyś zobaczę.

Tylko jak? Tata na pewno mi nie pozwoli. Zresztą niby czemu Charlie miałby chcieć się ze mną spotkać, kiedy tak nadużyłam jego zaufania?

Dochodzę do wniosku, że między nami wszystko skończone. Miałam szczęście, że przez chwilę mogłam cieszyć się jego bliskością. Doświadczyć czegoś, co wydawało się w moim przypadku niemożliwe. Czas znów stać się Roszpunką na zawsze zamkniętą w komnacie. Byłam idiotką, wierząc, że pójdę na studia i będę w stałym związku, jak każda normalna osoba.

W końcu doktor Fleming mówi:

– Dobrze, Katie, możesz już usiąść. Ubierz się, a ja zawołam twojego tatę. Spotkamy się w moim biurze, kiedy będziesz gotowa.

Wkładam legginsy i sweter, wciskam stopy w conversy. Przechodzę przez długi korytarz i siadam na krześle naprzeciwko imponującego mahoniowego biurka. Tata już siedzi na drugim krześle, patrzy prosto przed siebie.

– Ekspozycja na światło słoneczne była minimalna – zaczyna doktor Fleming. – Widoczne teraz skutki fizyczne wkrótce znikną.

Tata kładzie dłoń na moim ramieniu, uśmiechamy się do siebie. Może

jednak nie zepsułam wszystkiego.

– Ale...

Tata się krzywi.

Żołądek gwałtownie mi się zaciska.

– Jak wam wiadomo, ten konkretny rodzaj XP zwykle pozostaje w uśpieniu aż do wystąpienia wyzwalającego bodźca – ciągnie doktor Fleming. – Czy to wydarzenie było takim bodźcem, dowiemy się dopiero po otrzymaniu wyników krwi i tomografii.

Tata pochyla się do przodu.

– A jeśli tak? Jeśli to był taki bodziec?

Wstrzymując oddech, czekam, co powie doktor Fleming.

– Nie ma co się martwić na zapas. Katie, jeśli zauważysz jakieś symptomy, jak drżenie, bóle mięśni, utratę sprawności ruchowej, obiecaj, że natychmiast dasz mi znać.

Kiwam głową. Moje ręce już się trzęsą. Czy to objaw czy po prostu zmęczenie i przerażenie? W tym momencie wszystko wydaje się zapowiedzią najgorszego.

– A wiadomo coś w sprawie tego badania nad lekiem na Uniwersytecie Waszyngtońskim? – pyta tata, kiedy już mamy wychodzić.

– Sprawdzałam w zeszłym tygodniu. Na razie żadnych wieści.

Mam nadzieję, że w tym przypadku „żadnych wieści” oznacza „dobre wieści”. Tata nie zasłużył na kolejne złe wiadomości.

* * *

Po powrocie do domu walę się na łóżko jak kłoda, zapadam w ciężki sen bez marzeń, przypominający wielką czarną pustkę. Budzę się po wielu godzinach, zamroczona i rozdrażniona. Nie chcę jeść ani oglądać filmów, nie mam ochoty do nikogo się odzywać.

Wpada Morgan, zna mnie na tyle dobrze, by po prostu przy mnie być, razem, ale każda zajęta swoimi sprawami. Ja brzdąkam bezmyślnie w struny gitary, akordy wychodzą niespójnie i fałszywie. Morgan udaje, że czyta Drogą Gabby, ale nawet nie przewija strony do kolejnego pytania.

Mój telefon wibruje raz po raz. Nie zwracam uwagi. Jeśli odpowiem Charliemu, nic dobrego z tego nie wyniknie. Lepiej bezwzględnie uciąć wszelką komunikację, ruszyć dalej, nie przeciągać sprawy, skoro rezultat

końcowy będzie w każdym wypadku taki sam.

– Wiem, mówiłam, że masz udawać trudną do zdobycia, ale powinnaś przynajmniej sprawdzić, co Charlie chce ci powiedzieć – mówi Morgan.

Kręcę głową, a telefon znowu wibruje. Morgan rzuca swój na łóżko, chwytając mój i zaczyna czytać.

– Pyta, czy może wpaść i porozmawiać...

– Nie – przerywam jej. – Po prostu je wykasuj.

– Katie...

Podnoszę wzrok, patrzę jej prosto w oczy.

– Jeśli je przeczytam, to odpiszę, on też odpisze, a potem się spotkamy, a to wykluczone. Nie.

– Dlaczego? Nie musisz robić z siebie męczennicy, by ochronić delikatne uczucia Charliego. To duży chłopak, na pewno sobie poradzi z...

Przerywam jej w połowie zdania. Po raz pierwszy w życiu Morgan nie ma pojęcia, co czuję.

– Ja sobie z tym nie poradzę, jasne? – drę się, łzy płyną mi po twarzy. – Nie mogę. Wiem, że tylko go zranię. A nie chcę być osobą, przez którą cierpi. Czy mogłabyś je wykasować?

Widzę, że Morgan tego nie chce. Wiem, że nie może znieść mojego bólu. Że byłaby nawet gotowa mi wybaczyć, że jestem takim wstrętnym drażliwym potworem i wrzeszczę na nią, chociaż nie zasłużyła.

– Dobra – mówi cicho i klika w kolejne wiadomości. Wykasowuje wszystkie.

Kiwam głową z wdzięcznością i wracam do brzdąkania na gitarze. Ale dzisiaj moje granie po prostu źle brzmi, nic na to nie poradzę. Morgan spogląda na mnie, potem bierze do ręki swój telefon. Nagle uświadamiam sobie, że moje palce znajdują się na nie tych strunach, co trzeba, nie tych akordach.

Odrywam dłoń od gitary. Palce drżą, nie panuję nad nimi. Odsuwam gitarę, szybko, żeby Morgan nie zauważyła.

Ale wiem.

Wiem.

20

Nie mogę zasnąć, chociaż jestem zmęczona. Nie mogę jeść, chociaż jestem głodna. Przewracam się z boku na bok, odrzucam kołdrę, znów się przykrywam, bo na zmianę pocę się i trzęsę. Przed domem trzaskają drzwi samochodu, rozlega się dzwonek.

Wstaję i wyglądam przez okno. To doktor Fleming. Od tylu lat jestem jej pacjentką, ale nigdy nie przyjeżdżała do nas do domu – zawsze odwiedzała mnie w szpitalu. Jest zbyt zajęta na wizyty domowe.

To nie jest dobry znak. Chociaż wieści, które przyniosła, nie będą przecież dla mnie żadną niespodzianką.

Tata wychodzi za próg i zamyka drzwi. Nie słyszę, co mówi doktor Fleming. Tata krzyczy:

– Trzeba ponownie przeprowadzić badania. Mogą wyjść zupełnie inne wyniki!

– Jej mózg zaczął się kurczyć – odpowiada doktor Fleming, na tyle głośno, że tym razem ją słyszę. – Kiedy ścieżki neuronowe zaczynają...

– A badanie leku? – przerywa jej tata. – To na Uniwersytecie Waszyngtońskim? Musi istnieć...

– Zamknęli je – mówi doktor Fleming, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Dowiedziałam się dzisiaj rano. Nie będzie drugiej fazy badań.

Tata się załamuje. Zawsze był taki silny. Nigdy przy mnie nie płakał, nawet po śmierci mamy. A teraz całkiem się rozpada, z mojego powodu. Z powodu moich głupich wyczynów.

– Robiłem wszystko, co mogłem – mówi z trudem. – Kiedy była mała, nieważne, jak bardzo płakała i marudziła, nigdy nie pozwalałem jej wychodzić. Bawić się w parku. Chodzić na plażę. Błagała mnie. Błagała o to, co jej się w pełni należało, a ja jej odmawiałem. By ją chronić. I na co to wszystko?

Emocje biorą nad nim górę. Doktor Fleming klepie go po plecach.

– XP zwykle odbiera dziecku radość życia – mówi. – Ale Katie przez te

wszystkie lata nigdy się nie skarżyła, nie narzekała, zawsze dostrzegała we wszystkim dobrą stronę. A jak mówi o tobie! Nigdy nie spotkałam nastolatki, która darzyłaby ojca takim uwielbieniem.

Płacze razem z tatą. A ja płaczę z nimi. Obejmują się.

– Katie nie tylko nie straciła radości, ona również daje radość innym ludziom. Promienieje jak chyba żaden z moich dotychczasowych pacjentów. A to dlatego, że jest otoczona miłością. Jesteś wspaniałym ojcem, Jack.

Tata ociera twarz rękawem i kiwa głową.

– Jak długo?

– Trudno dokładnie to określić.

– Mowa o dniach? Tygodniach? Miesiącach?

Doktor Fleming odpowiada w charakterystyczny dla siebie sposób:

– Najprawdopodobniej o którejś z tych opcji.

Drętwieję, jakbym zlodowaciała, zastygła w czasie. Mogę tylko obwinać się za to, że zniszczyłam innym życie, innym i sobie samej. Jak mogłam być tak niewdzięczna? Oto, co dostałam za to, że już nie chciałam dotychczasowego życia, że zapragnęłam czegoś więcej. Teraz nie będę miała żadnego. Moje życie skończy się nawet wcześniej, niż do tej pory sądziłam.

Muszę w miarę możliwości spróbować naprawić wyrządzone szkody.

* * *

Później siedzimy z tatą w ciemni. Zanurza zdjęcia w roztworze, suszy i wiesza. Robi to, co potrafi najlepiej.

– Wiesz, że wiem, prawda?

Przerywa. Patrzy na mnie. Odchrząkuje.

– Co?

– Słyszałam waszą rozmowę. Myślałeś, że śpię.

Tata podchodzi i mnie przytula.

– Tak mi przykro – powtarza. – Tak mi przykro.

Mówię, że wszystko w porządku, i że mnie też jest przykro, tyle razy, że nie potrafię zliczyć. Przez cały dzień zastanawiałam się, jak nadać sens tej koszarnej sytuacji i w końcu wymyśliłam: muszę jakoś się odwdziżyć. Przekazać ostatnie przesłanie miłości. I już wiem, co mogę zrobić dla taty.

– Będę na górze – mówię. – Jak skończysz, może zamówimy jedzenie, dobrze?

– I tyle? – pyta, wzruszając ramionami i unosząc dłonie wnętrzem do góry.
– Żadnych pytań?

Kręcę głową.

– Nie.

Godzinę później wchodzi do salonu. Siedzę na sofie, zajęta pisaniem na komputerze. Ciężko pracowałam nad swoim dziełem, jest prawie gotowe.

– Umieram z głodu – oznajmia tata. – Może zamówimy coś z Hunan Chinese?

Wprowadzam ostatnią poprawkę i unoszę wzrok.

– He?

– Pytałem, czy masz ochotę na chińszczyznę. Co robisz?

Obracam komputer, żeby mógł zobaczyć.

– Chińszczyzna, jasne, zawsze. Wiesz przecież. Zakładałam ci profil na portalu randkowym.

Tacie opada szczęka.

– Że co?

Ale poważnie. Już najwyższy czas. Nikt nie powinien być sam. Każdy zasłużył na wyjątkową bliską osobę. To klucz do szczęścia, dowiedziałam się tego dzięki Charliemu.

– Co o tym sądzisz? – pytam, pokazując mu dwie wersje zdjęcia profilowego. – Na tym podobają mi się twoje włosy, ale na drugim trzymasz w ręku aparat.

Tata próbuje siłą zamknąć laptop.

– O, nie. Nigdy w życiu...

Nie zamierzam się poddać.

– A właśnie że tak! Musisz chodzić na randki! Mógłbyś mi pomóc przy pisaniu tekstu. Siadaj.

Tata znów zaczyna protestować, ale rzucam mu najpoważniejsze z moich spojrzeń. Chyba wreszcie pogodził się z tym, że nie żartuję i nie zamierzam zrezygnować z tego pomysłu. Siada obok mnie.

– Na razie mam tyle: *Najwspanialszy tata na świecie i najprzystojniejszy z fotografików...*

Tata buczy.

– Veto.

Ignoruję go i czytam dalej:

– ...szuka partnerki gotowej wyruszyć na poszukiwanie przygody, lubiącej

sztukę, fotografię, drużynę SuperSonics...

– SuperSonics, to ważne – zgadza się tata, kiwając głową.

– ...wspólniczki w zbrodni pragnącej zwiedzać świat. – Unoszę głowę, by sprawdzić, czy nadąża.

Tata patrzy jednak gdzieś przed siebie. Na ścianę, na jedno ze zdjęć, które kiedyś zrobili z mamą.

– Ja już nie podróżuję – mówi w końcu, kręcąc głową.

– Ale znowu zaczniesz – odpowiadam. Nie wypowiadam głośno dalszej części tego zdania: Bo znowu będziesz mógł. Kiedy odejdę.

Ale tata jakby potrafił czytać mi w myślach. W pokoju brakuje powietrza. Tata wstaje i rusza do drzwi.

– O tym nie będziemy rozmawiać...

Chwytam go za rękaw.

– Proszę. Ja chcę o tym rozmawiać. Muszę.

Przystaje. Głośno wypuszcza powietrze, jak stary psujący się kaloryfer. Klepię puste miejsce na sofie.

– Wcześniej mieliśmy siebie nawzajem. A teraz... – Próbuję zebrać się na odwagę, by powiedzieć to, czego żadne z nas jeszcze nie przyznało na głos. – Straciliśmy mamę, a teraz i mnie stracisz.

– Nie! – protestuje tata. – Zawsze istnieje szansa, że...

– Wiem, to do dupy. Dla ciebie zapewne nawet bardziej niż dla mnie. Ale takie są fakty. Zawsze wiedzieliśmy, że to kwestia *kiedy*, nie *jeśli*... To się stanie, czy ci się podoba czy nie.

Jeszcze nigdy żadne słowa nie przysły mi z takim trudem. Sądząc po minie taty, jeszcze nigdy nie przyszło mu z takim trudem wysłuchać moich słów. Ale musimy o tym rozmawiać, dopóki możemy. Musi wiedzieć, jak bardzo go kocham, jak doceniam wszystko, co dla mnie zrobił.

Biorę głęboki wdech i podejmuję:

– Chcę, byś podróżował i znów fotografował świat. Chcę, by ludzie oglądali twoje zdjęcia, tato.

A on wybucha płaczem. Przy mnie. Kolejny pierwszy raz. Jestem z niego naprawdę dumna. Przez tyle lat udawaliśmy, nosiliśmy przy sobie maski. A teraz pokazujemy prawdziwe emocje.

Chcę, by wiedział, że z tej sytuacji może wyniknąć coś dobrego – że po moim odejściu będzie mógł odzyskać marzenia, jeśli tylko sobie na to pozwoli. Że ponad wszystko na świecie pragnę, by znów się realizował, żył

pełnią życia. I że może tego doświadczyć, nawet beze mnie i bez mamy. Musi, inaczej nie zniosę tego, co wkrótce nastąpi.

– Przestań – mówi przez łzy. – Nie mogę...

Prę dalej, chociaż trudno mi znieść jego rozpacz.

– Chcę, byś miał życie równie wspaniałe jak to, które mi dałeś. Muszę wiedzieć, że będziesz próbował być szczęśliwy, że będziesz przeżywał różne przygody, że będziesz miał z kim się nimi dzielić, ponieważ... no cóż, to jest najlepsza część tego wszystkiego.

Tata bierze się w garść, robiąc kilka głębokich oczyszczających oddechów, tak jak uczyliśmy się z filmów o medytacji. Widząc, że jest niemal gotów się ze mną zgodzić, szybko domykam umowę.

– Idź na jedną randkę – zachęcam go. – Wybierz jakąś babkę i się z nią umów. Proszę.

Wreszcie kiwa głową.

– Dobrze.

Chwytam go za rękę.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

Obejmuję go i mocno się ściskamy. Moje łzy kapią na jego ramię. Jego łzy wsiąkają w moje. Odsuwam się pierwsza.

– A teraz zadzwońmy do Hunan Chinese – mówię, ocierając twarz.

Tata się uśmiecha.

– Idź na górę, odpocznij. Ja zamówię obiad.

Czuję, że moje serce w pewnym stopniu zdołało pozbierać się do kupy. Wiem, że mogę uczynić tę sytuację tak dobrą, jak to tylko możliwe, dopóki tu jestem. A może nawet i potem, jeśli tylko zdążę.

21

Czterdzieści pięć minut później rozlega się dzwonek do drzwi. Zbiegam na dół.

– Obiad przyjechał! – wołam, zeskakując z ostatniego stopnia. Tata nadal siedzi na sofie.

– Możesz odebrać, kochanie? – prosi, nie odrywając wzroku od meczu baseballa na ekranie telewizora. – Trzy bole i dwa strajki przy podwójnym aucie.

Śmieję się z jego entuzjazmu i zaangażowania.

– Jasne.

Podchodzę do drzwi, otwieram. Szczeka mi opada. To jednak nie jest dostawca z restauracji.

Zatrząskuję drzwi, opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę.

– Chyba powinieneś przyjść! – wołam do taty.

Ale on już zdążył sam na to wpaść.

– Chyba powinnaś go wpuścić – mówi, podając mi rękę. Przyjmuję ją.

– Skąd wiedziałeś, że to Charlie?

– Bo to ja do niego zadzwoniłem. Najlepsza część tego wszystkiego to mieć osobę, z którą dzieli się życie, że zacytuję. Zgadza się? Chyba tak właśnie przed chwilą powiedziałaś?

– Nie mogę się z nim spotkać – szepczę. – To znaczy... Mogę?

– Ruszaj – mówi tata, po czym otwiera drzwi i wypycha mnie za próg. – Mów.

Charlie trzyma w rękach dwie torby z jedzeniem z Hunan Chinese. Po chwili się odzywa:

– Obiad podano?

Oboje wybuchamy śmiechem. Jak on to robi? Potwornie zenującą chwilę zmienia w... już nie tak bardzo zenującą. Ale nie czuję się ani trochę mniej zakłopotana. Jest tak, jakbyśmy właśnie dopiero się poznali.

– A więc istniejesz – mówi. – Tym razem byłem przekonany, że mi się

przyśniłaś.

Zaczynam się uśmiechać, ale nagle uświadamiam sobie, że nie po to do niego wyszłam. Wiem, co powiedział tata i wiem, czego chcę. Ale jednego jestem pewna: człowiek nie zawsze może dostać to, czego pragnie. Trzeba zamknąć ten rozdział. Chcę podarować Charliemu prezent – zakończenie, by mógł ruszyć dalej.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam, to niewybaczalne, chciałabym to jakoś naprawić, ale niestety, to – tutaj pokazuję na niego, a potem na siebie, czyli, no wiadomo, na nas – to... dalej nie może trwać. – Mój głos brzmi dziwnie sztywno i formalnie. Biorę głęboki wdech, staram się nadać mu normalne brzmienie. – To bardzo zły pomysł, żebyśmy... dalej się spotykali, a ja...

Ech. Patrzę na Charliego. Zagryza dolną wargę. Wygląda, jakby miał się roześmiać, nie rozplakać, wbrew moim obawom. Czuję się jeszcze głupsza niż zwykle. Zaczynam od początku.

– Posłuchaj, miłość nigdy nie jest uczciwa, ta jednak jest wyjątkowo nieuczciwa, normalnie mogłaby się znaleźć w Księdze Rekordów Guinnessa, więc trzeba to przerwać. Koniec. Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie.

Krzywię się. To wyszło nawet jeszcze bardziej żenująco.

– Do widzenia – mówię na zakończenie i wyciągam rękę. Charlie patrzy na nią w milczeniu. Potem unosi wzrok i patrzy na mnie. Na jego twarzy widnieje szeroki uśmiech.

– To była najgorsza mowa kończąca związek, jaką kiedykolwiek słyszałem – stwierdza.

Nie rozumiem. Nie zgadza się na zerwanie? To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

– Co?

Charlie wywraca oczami.

– Należy ci się najniższa ocena. Zero od wszystkich sędziów. Totalna porażka.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam! – protestuję i nagle dociera do mnie, co tak naprawdę kryją jego słowa: on nie chce, żebyśmy zerwali, mimo tego, co się wydarzyło. I mimo tego, co nieuchronnie jeszcze się wydarzy.

– Ale poważnie, nie możemy.

– Możemy – upiera się.

W milczeniu spoglądam w te jego niesamowite oczy. Cała moja

determinacja topnieje pod ich spojrzeniem. Chcę uwierzyć, że możemy. Tylko jak?

Wzrusza ramionami, jakby czytał mi w myślach.

– Możemy – powtarza. – Nie mogę za to przestać się z tobą spotykać. Próbowałem i było beznadziejnie. A to – tutaj robi palcami znak cytatu i nadając głosowi formalne brzmienie, jak ja przed chwilą, dodaje: – a to nie może trwać.

Śmieję się, ale ból, który czuję, jest bardzo prawdziwy. Nie chcę zranić go bardziej niż do tej pory. To by mnie zabiło, szybciej niż cała głupia XP.

– Charlie...

Zanim zdążę zaprotestować, wchodzi mi w słowo:

– Katie. Jasne, może być tak, że przez kilka ostatnich tygodni odmieniłaś moje życie i stałaś się dla mnie najbliższą osobą, a teraz mnie zostawisz na tym trawniku jak ostatniego debila, ale możemy też nadal cieszyć się najlepszym latem w całym naszym życiu.

Kręcę głową. Oszałał. Chyba każdy normalny facet zwiąłby, gdzie pieprz rośnie, dziękując swej szczęśliwej gwiazdzie, że tak łatwo dałam mu się wywinąć. A Charlie próbuje mnie przekonać, że powinniśmy zostać razem, mimo że nasz związek jest z góry skazany na porażkę.

– Pozbierałem trochę informacji – dodaje Charlie, już śmiertelnie poważny. – Wiem, co to jest XP. Wiem, co się dzieje. Ale my nie należymy do ludzi, którzy łatwo się poddają. Wiedziałaś o tym wcześniej ode mnie.

W końcu nie wytrzymuję, śmieję się i płaczę jednocześnie. Po co wybierać, skoro obie te czynności tak doskonale pasują do tej chwili?

– Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i patrzeć bezczynnie – dorzuca. – To mój wybór, ja go podejmuję. Chcę być z tobą.

Ocieram łzy. Patrzę mu prosto w oczy. Zarzucam mu ramiona na szyję i całuję go tak, jakby od tego zależało moje życie. I może w pewnym sensie tak jest. Na taki pocałunek – autentyczny i pełen namiętności – większość ludzi zapewne czeka całe życie, a ja, szczęściara, dostałam swój już teraz.

Uświadamiam sobie, że nawet w najgorszych chwilach istnieje promyk nadziei. Charlie jest mój.

* * *

Później, siedząc między tatą i Charliem i zajadając lo mein, myślę sobie,

że chociaż przypadła mi w udziale wyjątkowo wielka kanapka z gównem, to i tak jestem wdzięczna za to, co dostałam od życia. Za wszystko, czego nie mam – mamę, grupę przyjaciół, nadzieję na „żyli razem długo i szczęśliwie” – otrzymałam mnóstwo innych rzeczy. Zawsze je miałam. A teraz jest jeszcze Charlie. Myślę o tym, co mi wcześniej powiedział i czuję dokładnie to samo: on istnieje. Nie wyobraziłam go sobie. I z całą pewnością, tak jak czuję ciepło jego ciała obok na sofie, gdy jego noga muska moją nogę, wiem, że nie jest to tylko letni flirt. Że to, co do siebie czujemy, jest wieczne. Że nic nie może nas rozdzielić.

Nic. Nawet śmierć.

Muszę prosić i błagać, ale w końcu udaje mi się przekonać tatę, by pozwolił mi obejrzeć wielki powrót Charliego. Harował jak wół od tamtej nocy, kiedy pływalismy w oceanie, najlepszej nocy w moim życiu, po której nastął najgorszy dzień. I nie ma mowy, żeby w takiej chwili mnie przy nim nie było. Zamierzam mu kibicować razem ze wszystkimi, którzy wspierali go w ambicjach sportowych, z przyjaciółmi, rodziną i byłym trenerem – oraz, miejmy nadzieję, tym nowym, z Berkeley.

Zawody mają się odbyć w budynku liceum. Przygotowania do wyprawy są dosyć uciążliwe – muszę nałożyć trzy warstwy bardzo wysokiego filtra przeciwsłonecznego, który dostałam na receptę i ubrać się w grube ciuchy, stanowczo nieodpowiednie na letnie temperatury. Tata nakleił na szyby specjalną folię chroniącą przed promieniami UV i zainstalował coś w rodzaju lustra weneckiego między tylnymi i przednimi siedzeniami. On mnie widzi, ale ja jego nie. Przez lustro nie przenika ani odrobina światła. Dziwny sposób podróżowania, jakbym była celebrytką w limuzynie, zbyt wysnobowaną, żeby zadawać się z kierowcą.

– Daj spokój, tato – mówię, żeby dodać mu otuchy, bo widzę strach w jego oczach. Musi pokonać przerażenie, które przez tyle lat nie pozwalało mi wychodzić z domu. Zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już znaczenia, czy zachowamy ostrożność czy nie. – Co złego może mnie spotkać? Bodziec? Za późno, to już się stało.

Zaciska wargi w cienką kreskę.

– To nie jest śmieszne.

– Wisielczy humor – odpowiadam, wzruszając ramionami.

Tak trudno przywyknąć do nowych warunków, które przynosi każdy kolejny dzień. Czuję się stara, żal mi siebie, wszystko, co sprawia, że ja to ja, znika w zastraszającym tempie. I już wkrótce zostanie ze mnie tylko skorupa. Zdecydowanie najgorszy był dzień, kiedy uświadomiłam sobie, że już nie mogę grać na gitarze. Płakałam jak jeszcze nigdy w życiu, nie tylko dlatego,

że muzyka zawsze była dla mnie źródłem radości i dumy, lecz również dlatego, że miałam nadzieję ofiarować ją światu jako pożegnalny prezent. A teraz to już niemożliwe.

Tylko Charlie potrafi pomóc mi zapomnieć, jak szybko się staczam. Jakimś sposobem umie sprawić, że czuję się jak najpiękniejsza, niezwykle utalentowana, normalna zdrowa dziewczyna. Zachowuje się tak, jakby nie dostrzegał, ilu rzeczy już nie jestem w stanie zrobić.

Dopiero kiedy zostaję sama, dopada mnie paniczne przerażenie. Boję się, co stracę w następnej kolejności, nie wspominając o tym, co będzie, kiedy nie zostanie już nic. Nie chcę odchodzić z tej planety. Nie jestem gotowa. I pewnie nigdy nie będę.

W sumie wszystko, co się ze mną dzieje od tamtego ranka na plaży jest przerażające, potworne i koszmarne. Jedyna pozytywna strona, jaką dostrzegam w całej tej sytuacji, to że w pewnym momencie przestało mnie to zaskakiwać. I tyle.

– Czasem najlepsza metoda, by dać sobie z czymś radę, to się z tego śmiać – mówię tacie. – A teraz pojedźmy zobaczyć, jak Charlie odzyskuje swoje stypendium na Berkeley.

– Do biegu gotowi, start! – woła tata, chwytając kluczyki.

Ściągam tasiemki przy kapturze najmocniej jak tylko się da, aż nie widać twarzy, tylko kawałeczek oka. Graliśmy z tatą w tę grę, kiedy byłam młodsza i trzeba było mnie zawieźć na wizytę lekarską. Doceniam powrót do tradycji.

Oczywiście przygotowania do tej wyprawy zajęły znacznie więcej czasu niż sama jazda. Do szkolnej pływalni docieramy w niecałe dziesięć minut. Tata parkuje jak najbliżej budynku i biegniemy do środka.

W hali sportowej jest duszno i wilgotno. Natychmiast zaczynam się pocić w swoim wielowarstwowym stroju. Unoszę rękę, by rozsunąć zamek przy bluzie.

Tata powstrzymuje mnie ruchem ręki. Wskazuje na wielkie okna na drugim końcu hali. Wpada przez nie ostre słońce, tworząc tęcze w kałużach na brzegu basenu.

– Nie. To niebezpieczne.

– Co złego może... – zaczynam znowu, ale nagle dostrzegam zmarszczki na czole taty. Chyba stały się większe i liczniejsze przez te kilka ostatnich tygodni. – Jasne, tato.

Wspinamy się na wypełnione tłumem trybuny. Zajmuję miejsce w rogu,

w ostatnim rzędzie, gdzie nie dociera słońce. W pierwszym rzędzie siedzą rodzice Charliego. Jest też Zoe ze swoją siostrą. Widząc mnie, uśmiecha się fałszywie i macha.

– Katie Price, cześć!

– Nowa koleżanka? – pyta tata.

– Odwieczny wróg – odpowiadam, również macham i posyłam jej jeszcze bardziej fałszywy uśmiech. A więc zdołała mnie zidentyfikować. Czuję zaskakujący spokój. Jakby Zoe straciła całą moc. Najgorsze już się stało. Nie może mi zrobić nic, co mogłoby się z tym równać.

Nagle dostrzegam osobę, z której powodu wszyscy tu dzisiaj jesteśmy: to wysportowany mężczyzna w koszulce polo z logo uniwersytetu w Berkeley, ze stoperem wiszącym na tasie przy szyi, który notuje coś gorączkowo. Unosi wzrok, chwyta moje spojrzenie. Posyłam mu uśmiech i unoszę kciuki. Jego wargi wyginają się niemal niedostrzegalnie, ale i tak uznaję to za dobry znak.

– Następnie mamy w programie ostatnie wydarzenie dzisiejszego dnia. Finały w pływaniu na dwieście metrów stylem dowolnym! – krzyczy prowadzący. Jego głos odbija się od pokrytych kafelkami ścian. Publiczność wiwatuje. Powietrze jest jak naelektryzowane.

Pływacy podchodzą na brzeg basenu i zajmują stanowiska w blokach startowych. W myślach przeklinam fakt, że w tych kąpielówkach, czepkach i goglach wszyscy wyglądają tak samo. Wyciągam szyję, próbuję dojrzeć, który z nich to Charlie. Napisał wcześniej, że będzie płynął na torze pierwszym, ale to niemożliwe. Nikogo tam nie ma.

Rodzice Charliego obejmują się kurczowo. Tata odwraca się w moją stronę, unosząc brwi. Wzruszam ramionami i kręcę głową, jakbym chciała powiedzieć *Nie mam pojęcia. Powinien już być*. Facet z Berkeley przerywa pisanie, spogląda na zegarek, znów, ze zniecierpliwioną miną, unosi wzrok.

Wstrzymuję oddech. I nagle się zjawia, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wydaje się taki silny, potężny, tak niesamowicie wspaniały. Mam ochotę zbiec do niego i go uściskać.

Pozostali pływacy ochlapują się wodą, potrząsają ramionami i nogami, by pozbyć się nerwowego napięcia. Charlie jednak stoi nieruchomo, spokojny i skupiony. Uśmiecha się do rodziców.

Wodzi wzrokiem wzdłuż trybun, rząd za rzędem. W końcu mój tata unosi rękę i pokazuje na mnie. Ściągam kaptur – tym razem tata nie protestuje –

i macham. Charlie uśmiecha się szeroko i dotyka dłonią serca. Robię to samo. To nasz nowy szyfr: Amor vincit omnia. Miłość wszystko zwycięża.

Charlie kiwa głową. Jest gotowy.

Na sygnał prowadzącego wszyscy zajmują pozycje.

BIP!

I ruszają. Zawodnicy pierwszą długość basenu przepływają niemal w całości pod wodą. Z przejścia nie mogę oddychać, a przecież jestem tylko widzem, więc naprawdę sobie nie wyobrażam, co oni czują.

Nagle wszyscy wynurzają się nad powierzchnię. Elegancka cisza ustępuje szumowi wody burzonej mocnymi ruchami nóg i ramion. W moich oczach wszyscy mają równe szanse. Nikt się nie wyróżnia.

Rodzice Charliego łapią się za ręce. Trener z Berkeley patrzy na zegar na tablicy wyników, potem znów przenosi wzrok na basen. Zawodnicy rozpoczynają drugą długość basenu.

Chłopak pływający na torze obok Charliego zaczyna wysuwać się na prowadzenie. Pozostali trzymają się z tyłu zwartą grupą. Wtykam palce w usta i gwizdzę najgłośniejszym jak tylko potrafię, chcę zmotywować Charliego, niech przyspieszy, niech przyspiesza coraz bardziej.

Pływacy obracają się i rozpoczynają trzecią długość. Facet na prowadzeniu jeszcze powiększa dystans dzielący go od reszty zawodników. Dawaj, Charlie, mówię w myślach. To twoja wielka szansa. Daj z siebie wszystko. Od tego zależy twoja przyszłość.

Jeszcze jedna długość. Charlie wciąż pozostaje z tyłu, na trzecim, może nawet czwartym miejscu. Zrywam się z ławki i zaczynam krzyczeć, dopinguję go z całych sił. Mam nadzieję, że mnie słyszy. Wiem, ile godzin poświęcił na powrót do formy. Wiem, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by przygotować się na tę chwilę. Wiem, że potrafi.

I wtedy to widzę. Charlie przyspiesza. On też wie, że potrafi.

Jego ramiona biją coraz mocniej i mocniej. Gładko tną wodę. Przyspiesza. Mija faceta na trzeciej pozycji, potem tego na drugiej. Ale nadal dzieli go zbyt wielka odległość od zawodnika na prowadzeniu. Wygrana wydaje się właściwie nieosiągalna.

Ale Charlie przyspiesza coraz bardziej. A potem to się dzieje. Jego dłonie dotykają ścianki pierwsze, przed wszystkimi. Wygrał!

Krzyczę jak szalona. Chyba jeszcze nigdy nie byłam świadkiem czegoś równie ekscytującego. Dla tej chwili warto nawet nabawić się chrypy.

Charlie wynurza się z basenu, woda spływa po jego umięśnionym ciele. Zdejmuje gogle i rusza w stronę trybun. Nie mogę się powstrzymać, biegnę mu na spotkanie. Tam, gdzie światło. Tata rusza za mną.

– Trzymaj się z daleka od słonecznych miejsc! – przypomina. Przystaję w pewnej odległości od Charliego.

Trener z Berkeley podchodzi do niego i rozmawia, krótko, zaraz rusza do wyjścia. Znow zaczynam biec, ale uprzedzają mnie jego rodzice. Tata i ja trzymamy się z tyłu, czekamy. Wreszcie Charlie uwalnia się od wszystkich, którzy pragną mu pogratulować, i porywa mnie w objęcia.

– Byłeś wspaniały! – krzyczę.

Stawia mnie na ziemi, cały rozpromieniony.

– Prawda?

– Tak! Co powiedział gość z Berkeley?

– Że zrobiłem na nim wrażenie, i że będziemy w kontakcie.

Uśmiecham się.

– To świetnie! Jestem z ciebie taka dumna!

Tata wciska się między nas i serdecznie wali Charliego w plecy.

– Zdaje się, że plotki na twój temat są prawdziwe – mówi. – Gratulacje, Charlie. Byłeś niesamowity.

– Dziękuję – odpowiada Charlie. – Również za to, że pozwolił pan Katie przyjść.

Tata patrzy na mnie z uśmiechem.

– Nie mogłaby tego przegapić, za nic na świecie.

Charlie również się do mnie uśmiecha.

– Czy mógłbym porwać Katie jutro wieczorem? – pyta Charlie tatę.

Składam dłonie i rzucam tacie urocze błagalne spojrzenie. W końcu kiwa głową.

– Chyba tak, Charlie.

Przytulamy się jeszcze raz, a potem naciągam kaptur na głowę i ruszam do samochodu. Zdaje się, że wszyscy podjęli tę samą decyzję: parking jest zapchany. Mija pięć minut, a tata jeszcze nawet nie wyjechał z miejsca.

Patrzę przez okno, wyczerpana wyprawą. Tak się cieszę, że byłam świadkiem sukcesu Charliego. Ale w tym momencie chcę tylko wrócić do domu i się położyć.

Już przysypiam, gdy przed budynkiem pojawia się Charlie z rodzicami. Podbiega do samochodu i przykładą dłonie do zaciemnionej tylnej szyby. Ja

przykładam swoje w tym samym miejscu od środka. Jestem pewna, że Charlie czuje moją obecność.

Pan Reed puka w okno z przodu, tata opuszcza szybę.

– Chciałem tylko powiedzieć tobie i twojej córce, że wasze wsparcie wiele dla nas znaczy.

– Wzajemnie! – wołam ze swojego miejsca na tylnym siedzeniu, chociaż raczej nie może mnie usłyszeć.

– To wspomniała młody człowiek – mówi mój tata.

– Katie również jest wspomniała, pod każdym względem.

Chciałabym wysiąść, być teraz blisko niego, ale słońce świeci wysoko na niebie. Zbyt duże ryzyko.

– Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że nasze dzieci się spotkały – ciągnie pan Reed. – W życiu każdego człowieka pojawia się zaledwie kilka osób czy chwil, które zmieniają jego historię. Katie na zawsze pozostawi ślad w życiu Charliego. A on w jej życiu. Mimo że tak krótko będzie to trwało. Jak powiedziałem Charliemu, możemy tylko czuć wdzięczność za dane nam doświadczenie, za to, że Katie zjawiała się na jego drodze.

Wyciągam telefon i piszę do taty: **Powiedz mu: Amor vincit omnia!**

Tata patrzy na swój telefon, potem ogląda się przez ramię, śmieje się.

– Katie pragnie przekazać, że miłość wszystko zwycięża – mówi.

Pan Reed również się śmieje.

– Cóż, teraz szczerze wierzę, że to prawda. – Stuka w tylną szybę, przy której Charlie i ja nadal „trzymamy się za ręce”. – Do zobaczenia, Katie!

Przyciskam dłoń do serca, a potem znów do szyby, za którą są dłonie Charliego. Amor vincit omnia, powtarzam w myślach. Miłość wszystko zwycięża.

Charlie przyjeżdża po mnie punktualnie następnego wieczoru. Mam na sobie kolejny nowy strój – zamówiony w Internecie z błogosławieństwem taty. Ułożyłam włosy i się umalowałam, starannie i z wielkim trudem. Ostatnio nawet najprostsze czynności stają się coraz trudniejsze, ale ja nie chcę stracić żadnej okazji, by poczuć się młodą, piękną i pełną życia.

Tata znowu robi nam zdjęcie, a ja tym razem nawet nie protestuję. I nawet nie czuję się zażenowana. Próbuję obudzić w sobie wdzięczność za to doświadczenie, tak jak mówił pan Reed. Niepokój, który zdaje się towarzyszyć mi właściwie bez ustanku, ostatnio jakby zbladł. Nie jest już głośnym krzykiem, tylko stłumionym poszumem.

Charlie otwiera drzwi furgonetki po stronie pasażera. Wsiadam. Tata macha nam z werandy.

Charlie wskakuje na siedzenie kierowcy. Ręce mi się trzęsą. Próbuję wsunąć je pod uda, by to ukryć, ale Charlie bierze je w swoje dłonie, a potem unosi do ust, całuje każdy z moich palców po kolei, a potem kładzie moje dłonie na kolanach.

Posyłam mu uśmiech. Jest jedyną osobą, która potrafi sprawić, że taka chwila jak teraz nie wydaje się żenująca. Jego czułość i zrozumienie bynajmniej nie pomagają mi zaakceptować obecnej sytuacji, ale za to uświadamiają, jaką jestem szczęściarą, że go mam. Rozsiadam się wygodnie i czekam na to, co tym razem wymyśli.

Pół godziny później zajeżdżamy na parking przed jakimś budynkiem przypominającym magazyn. Uśmiecham się i nie mogę przestać.

– Kolejny koncert?

– Naprawdę sądzisz, że jestem tak mało kreatywny? – mówi Charlie, kręcąc głową. – Błąd. Chodź. Zaraz zobaczysz.

– Co zobaczę? – pytam, ruszając za nim, niesamowicie podekscytowana.

– Zobaczysz, jak znajdziemy się na miejscu.

Prowadzi mnie do pomieszczenia, które przypomina sterownię na statku

kosmicznym Enterprise. Jest tam stół mikserski wielkości samochodu, z pierdylionem przycisków i dźwigni, wielośladowe urządzenia do nagrywania dźwięku i cyfrowe stacje robocze. Za szklaną ścianą mieści się studio, muzycy właśnie szykują instrumenty.

Chłonę ten widok całą sobą. Nie mogę w to uwierzyć. Zobaczę dzisiaj prawdziwą sesję. To jak spełnienie marzeń.

– Kogo będziemy oglądać?

– Pytasz o tych gości? – Charlie pokazuje ich kciukiem. – Są tu dla ciebie.

Zanim dotrze do mnie sens tych słów, podchodzi do nas brodaty luzak i zagaja:

– Katie? Zaczynamy.

– O Boże, nie, nie, nie... – Oczy robią mi się wielkie jak spodki, ogarnia mnie nagła potrzeba zaplanowania pogrzebu dla kota. Ruszam do wyjścia, ale Charlie staje mi na drodze.

– Tak, tak, tak, tak.

– Jak to zrobiłeś? Kim są...? To obłąd! – wyduszam z siebie. – Jak za to zapłacimy?

Charlie wzrusza ramionami.

– Tym się nie martw.

To może znaczyć tylko jedno: wydał na mnie wszystkie oszczędności. Pieniądze, na które tak ciężko pracował przez całe lato i przez poprzednie lato, i jeszcze poprzednie. Wiem, ile kosztuje profesjonalna sesja w studio. O wiele za dużo. Przytłacza mnie ta hojność. Łzy, które ostatnio zawsze łatwo mi przychodzą, zaczynają ściekać po moich policzkach.

– Charlie, nie! To twoje pieniądze na furgonetkę! Ciężko na nie pracowałeś. Nie mogę na to pozwolić.

– Za późno – odpowiada Charlie wesoło. – Poza tym większość uczelni nie pozwala studentom pierwszego roku trzymać samochodu na terenie kampusu.

– Dzwonili z Berkeley? – pytam, przykładając dłoń do jego policzka.

– Jeszcze nie. Ale jestem niemal pewien, że wkrótce zadzwonią.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – mówię. – Czy to będzie Berkeley czy inna uczelnia, nieważne, pewnego dnia świat będzie leżał u twych stóp, Charlie.

– A teraz twoja kolej, Katie – odpowiada. – Ruszaj. Zrób to. Dzięki tobie zrealizowałem swoje marzenie. Teraz nadszedł czas, by się odwdzięczyć.

Delikatnie popycha mnie w stronę studia. Powstrzymuję go i unoszę

dłonie. Drżą.

– Nie mogę grać – szepczę. Zamiast żołądka mam wielką dziurę zrobioną ze strachu i wstydu.

Charlie ujmuje moje dłonie i patrzy mi głęboko w oczy.

– Po prostu zaśpiewaj. Wyobraź sobie, że tylko ja tu jestem.

Kiwam głową i próbuję przyswoić sobie pozytywną energię, którą wysyła w moją stronę. Obraca mnie i popycha w stronę studia. Wchodzę tam, stoję pośrodku pomieszczenia. Czuję się niepewna i zdenerwowana. Chyba mogę zwalić to na drżenie rąk, zapomnieć, co jest jego prawdziwym powodem. Nikt nie będzie musiał się uzalać nad biedną umierającą dziewczynką i kłamać, jaką świetną napisała piosenkę. Może wreszcie usłyszę szczerą opinię prawdziwych muzyków – ludzi, którzy potrafią rozpoznać talent.

Kiedy kończą stroić instrumenty, jeden z nich kiwa mi głową na powitanie. Inżynier dźwięku włącza głośnik w sąsiednim pomieszczeniu.

– Katie, jak tylko będziesz gotowa, daj znać, zaczynamy nagranie...

Już jestem gotowa – nie licząc jednej rzeczy. Wyboru piosenki. Nie mam pojęcia, co powinnam zaśpiewać.

– Co zagramy?

Gitarzysta, wytatuowany facet z kolczykami, wręcza mi zapis nutowy. Taki sam mają wszyscy pozostali muzycy. Odczytuję tytuł. *Piosenka Charliego*.

– To... to mój utwór. Ostatnio nad nim pracowałam! – wykrzykuję, głównie do siebie.

Unoszę głowę i widzę Charliego, który uśmiecha się do mnie zza szyby. – Skąd to macie?

Charlie włącza mikrofon.

– Znów ukradłem ci notes.

– Ty napisałaś ten kawałek? – pyta gitarzysta.

Kiwam głową, ale chyba mi nie wierzy.

– Nieźle – rzuca z uśmiechem.

Też się uśmiecham i wkładam słuchawki. Perkusista podaje rytm i zespół zaczyna grać. Mój utwór. Nawet sobie nie wyobrażałam, że może brzmieć tak wspaniale.

Muzyka narasta, w końcu przychodzi czas na mnie. Podchodzę do mikrofonu. Zaczynam śpiewać, początkowo cicho i delikatnie. Ale z każdą nutą nabieram pewności siebie, nawet nie przypuszczałam, że ją w sobie

noszę.

Zamykam oczy i śpiewam dla wszystkich, których kocham. Wyobrażam sobie tatę, jak wywołuje niesamowite zdjęcia z egzotycznej podróży, na którą niedługo się wybierze. Widzę Morgan i Garvera, wciąż są razem, nawet jeśli jesienią pójda na różne uczelnie. Charlie bez wysiłku pruje wody basenu w Berkeley, zbiera kolejne rekordy, tak jak niegdyś w malutkim Purdue w stanie Waszyngton. A mama wciąż gra swoją ulubioną piosenkę zespołu Crosby, Stills, Nash and Young.

Wędrowałam wśród nocy samotnie
tylko gwiazdy oświeślały mi drogę.
Teraz ty jesteś ze mną
noc wciąż jest ciemna
lecz pełna życia i blasku.

Kiedy utwór się kończy, wiem, że poszło świetnie. Charlie patrzy na mnie zza szyby, nagrywa wszystko iPhonem. Daje kuksańca inżynierowi dźwięku, który kiwa głową. Czyżbym widziała zachwyty w ich oczach? Bo ja jestem kompletnie zachwycona tym, czego właśnie dokonałam.

W drodze powrotnej nadal trochę kręci nam się w głowie z podekscytowania. Żadne z nas nie chce, by ta noc się skończyła, zresztą czujemy tak każdej nocy, kiedy się spotykamy. Spory kawałek przed Purdue Charlie skręca w nieznaną mi drogę.

– Dokąd jedziemy? – Opieram głowę na jego ramieniu. Czuję się jak w domu. Jakby cały świat był dokładnie taki jak trzeba, mimo że w moim świecie wszystko jest dokładnie nie tak.

– Chcę ci pokazać miejsce, do którego czasem jeżdżę.

Furgonetka wspina się coraz wyżej i wyżej, w końcu Charlie zjeżdża na pobocze i gasi silnik. Wysiada, przechodzi na moją stronę, otwiera drzwi i podaje mi rękę.

Wskazuje na niebo. Unoszę głowę i szczęka mi opada. Patrzy na nas milion gwiazd. Punkt widokowy Charliego zdaje się bramą do nieba.

Włazimy na pakę. Są tam koce, poduszki i termos z gorącą czekoladą. Charlie nalewa nam po kubku, nakłada pokrywki, podaje mi moją porcję. Wtulam się w jego ramiona.

Biorę łyk i wskazuję na jedną z gwiazd.

– Wiesz, jak się nazywa?

– To Charlinium – śmieje się. – Bo jest wielka i bardzo błyszcząca.

Wywracam oczami i wskazuję kolejną.

– To jest Burritorium, bo ma kształt burrito.

– Nie, to Procjon, głuptasie – poprawiam go. – Jedenaście lat świetlnych.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Mieliśmy siedem lat, kiedy powstało to światło?

Kiwam głową.

– Brawo, jesteś dobry z matmy. Wtedy dostałeś pierwszą deskorolkę, zgadza się?

Oczy Charliego robią się wielkie i okrągłe.

– Skąd wiesz?

Stwierdzam, że właściwie mogę powiedzieć mu prawdę. Tym razem całą prawdę. Zostało nam tak mało czasu.

– Charlie, kiedy spotkaliśmy się na stacji tamtego wieczoru... ja znałam cię wcześniej.

Nie wiem, czy jest zdezorientowany, przerażony, czy co tam jeszcze. Jego twarz niczego nie wyraża, jakbym właśnie powiedziała, że na jutro zapowiadają deszcz.

– Co masz na myśli?

Patrzę w niebo.

– W podstawówce codziennie przechodziłeś pod moim oknem w drodze na trening.

Zerkam na niego. Na jego twarzy nadal nie widać przerażenia, więc mówię dalej.

– W trzeciej klasie zacząłeś jeździć na desce. W szóstej chyba przez miesiąc dzień w dzień nosiłeś koszulkę z nazwiskiem bejsbolisty Kena Griffeya Juniora. W dziewiątej obciąłeś się na rekruta. Czekałam na ciebie. To była najważniejsza chwila całego dnia. Tak więc kiedy się poznaliśmy, od dawna stanowiłeś część mojego życia.

Kończę wyznanie i wstrzymuję oddech. Przez chwilę Charlie nic nie mówi. Nie naciskam, ponieważ rozumiem, że ma sporo do przetrawienia.

Wreszcie mówi:

– Nie mogę uwierzyć, że nadal ci się podobałem z fryzurą na rekruta.

Chichoczę. Niesamowite, że potrafi mnie rozśmieszyć w takiej chwili. Nie ocenia mnie, tylko po prostu kocha wszystko, czym jestem i co robię. Nawet

kiedy wyznaję, że byłam jego stalkerką, najcudacznieszłą psychofanką na świecie.

– Szkoda, że nie spojrziałem w górę – dodaje. – Mogłem być z tobą już od dawna.

Nie uświadamia sobie tego co ja. Że zawsze był przy mnie.

– I byłeś – odpowiadam, po czym biorę potężny wdech i skaczę na głęboką wodę. – Kocham cię, Charlie.

Dotyka mojej twarzy. Patrzy mi w oczy. A jego oczy są pełne łez, ale łez szczęścia.

– Ja ciebie też kocham.

Przyciąga mnie bliżej i całuje. Całujemy się za każdą gwiazdę na niebie. Za każdy pocałunek, który nas ominął w przeszłości i każdy, który ominie nas w przyszłości.

Wiem, że moje noce są policzone. Wiem, że moich dni ubywa. Muszę chwycić każdą chwilę, która mi pozostała. Tulę się do Charliego ze wszystkich sił.

24

Kilka tygodni później siedzimy u mnie w domu i gramy w karty. Czuję się bardziej zmęczona i osłabiona, coraz mocniej się trzęsę. Prawdę mówiąc, mam tak słabe ręce, że ledwo jestem w stanie trzymać karty tak, by pozostali ich nie widzieli. Pozostali, czyli Charlie, Garver, Morgan i tata.

I... tak. Doktor Fleming. Lub raczej Jessica, jak teraz mówi o niej tata. Dziwne, ale wspaniałe.

Początkowo, kiedy zjawiała się co kilka dni na wizyty kontrolne, czułam, że jestem okropnym ciężarem. Wiem, jaka jest zajęta, że ma mnóstwo innych pacjentów również potrzebujących jej uwagi.

Szybko jednak stało się oczywiste, że tata czeka na jej wizyty nie tylko w takim sensie jak ojciec na lekarkę dziecka. Zawsze wkładał najlepsze koszule i buty, starannie się cesał. Zauważyłam, jeszcze zanim on to sobie uświadomił.

– Ona ci się podoba – powiedziałam w końcu.

– Co takiego? Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł, rumieniąc się.

– Doskonale wiesz, o czym mówię. I wiesz co? Jestem za. Do dzieła.

Tata w jakiś sposób zdobył się na odwagę, by zaprosić doktor Fleming, znaczy, Jessikę, na kolację, i od tamtej pory jest ona u nas stałym gościem. Tata jest przeszczęśliwy, że nie musiał ryzykować z którąś z przypadkowych kandydatek z portalu randkowego. Ja też jestem szczęśliwa, że zostawiam go w dobrych rękach. Doktor Fleming wspaniale się mną opiekowała przez te wszystkie lata, na pewno zadba również o tatę, kiedy mnie zabraknie.

Przerażenie, które niegdyś towarzyszyło takim myślom, właściwie znikło. Tak jak było z Zoe, gdy nagle przestałam się jej bać – świadomość bliskiej śmierci również straciła nade mną moc. Postanowiłam wykorzystać w pełni każdą sekundę. Wszystko się ułoży. Po prostu to wiem. Inaczej nie byłabym w stanie odejść, kiedy nadejdzie ta chwila.

Charlie dostrzega, że się męczę, podsuwa swoją dłoń w roli uchwytu na karty. Korzystam z oferty.

– Podbijam – mówię z uśmiechem, bo wiem, że zaraz skopię wszystkim tyłki.

Morgan sięga ponad stołem i przesuwa moje zetony na środek. Wyciągam karty z dłoni Charliego.

– Ful. Bum! Asy na walety.

Wszyscy jęczą. Jessica kręci głową i rzuca karty na stół.

– Miałam tylko parę – skarży się. – I to dwójki! Skończyły mi się zetony.

Morgan przesuwa w moją stronę całą pulę.

– Masz oficjalny zakaz wstępu do mojego kasyna, Katie.

* * *

Przez kilka kolejnych tygodni nasza szóstka zbiera się co kilka dni, gramy w karty, oglądamy filmy, zadajemy sobie nawzajem pytania z mojej starej gry *Co byś wolał?* i ogólnie rzecz biorąc, dobrze się bawimy. Wspaniale jest widzieć tatę tak zrelaksowanego i wiedzieć, że ma kogoś, z kim może spędzać czas, chociaż nie wiem dokładnie, na czym polega ich znajomość.

Pewnego wieczoru, kiedy wszyscy już sobie poszli i zostaliśmy z tatą sami przed telewizorem, zbieram się na odwagę i pytam:

– Tooo... jak to jest? Jesteście razem, czy dałeś się zrobić we friendzone?

Tata rzuca mi zaciekawione spojrzenie.

– Nawet nie rozumiem języka, którym się posługujesz, Katie.

Śmieję się i próbuję od nowa.

– Czy łączy was romantyczna relacja, czy tylko przyjaźń, czy co?

– Co – odpowiada tata.

– Nie będę się powtarzać. – Próbuję nadać głosowi surowe brzmienie. Naprawdę chciałabym wiedzieć. – Twoja umierająca córka zasługuje na odpowiedź.

– I jej udzieliłem. Brzmi: co. Inaczej: nie znam odpowiedzi, Katie. Jessica jest świeżo po rozwodzie. Ja nie chodziłem na randki od dwudziestu lat. Nie spieszymy się. Zobaczymy, co będzie.

Szczęka mi opada.

– Chcesz powiedzieć, że nawet się nie całowaliście? Trzy tygodnie i nic, nawet cmoknięcia w policzek na dobranoc?

Policzki mojego taty lekko różowieją.

– Jestem dżentelmenem!

– Jak mówi Nike, po prostu to zrób. – Zamykam oczy. Ostatnio ciągle jestem zmęczona. – Lubię ją, tato. Ty też ją lubisz. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Mama również by tego pragnęła.

Odpływając w sen, słyszę:

– A wiesz? Ona w sumie przypomina twoją mamę. Może masz rację.

* * *

Kilka dni później oglądamy mecz bejsbola – tata, Morgan i ja. Leżę na sofie przykryta ulubionym kocem, stopy opieram na łydkach Morgan. Tata siedzi na podłokietniku i głaszcze mnie po włosach. Od kiedy tak bardzo się trzęsę i mam problemy z przełykaniem, tata praktycznie mnie nie odstępuje. Nawet śpi na materacu dmuchanym przy moim łóżku, w razie gdybym czegoś potrzebowała, co ostatnio coraz częściej się zdarza.

W pewnym momencie wpada Charlie, niezwykle poruszony i ożywiony.

– Laptop, dajcie laptop! – woła.

Tata pokazuje na stół w jadalni, gdzie wcześniej pracował. Charlie przystaje, całuje mnie w czubek głowy, biegnie dalej. Wraca z laptopem, siada na podłodze obok sofy i zaczyna pisać.

– Patrzcie!

Stawia laptop na stoliku kawowym, żebyśmy mogli wszyscy zobaczyć, czym tak się podniecił. Z rozmachem wciska enter. Pojawia się nagranie na YouTube. To ja, śpiewam *Piosenkę Charliego* w studio nagraniowym.

Muszę przyznać, że brzmi nieźle. Naprawdę nieźle. I nawet ładnie wyglądam.

Morgan opada szczęka.

– O rany! Co to? Katie, jesteś niesamowita!

Charlie uśmiecha się szeroko i wzrusza ramionami.

– To filmik z sesji nagraniowej.

Mój puls przyspiesza, czuję się jasna i lekka, jak już od dawna się nie czułam.

– Jesteś wspaniała, Katie. I taka piękna. Zawsze byłaś, na zewnątrz i w środku.

Ignoruję kiczowatość tych słów i posyłam mu uśmiech.

– Popatrzcie na komentarze! – wykrzykuje Morgan. – *Mam obsesję na punkcie tego kawałka. Ale głos. Jest taka seksowna...* Ups, przepraszam

pana.

Uśmiecham się tak szeroko, że moja twarz chyba zaraz rozpadnie się ze szczęścia.

– Czekaście, a to? – Tylko jeden opuszczony kciuk pośród chyba miliarda pozytywnych komentarzy.

– To? Ee, to nic – mówi Morgan, usiłując szybko przewinąć stronę. Wyciągam rękę i ją powstrzymuję.

– Muszę oswoić się z krytyką, jeśli moje utwory mają iść w świat – mówię. – Dam sobie radę. Wszyscy muzycy, których uwielbiam, mają też hejterów.

– Dobra – wzdycha Morgan. – Komentarz brzmi tak: *Ludziom podoba się ta piosenka, ponieważ żal im umierającej dziewczyny*. Oczywiście wiesz, Katie, że to gówno prawda? Przepraszam za brzydkie słowa, proszę pana, ale tak jest.

Mimo tego, co powiedziałam przed chwilą na temat negatywnych reakcji publiczności, i tak czuję się, jakby ktoś mi przywalił w splot słoneczny. Zastanawiam się, czy jednak nie jest to prawdą. Że ludzie słuchają mojej piosenki z litości. Tylko skąd w ogóle mieliby wiedzieć, że umieram?

– Błagam – wtrąca Charlie. – Widziałaś nick osoby, która to napisała?

Kręcę głową. Morgan przewija stronę z powrotem, uśmiecha się szeroko i pokazuje mi komentarz. 2LIT4U. Zastanawiam się, gdzie to wcześniej widziałam. No tak, tablica rejestracyjna Zoe.

– Cha, śmierdząca kiła nie daje za wygraną, co? – krzyczy Morgan z zachwytem. – Możesz zignorować wszystko, co ta osoba ma do powiedzenia. Jest po prostu zazdrosna.

– Aha. I patrzcie, co się dzieje – mówi Charlie. Oczy mu błyszczą.

Klika w link z boku i otwiera kolejne nagranie. To zapis kamerą internetową, widać na nim dziewczynę grającą na gitarze w swoim pokoju. Uderza w struny i zaczyna śpiewać. *Piosenkę Charliego!*

Patrzę na tatę z zachwytem.

Charlie klika w kolejny link. Inna dziewczyna interpretuje mój utwór na keyboardzie. Jeszcze jeden link. Chłopak siedzi na parapecie i śpiewa a capella.

– Widzisz, do ilu osób dotarłaś – mówi Charlie. W jego głosie pobrzmiwa zniecierpliwienie, niepokój, który rozumiem aż nazbyt dobrze. Tak naprawdę mówi: zdążyłaś dotrzeć, zanim stanie się to niemożliwe. – Teraz cały świat

cię usłyszysz.

Wyciągam rękę, powoli, z bólem. Chwyta moją dłoń i całuje. Trzyma ją mocno. Nie chce puścić.

– Muszę skoczyć na przystań – mówi. – Ale wrócę za godzinę, dwie.

– Chcę zobaczyć ten godny Beyoncé jacht, który szykowałeś przez całe lato – rzuca Morgan.

– Obawiam się, że nie będziesz miała okazji. Pan Jones wypływa jutro na wakacyjny rejs. Idę zrobić ostatni drobny przegląd.

– Au, przestań – mówi Morgan.

Charlie pochyla się w moją stronę.

– Do zobaczenia wkrótce?

– Jasne – odpowiadam. Rusza do drzwi. Coś mi mówi, że powinnam z nim wyjść. Jakiś głos podpowiada, że kiedy wróci, mnie może już tu nie być.

Stwierdzam, że nie chcę leżeć na tej sofie i czekać na śmierć. Chcę wybrać się na rejs o zachodzie słońca, o którym kiedyś rozmawialiśmy z Charliem. Chcę mieć kontrolę nad zakończeniem mojej historii.

– Czekaj – mówię, bardzo głośno i mocno. Wszyscy odwracają się w moją stronę. – Chcę pójść z Charliem.

– Dokąd, kochanie? – pyta tata z zatroskaną miną.

Z trudem podnoszę się do pozycji siedzącej.

– Chcę pójść z nim do przystani. Wsiąść na jacht. Teraz. – Już nie pozwolę, by XP dyktowała mi warunki. Koniec nastąpi dopiero, kiedy ja go ogłoszę. Chyba chcę powiedzieć, że... jestem gotowa.

Wszyscy w pokoju zamierają. Morgan patrzy na tatę. Nie wiem, na jaką liczy odpowiedź, tak czy nie. Charlie czeka. Tata głęboko się zamyśla.

– Może powinnaś raczej jeszcze poleżeć – mówi w końcu.

Ale ja słabnę z każdym dniem, z każdą godziną, z każdą minutą. Dzisiaj mam ostatnią szansę. Po prostu wiem. Nawet jeśli teraz zostanę w domu, prawdopodobnie żadnego jutra nie będzie.

– Wszystko w porządku, tato – zapewniam. – Chcę tego.

Tata patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem. Wiem, że nie był na to przygotowany – na moją ostatnią walkę o wolność i niezależność. Cóż, jakoś musi sobie z tym poradzić.

– Bardzo tego chcę – nalegam.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, jakie będą konsekwencje. Ale mnie to nie przeszkadza. Naprawdę. Pogodziłam się z tym. Nie mam wyjścia. Nie mam

wyboru.

– Proszę.

Tata z trudem przełyka ślinę. Zamyka oczy. I wreszcie kiwa głową.

Charlie czeka na pokładzie. Ja stoję na nabrzeżu z tatą i Morgan, zapewniam ją, że może płakać, a ona gorączkowo próbuje otrzeć łzy. Wiem, że jest na siebie wściekła, mnie jednak wcale nie przeszkadza, że pokazała, co naprawdę czuje.

Bo ja czuję to samo. Nie chcę jej zostawiać. Ona nigdy mnie nie zostawiła, ani razu, nawet kiedy wszystkie pozostałe dzieciaki się ode mnie odwróciły. Mam nadzieję, że nie postrzeżga mojego ostatniego życzenia jako zdrady łączącej nas przyjaźni.

– Czy to boli? – pyta tata. Nie wiem, czy ma na myśli słońce czy swój kurczowy uścisk. Ale nic mnie nie boli. Tak naprawdę to nie.

Opuszczam kaptur bluzy i zwracam twarz do słońca, szeroko rozpościeram ramiona. Oblewa mnie światło. Czuję ogromny spokój.

– Jest wspaniale. Jest lepiej niż mogłabym sobie wymarzyć.

Zwracam się do Morgan:

– Bardzo cię kocham.

Przyciąga mnie i mocno przytula.

– W porównaniu z tobą wszystkie laski są beznadziejne. Jestem stracona. Zepsułaś mnie.

– A ty mnie ocaliłaś – mówię. – Dzięki, że nie uwierzyłaś Zoe, kiedy powiedziała, że jestem wampirem.

Morgan śmieje się przez łzy.

– Ta ściera? Mówiłam ci, to zło wcielone. Nigdy bym się od ciebie nie odwróciła.

Kręcę głową z uśmiechem.

– I nigdy tego nie zrobiłaś.

– I nigdy nie zrobię.

– Jakbym nie wiedziała.

Teraz zwracam się do taty. Biorę go za rękę. Patrzę na niego, próbuję zapisać w pamięci jego twarz. Każdą linię, każdy włos. Muszę

podziękować mu za życie. Za wszystko, co kocham, co jest mi bliskie.

– Obiecuję, że pozwolisz sobie być szczęśliwym.

Mogę go zostawić i wsiąść na jacht tylko, jeśli będę pewna, że zadba o siebie po moim odejściu. Że będzie kochał i pozwoli, by ktoś go pokochał. Pójdzie za swoją pasją w najdalsze zakątki Ziemi, z kimś wyjątkowym u boku. Może to będzie Jessica? A jeśli nie, to ktoś inny, kto zasłużył na tego wspaniałego człowieka.

Tata kiwa głową, na jego twarzy malują się silne emocje.

– Obiecuję.

Ściskamy się mocno. Chciałabym wsadzić do butelek to, czym byliśmy i co zrobiliśmy dla siebie nawzajem, i posłać je w świat, by wszyscy wiedzieli, czym jest czyste dobro.

– Nie wiem, jak działa wszechświat, Katie – mówi tata głosem zduszonym od łez. – Ale dziękuję, że mnie wybrałaś na swojego tatę. Cieszyłem się każdą sekundą.

Śmieję się.

– Ja też nie wiem, jak to działa, ale wzajemnie. Kocham cię.

– Ja ciebie bardziej.

Kręcę głową i uśmiecham się.

– Niemożliwe.

Odwracam się w stronę Charliego, który czeka, żeby pomóc mi wsiąść. Macham do taty i Morgan.

– Moja pierwsza morska podróż – mówię, próbując trochę rozjaśnić tę chwilę.

– Będę tutaj. Na nabrzeżu. Będę na ciebie czekał, dobrze? – woła tata.

Kiwam głową.

– Wiem.

* * *

Charlie ciasno obejmuje mnie jedną ręką, a drugą steruje. Jest wspaniały, mocny, nad wszystkim panuje. Jest dokładnie tym, co sobie wyobrażałam i czymś znacznie więcej.

Nogi się pode mną uginają. Jestem taka zmęczona.

– Trzymam cię. Nic się nie martw. – uśmiecha się Charlie.

Spoglądam na horyzont, wdycham wspaniałe powietrze. Pławię się w nim.

W blasku słońca. Nigdy nie widziałam takiego połączenia kolorów: zimny błękit przechodzi w fiolet, ten z kolei miesza się z ognistym pomarańczem i cała ta feeria barw powoli opada coraz niżej nad linią wody. Czuję się tak, jakby ten zachód był specjalnie dla mnie. Patrzę na Charliego.

- Przez całe życie czekałam, by poczuć się tak jak teraz.
- Ja też. – Charlie całuje mnie, czuję smak jego łez.

* * *

– Katie, czas wracać.

Otwieram oczy. Mama gra na gitarze. Słońce zachodzi za jej plecami, niebo stoi w płomieniach. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego.

- Nie możemy zostać tu na zawsze? – pytam.
- Na zawsze? To bardzo długo.
- Wiem – mówię i wyciągam rękę, by wraz z nią dotykać strun gitary.
- Zadam ci jedno pytanie: dobrze się bawisz w tej chwili?

Kiwam głową.

- I tylko to się liczy.

Epilog

Hej, Charlie.

Przepraszam, że się z Tobą nie pożegnałem, kiedy wyjeżdżałeś. Pewnie akurat kupowałem prowiant na moją wielką wyprawę. Albo naboje. Sporo czasu minęło, odkąd byłem na wyprawie, na której potrzebne są naboje i zapewniam, wcale mi tego nie brakowało. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że w Berkeley dobrze cię traktują. A jeśli chodzi o Twoje przeprosiny, cóż, bzdura. To nie była niczyja wina – a już na pewno Ty niczym nie zawiniłeś, że została wtedy zbyt długo na zewnątrz. Nie chcę, żebyś tak myślał, ona też by tego nie chciała. Wiedzieliśmy od bardzo dawna, że każdy dzień jest nam darowany. Poza tym powinienem Ci podziękować. Zawsze pragnąłem tylko, by była szczęśliwa. A ty uczyniłeś ją bardzo szczęśliwą, Charlie. I dobrze wiedzieć, że istnieje ktoś jeszcze, kto wie, jak niezwykłą osobą była Katie. Ktoś jeszcze, kto ją kocha.

Katie chciała, byś dostał jej notatnik. Kazała Ci przekazać, że skoro kradłeś go tyle razy, to równie dobrze możesz go zatrzymać. I że najpierw masz przeczytać ostatnią stronę.

A! Czy słyszałeś utwór Katie w radio? To chyba Twoja piosenka. W każdym razie napisana dla Ciebie. Morgan zadzwoniła któregoś dnia i powiedziała, że słyszeli ją z Garverem, jadąc samochodem. Moja córeczka w radio! Chociaż nigdy nie wątpiłem, że potrafi tego dokonać.

Trzymaj się, Charlie. I daj czasem znak, że żyjesz.

Jack Price.

Drogi Charlie.

Zawsze lepiej mi wychodziło pisanie piosenek niż zwykłych zdań. Przynajmniej kiedy piszę, nie bredzę, niezależnie od tego, jak bardzo jestem zdenerwowana.

Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczyłeś od tamtej chwili, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie umiem opisać radości, którą wniosłeś do mojego życia, odkąd po raz pierwszy zobaczyłam cię przez okno.

Dałeś mi cały świat.

Nauczyłeś mnie żyć.

Chociaż byliśmy razem tak krótko, gwiazdy świeciły nam przez cały czas. I światło tych chwil będzie trwało przez kolejne tysiące lat.

Mam nadzieję, że będę mogła spojrzeć w dół i na ciebie patrzeć, Charlie. Obserwować wszystkie wspaniałe chwile w twoim życiu, czekając na Ciebie. I mam nadzieję, że Ty czasem spojrzysz w górę... i przypomnisz sobie światło, które razem stworzyliśmy.

*Amor vincit omnia
Kocham Cię, Charlie.*

Trochę na temat XP

Xeroderma Pigmentosum, czyli skóra pergaminowa, to choroba dziedziczna, która w Stanach Zjednoczonych i Europie dotyka jedną osobę na milion. (W niektórych krajach i regionach, jak Japonia i Afryka Północna, odnotowuje się częstsze przypadki, ale nadal jest to rzadka choroba). Ludzie z XP przejawiają ekstremalną wrażliwość na promieniowanie ultrafioletowe i doznają poważnych poparzeń w wyniku choćby kilkuminutowej ekspozycji na słońce. Zniszczenia, które dokonują się w DNA są nieodwracalne i narastają wraz z upływem czasu.

Czerwona, pokryta pęcherzami skóra, przypominająca poparzenie słoneczne, którego zapewne doświadczył kiedyś każdy z nas, to najmniej groźny z objawów tej choroby. XP oznacza również dwa tysiące razy wyższe ryzyko zachorowania na raka skóry. Pacjenci często cierpią również na powikłania neurologiczne, jak utrata wzroku czy słuchu, problemy z koordynacją ruchową, problemy z chodzeniem i przełykaniem, splątanie, utrata przytomności.

Diagnozę stawia się zwykle we wczesnym dzieciństwie. Przy zachowaniu ostrożności – w ciągu dnia pacjent musi przebywać w zamkniętych pomieszczeniach, bez dostępu światła słonecznego, a wychodząc, musi nosić ubrania ochronne, okulary słoneczne i maskę – XP nie musi oznaczać przedwczesnej śmierci. Nieprzestrzeganie tych zasad może mieć tragiczne skutki.

W książce starałam się jak najbardziej realistycznie oddać codzienność osoby cierpiącej na XP. Ale ze względu na przebieg fabuły i wątek romantyczny pozwoliłam sobie na pewną swobodę. Na przykład, nie jest jasne, czy krótka ekspozycja na słońce po spotkaniu z Charliem wywołała problemy neurologiczne, poza tym choroba Katie postępowała prawdopodobnie znacznie szybciej, niż miałyby to miejsce w prawdziwym życiu.

O autorce

Trish Cook jest autorką sześciu powieści dla młodzieży. W wolnym czasie uprawia biegi i wioślarstwo, próbuje również grać na gitarze. Marzy, by dostać się do reality show *Amazing Race*, ale na razie udało jej się załapać jedynie do ostatniego etapu castingu do *I Survived a Japanese Game Show* (niestety, odpadła w końcowych eliminacjach). Możesz odwiedzić Trish na stronie trishcook.com.